

MAGDALENA
MAJCHER

DOKTÓRKA
OD
FAMILOKÓW



Magdalena Majcher

Doktórka od familoków



Copyright © by Magdalena Majcher, MMXXIII
Wydanie I
Warszawa MMXXIII

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

[Motto](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1. Helena](#)

[Rozdział 2. Jolanta](#)

[Rozdział 3. Helena](#)

[Rozdział 4. Jolanta](#)

[Rozdział 5. Helena](#)

[Rozdział 6. Jolanta](#)

[Rozdział 7. Helena](#)

[Rozdział 8. Jolanta](#)

[Rozdział 9. Helena](#)

[Rozdział 10. Jolanta](#)

[Rozdział 11. Helena](#)

[Rozdział 12. Jolanta](#)

[Rozdział 13. Helena](#)

[Rozdział 14. Jolanta](#)

[Rozdział 15. Helena](#)

[Rozdział 16. Jolanta](#)

[Rozdział 17. Helena](#)

[Rozdział 18. Jolanta](#)

[Rozdział 19. Helena](#)

[Rozdział 20. Jolanta](#)

[Rozdział 21. Helena](#)

[Rozdział 22. Jolanta](#)

[Rozdział 23. Helena](#)

[Rozdział 24. Jolanta](#)

[Rozdział 25. Helena](#)

[Rozdział 26. Jolanta](#)

[Rozdział 27. Helena](#)

[Rozdział 28. Jolanta](#)

[Rozdział 29. Helena](#)

[Rozdział 30. Jolanta](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Podziękowania](#)

[Zdjęcia](#)

[Bibliografia](#)

[Przypisy](#)

To było moje zadanie: badać dzieci, obojętnie, czy mnie zamkną, czy nie. Wszystkie moje dzieci miały być przebadane.

Doktor Jolanta Wadowska-Król w rozmowie z autorką książki

Prolog

Katowice, 1985

Jolanta Wadowska-Król przecisnęła się przez wąską szczelinę między kartonami opisanymi przez nią jako te przeznaczone do transportu do nowej siedziby przychodni oraz tymi, które miały wylądować na śmietniku. Po raz ostatni usiadła na wysłużonym fotelu i przejechała palcami po zniszczonym blacie starego biurka.

Kierownictwo przychodni od dawna przebąkiwało o planowanej wyprowadzce z Franciszoka¹, ale nikt nie potrafił podać choćby przybliżonej daty tego przedsięwzięcia. Aż pewnego dnia doktorka, jak nazywali Wadowską-Król jej pacjenci, przyszła do pracy i usłyszała, że zaczyna się wielkie pakowanie, bo wraz z nadejściem kolejnego miesiąca rozpocznie się przeprowadzka na ulicę Lenina².

Dwadzieścia lat – tyle czasu lekarka spędziła w tym gabinecie. Przez te dwie dekady dorosło kolejne pokolenie i do przychodni swoje dzieci zaczęli przyprowadzać jej pierwsi pacjenci. Czas pędził jak szalony. Dopóki działała, dopóki znajdowała się w samym środku wydarzeń i realizowała swoją misję, a w jej żyłach płynęła adrenalina, dopóty wskazówki zegara przesuwwały się leniwie, a doba liczyła czterdzieści osiem godzin. Jednak odkąd została odsunięta, a jej marzenia zatrzaśnięto w rektorskim sejfie, od razu po Bożym Narodzeniu następowała Wielkanoc, a letnie wakacje trwały co najwyżej dwa tygodnie.

Westchnęła głośno.

– Dwadzieścia lat – powiedziała w zadumie, a jej głos odbił się echem od ścian pomieszczenia, z którego wyniesiono już wszystkie meble poza biurkiem, fotelem i niewielką szafką z kartami pacjentów.

Tylko ona została lekarce do przejrzenia. Karty aktualnych pacjentów miały się znaleźć w pudle opisanym jako „do

przewiezienia”, a stare zostaną zniszczone. Wprawdzie nowa siedziba przychodni była świeżo po remoncie i w o wiele lepszym stanie niż zdezelowane pomieszczenia na Franciszoka, ale nie było tam miejsca na zorganizowanie archiwum. Wszystkie informacje zawarte w tych kartach znajdowały się zresztą również w książeczkach zdrowia pacjentów, bo Wadowska-Król wypełniała je równie skrupulatnie, co swoją dokumentację, którą trzymała w gabinecie.

Lekarka wstała z fotela, poprawiła biały fartuch, który nieznacznie zsunął jej się z ramienia, i podeszła do szafki. Z impetem otworzyła znajdującą się na samej górze szufladę i wyjęła pierwszą z brzegu połówką kartę. Zatrzymała wzrok na zapisanych jej ręką słowach: „wyprowadzeni na Osiedle Tysiąclecia”, dalej dokładny adres. Doskonale pamiętała tę rodzinę, jak zresztą wszystkie pozostałe. Ci mieszkali na Rzemieślniczej³, zaraz za murem huty. Wadowska-Król poczuła, jak po jej policzku spływa samotna łza. Minęło sporo czasu. Wydawało jej się, że tamtą sprawę już przepracowała, że zapomniała i zostawiła to za sobą, a jednak poczucie niesprawiedliwości wciąż było w niej żywe. I nie chodziło wcale o te zamknięte w sejfie marzenia, o zaszczyty, które nigdy nie miały się stać jej udziałem... Tamto było już nieważne. Ale nie potrafiła pogodzić się z myślą, że tak po prostu ją odsunięto po tym wszystkim, co zrobiła dla tych dzieci i ich rodzin.

Między kartami pacjentów natknęła się na szarą teczkę. Nie pamiętała, żeby ją tam włożyła, ale to ona musiała to zrobić, nikt z jej współpracowników nie zaglądał do jej dokumentów. Wyciągnęła listę, którą stworzyła bardziej na własne potrzeby niż dla sanepidu, który wtedy mocno utrudniał jej pracę, zasypując ją wezwaniami do przedstawiania sprawozdań i prowadzenia statystyk.

Przebiegła listę wzrokiem. W jednej z rubryk znajdowały się liczby, które stanowiły dziedzictwo wielu pokoleń wychowanych w Szopienicach. Dwieście siedemdziesiąt trzy mikrogramy na decylitr, dwieście sześćdziesiąt pięć, sto dwanaście, sto osiemdziesiąt, dwieście dziewięćdziesiąt jeden...

W ułamku sekundy lekarka podjęła decyzję. Nie wiedziała, dlaczego właściwie to robi, po prostu czuła, że nie może wyrzucić tych dokumentów. One należały do niej, stanowiły część jej historii. Wysunęła całą szufladę.

Szufladę, której zawartość niemal trzydzieści kolejnych lat miała spędzić na strychu domu Królów.

Rozdział 1. Helena⁴

Sierpień 1974

Helena Kościelniak opadła na dużą, zajmującą pół izby wersalkę, która głośno pod nią zatrzeszczała. Słońce już zachodziło, a ona nie usiadła nawet na moment, odkąd wstała chwilę po piątej, żeby ustawić się w kolejce po chleb. Spojrzała na swoje ręce, pomarszczone, stwardniałe i pełne odcisków. Aż trudno było uwierzyć, że należały do trzydziestolatki. Kiedyś mogła poszczycić się pięknymi dłońmi. Miała długie smukłe palce, palce pianistki, jak mawiała jej matka. Teraz były obrzmiałe do tego stopnia, że obrączka boleśnie wrzynała się jej w palec serdeczny.

Helena położyła dłoń na brzuchu. Będzie musiała w końcu pomówić ze Staśkiem. To już osiem tygodni, jak spóźniało się jej krwawienie, a mimo to wciąż nie poinformowała męża, że ich rodzina znowu się powiększy. Może liczyła na to, że poroni, tak jak tamto dziecko w zeszłym roku? Była zła na męża, że znów jej to zrobił. A mówiła, żeby dał jej spokój i trzymał się od niej z daleka! Chyba wolałaby już, żeby Stasiak chodził na dziwki, ale on wciąż ochoczo korzystał ze swoich małżeńskich przywilejów. Że też jeszcze mu się chciało! Helena już dawno straciła zainteresowanie tymi sprawami. Zasypiała, kiedy tylko jej głowa dotknęła poduszki. Zmęczenie nie było jedynym powodem, dla którego unikała zbliżeń. Podczas trzeciego porodu omal nie przeniosła się na tamten świat. Czwarty i piąty były więc dla niej strasznym przeżyciem, bo panicznie bała się, że umrze, a kto wtedy wychowa jej dzieci? Prosiła więc Staśka, żeby w razie jej śmierci szybko znalazł sobie jakąś kobietę, ale on wymownie pukał się w czoło.

– Ty i żadna inna – deklarował, jednak Helena w ogóle mu nie wierzyła, bo zdążyła się na nim poznać jak nikt inny.

A teraz przyjdzie jej przeżywać to po raz kolejny. Sen z powiek spędzała jej też świadomość, że trzeba będzie wykarmić jeszcze

jedno dziecko. Już teraz było ciężko. Stasiek nie mógł na razie wrócić na hutę ołowiu, bo został czasowo przesunięty do walcowni cynku, a to przy ołowiu zarabiano się najwięcej. Musiał jednak czekać, aż wyniki jego badań się poprawią. Zresztą nawet gdy pracował w swoim macierzystym wydziale, brakowało im pieniędzy. Dostawali niby dodatkowy deputat, który mogli wykorzystać w sklepie na terenie huty, ale to była kropla w morzu ich potrzeb. A za kilka dni Karolinka zaczynała przecież pierwszą klasę, trzeba było ją wyposażyć.

Helena nie mogła sobie pozwolić na zbyt długi odpoczynek. Kiedy tylko jej oddech się wyrównał, wstała z wersalki, krzywiąc się przy tym, bo od wielu miesięcy towarzyszył jej silny ból w dolnym odcinku kręgosłupa. Nie skarżyła się jednak, bo narzekanie nie leży w naturze śląskiej kobiety. Kościelniakowa cieszyła się z prostych rzeczy, a o swoich zmartwieniach nie rozmawiała z nikim. Czasem tylko żaliła się Staśkowi, ale nie za często, bo przecież on żyły sobie wypruwał, żeby mieli z czego żyć, a ona nie chciała wyjść przed nim na niewdzięczną.

Omiotła wzrokiem dwuizbowe mieszkanie, które dostali od huty. W pierwszym pokoju spali ona i Stasiek, a także dwoje najmłodszych dzieci – oni na wersalce, a dzieci na pojedynczym tapczanie, który dostały w spadku po kuzynkach z Giszowca, siostrzenicach Heleny. Dawniej Kościelniakowa miała dobre relacje z najmłodszą siostrą z jej licznego rodzeństwa, ale teraz mocno ograniczyła z nią kontakt, bo Jadźka zadzierała nosa. Wyszła za sztygara, sporo od siebie starszego, a w ich mieszkaniu w nowo wybudowanym bloku z wielkiej płyty stała elegancka meblościanka na wysoki połysk. Helena uważała, że hutnicy powinni być tak samo uprzywilejowani jak górnicy, bo wykonywali równie ciężką, wyczerpującą pracę fizyczną, za co nierzadko płacili utratą zdrowia i nie tylko.

Przeszła do drugiego pomieszczenia z dużym piecem kaflowym. Ta izba była zdecydowanie większa, a jej prostokątny kształt pozwolił na ulokowanie tu aż trójki dzieci, które zajmowały dużą wersalkę ustawioną w rogu. W centralnej części pomieszczenia znajdował się spory drewniany stół z sześcioma krzesłami.

Najmłodszy, trzyletni Miecio jadał posiłki na kolanach matki. Gdzie oni upchną tu jeszcze jedno dziecko?

Helena podeszła do pieca i zajrzała do ogromnego metalowego garnka, w którym gotowały się prześcieradła. Sięgnęła po długą drewnianą łyżkę i je przemieszała. Wytarła dłonie o podomkę i zawahała się, bo nagle zapomniała, co jeszcze miała zrobić. Spojrzała na zegarek. Zbliżała się ósma wieczorem. Najwyższy czas zagonić dzieci do domu, bo biegały po placu od samego rana z krótką przerwą na obiad.

Wyszła do sieni i od razu poczuła chłód. Taki urok końcówki sierpnia, dni jeszcze ciepłe, ale ranki i wieczory już zimne. Kościelniakowie mieszkali na parterze piętrowego familoka, więc Helena po chwili była już na zewnątrz. Panował tu półmrok i chwilę zajęło, zanim jej oczy przyzwyczyły się do tych warunków. W oknach znajdującego się kilka metrów dalej budynku paliły się niemal wszystkie światła. Szopienice przygotowywały się do snu przed kolejnym dniem ciężkiej pracy.

– Pani Kościelniakowa, szuka pani swoich bajtli? – zapytał niski kobiecy głos, który dobiegł z prawej strony.

Helena spojrzała w tamtym kierunku. Głos należał do Grabarzowej, sąsiadki z pierwszego piętra. Kobieta wyglądała, jakby liczyła sobie co najmniej siedemdziesiąt wiosen, ale Helena wiedziała, że niedawno świętowała pięćdziesiąte piąte urodziny. Zawsze kiedy rozmawiała z sąsiadką lub jej córką, uświadamiała sobie, jak dobrze jej się wiedzie, i rugała się w myślach za to, że śmie od czasu do czasu ponarzekać mężowi. Oni przynajmniej mieszkali sami, bez rodziców, zaś piętro wyżej, w lokalu takim samym jak to, które zajmowali, żyło czworo dorosłych – Grabarzowa z mężem, córką i zięciem – oraz ośmioro dzieci.

– Dobry wieczór, nie zauważyłam pani. – Helena podeszła do sąsiadki. Zatrzymała wzrok na jej twarzy. Mogłaby przysiąc, że kobieta przed chwilą płakała. – Czy coś się stało? – zapytała z wahaniem, bo jej troska mogła zostać odebrana jako wścibstwo.

Zdecydowanie bliżej niż z Grabarzową była z jej córką, Marią Tkacz, która pracowała w sklepie po drugiej stronie muru. Jej mąż, jak większość mieszkańców dzielnicy, pracował na hucie,

w zakładzie kadmu. Huta Metali Nieżelaznych Szopienice, licząca siedemnaście wydziałów produkcyjnych i zajmująca powierzchnię ponad stu sześćdziesięciu hektarów, zatrudniała około pięciu tysięcy osób.

– Nie, nie, tylko... – Grabarzowa spojrzała krytycznie na Helenę, jakby zastanawiała się, czy chce wyzalić się właśnie młodej sąsiadce z dołu. Ostatecznie chęć wyrzucenia z siebie trosk przeważała. – Naszego Januszka doktorka znów skierowała do szpitala na Janów, a oni tam na miejscu stwierdzili, że nie są w stanie mu pomóc, i wysłali go do kliniki do Zabrza⁵. Który to już raz w ciągu ostatnich dwóch lat? Dziecko niby wraca do domu, czuje się trochę lepiej, a później znów to samo. Nie wiem już, co robić. Jak mogłabym pomóc córce i wnukom? Sadzę tu u nas na ogródku własne warzywa, żeby dzieci dostawały do jedzenia coś zdrowego, bo wiadomo, że takie warzywa zawsze lepsze niż te ze sklepu czy te, które dostajemy z huty, a mimo to one wszystkie takie słabe, zwłaszcza Januszek.

Helena pokiwała ze zrozumieniem głową. Ona też każdego dnia borykała się z tym problemem – co dać dzieciom do jedzenia, żeby zaspokoić ich potrzeby. Dzieciaki rosły i powinny jeść zdrowo, żeby nie chorować, a tymczasem w sklepach brakowało wszystkiego.

– Będzie dobrze – powiedziała bez przekonania. – Lekarze w końcu muszą odkryć, co dolega Januszkowi. Słyszałam, że w klinice w Zabrze pracują jedni z najlepszych doktorów nie tylko na Śląsku, ale w całej Polsce.

– Marysia była u niego wczoraj, ale więcej nie pojedzie, bo skąd brać pieniądze na bilety? – Grabarzowa jakby nie usłyszała komentarza sąsiadki. – A on, bidula, to nawet nie będzie umiał się odezwać do pielęgniarek, że czegoś potrzebuje. Wie pani, jaki on jest.

– Zamartwianiem się mu pani nie pomoże – zauważyła Helena, która sama nie dalej jak kwadrans wcześniej gryzła się tym, jak to będzie.

– Wiem, dlatego wyszłam z domu. Czułam, że mi się na płacz zbiera, a nie chciałam Marysi dodatkowo swoimi troskami obciążać.

– Nagle na twarzy starszej kobiety drgnął mięsień. – A może pani by z nią porozmawiała? Ona bardzo panią lubi, może jakbyście poklachały o babskich sprawach, choć na chwilę zapomniałyby o problemach...

– Pewnie, wpadnę do niej jutro – zadeklarowała Helena, choć w zasadzie nie musiała tego robić, bo przecież z Marysią widywały się niemal codziennie: podczas rozwieszania prania na sznurach w wąskich przejściach pomiędzy familokami, w drodze do sklepu czy do działu płac po mężowską wypłatę.

Czasem Marysia zaglądała do niej, żeby pożyczyć szklanek cukru lub po prostu na plotki, innym razem to Helena do niej zachodziła. U Kościelniaków częstymi gośćmi były też dzieci Tkaczów i odwrotnie, bo bajtli chętnie się razem bawiły. Helena oczywiście wiedziała o problemach ze zdrowiem chorowitego Januszka, ale nie miała pojęcia, że Wadowska-Król, pediatra opiekująca się szopienickimi dziećmi, znów wysłała go do szpitala. Helena uświadomiła sobie teraz, że nie widziała Marysi od kilku dni, co powinno było ją zaniepokoić, ale w natłoku codziennych obowiązków nie zwróciła na to uwagi.

– A dzieci pobiegły z naszymi Czarkiem i Anetką na podwórko do Bieńków. – Grabarzowa zmieniła nagle temat.

– Do Bieńków? – Helena oparła spracowane dłonie o szerokie biodra, z trudem mieszczące się pod starą podomką. – Mówiłam im, żeby nie odchodzili z Mieciem za daleko.

Bieńkowie mieszkali przy Wandy, po drugiej stronie Zjednoczenia Partii⁶, głównej ulicy, która przecinała Szopienice.

– A co im się tu może stać? – Sąsiadka wzruszyła ramionami i bez pożegnania wyminęła Kościelniakową, po czym zniknęła w sieni familoka.

Helena ruszyła w mrok; w czasie gdy rozmawiała z Grabarzą, zrobiło się kompletnie ciemno. Na Rzemieślniczej nie było żadnych latarni, które oświetlałyby place pomiędzy gęsto wybudowanymi familokami. Niemal w całych Szopienicach, o których świat najwyraźniej zapomniał, próżno byłoby szukać ulicznych lamp. Tutaj kończył się Śląsk, bo dalej na wschód był już Sosnowiec.

Katowice kojarzyły się z otwartym trzy lata wcześniej Spodkiem i powstałą rok później Superjednostką, Rynkiem czy kopalniami – to były prawdziwe symbole stolicy regionu – ale nie z doklejonymi do tkanki miejskiej Szopienicami, które jeszcze kilkanaście lat wcześniej były samodzielnym miastem. Kto by się przejmował biedotą z dzielnicy, w której mieściła się jedynie huta będąca największym polskim producentem wyrobów walcowanych z miedzi i mosiądzu i największym ośrodkiem produkcji kadmu na świecie?

Krążąc po wąskich przejściach między gęsto pobudowanymi domami, Helena nagle uświadomiła sobie, że od dawna nie słyszała szczekania psów. Sama nie wiedziała, skąd niespodziewanie w jej głowie pojawiła się ta myśl, ale niosła ze sobą następną – Szopienice w istocie były miejscem jałowym. Żywi byli tu tylko ludzie. I przemysł, rzecz jasna.

Jakiś czas temu sąsiedzi z familoka naprzeciwko przygarnęli kota. Zdechł po tygodniu, jak wszystkie inne zwierzęta. Szopienicka ziemia nosiła tylko najsilniejszych.

Nisko nad ziemią zawisł dym. Helena zadarła głowę, ale nie miała szans dojrzeć gwiazd. Przyspieszyła kroku, bo mimo że po okolicy nie kręcili się obcy, a swój swojemu krzywdy nie robi, nie lubiła chodzić po nocy. Już ona da popalić tym smykom! Kto to widział, żeby o tej porze szlajać się po podwórkach? Dawno powinni być w łóżkach!

Po kilkuminutowym spacerze była już przed domem, w którym na parterze mieszkali Bieńkowie, ale nigdzie nie widziała swoich dzieci. Złość ustąpiła miejsca lękowi. A jeśli przydarzyło się jakieś nieszczęście? Śląsk, tak jak graniczące z nim Zagłębie, jeszcze nie pozbierał się po niemal sześciu latach przepełnionych strachem i niepewnością. Niby wampir został schwytany i lada chwila miał się rozpocząć jego proces, ale byli tacy, którzy plotkowali, że aresztowano nie tego człowieka. A zresztą nawet jeśli to Marchwicki mordował, trudno wrócić do normalnego życia po latach wzmożonej ostrożności. O zabójcy krążyły legendy. Część z nich, jak to tego typu opowieści, opierała się na prawdzie, ale inne były wyssane z palca. Helena wiedziała, że wampir mordował tylko kobiety, ale szukając po nocy dzieci, nie była w stanie myśleć racjonalnie.

– Heniek, Iwona! – wykrzyczała w ciemność imiona najstarszych dzieci, dziesięcioletniego syna i ośmioletniej córki.

Odpowiedziała jej cisza.

– Ojciec spierze wam dupy pasem, jak tylko wróci do domu! – Helena spróbowała raz jeszcze, ale z takim samym skutkiem, jak chwilę wcześniej.

Przed oczami miała twarz najmłodszego, trzyletniego Miecicia. Gdzie te łobuzy go zabrały? Rozejrzała się wokół, ale to jak szukać igły w stogu siana. O najstarsze dzieci była raczej spokojna. Nie zgubiłyby się w dzielnicy, którą znały jak własną kieszeń. Ale jeśli Miecicio się gdzieś zawieruszył, a one go teraz szukają...

Szybkim krokiem weszła do sieni i energicznie zapukała do drewnianych drzwi, które, jak wszystkie inne w okolicy, można byłoby otworzyć jednym mocniejszym kopnięciem. Z mieszkania dobiegały odgłosy zabawy i wieczornej krzątaniny. Chwilę później ze szpary pomiędzy drzwiami a futryną łypnęły na nią bystre brązowe oczy. Irena Bieniek, gospodyni, zobaczywszy znajomą twarz, mocniej pociągnęła za klamkę, otwierając drzwi.

– Dobry wieczór. Szukam wszędzie dzieci, podobno bawiły się z pani bajtlami. – Zdenerwowana Helena od razu przeszła do rzeczy.

Irena skinęła głową i niemal natychmiast przy jej nodze zmaterializował się Miecicio w połatanych spodenkach i za dużej bluzce, którą odziedziczył po starszych braciach. Helena poczuła, jak uginają się pod nią kolana, a cały lęk ustępuje miejsca wdzięczności, która jednak nie trwała zbyt długo.

– Chcecie matkę do grobu wpędzić? – podniosła głos, łapiąc małego za ramię i wyciągając go z mieszkania Bieńków.

– Mówiłam im, żeby wracali do domu, bo będzie się pani denerwować – powiedziała Irena, wycierając dłonie o znoszony fartuch. – Mnie tam oni nie przeszkadzają, ale tak sobie pomyślałam, że pani od zmysłów odchodzi, dlatego zaraz ich miałam odprowadzić.

– Dziękuję – bąknęła Helena, posyłając groźne spojrzenia w stronę swojej pozostałej czwórki, którą ze znajdującej się w głębi mieszkania izby wyciągnął panujący przy drzwiach hałas.

Zatrzymała spojrzenie na Iwonce, bo swoje drugie dziecko miała za zdecydowanie najrozsądniejsze z całego towarzystwa. W ośmioletniej córce widziała swoje lustrzane odbicie. Iwonka wyglądała identycznie jak Helena na pamiątkowej fotografii z jej Pierwszej Komunii Świętej. Błękitne, głęboko osadzone oczy, mały zadarty nos, puciołowate policzki i długie blond warkocze. Tak, Helena była kiedyś piękną dziewczyną, zanim ciężka fizyczna praca, tłusta kuchnia i kolejne cięższe i porody nie zamieniły jej w zniszczoną życiem wielką śląską babę.

Mówią, że matka wszystkie dzieci kocha tak samo, ale to nieprawda. Helena nic nie mogła poradzić na to, że to właśnie podobna do niej Iwonka była jej pupilką. Lubiła wyobrazać sobie, że przynajmniej ona wyrwie się z tego zamkniętego środowiska i że czeka ją lepsze życie. I rzeczywiście, kiedy córka była malutka, wydawało jej się, że jest ponadprzeciętnie mądrym i uzdolnionym dzieckiem. A teraz skończyła jak jej starszy brat – w przepięknej szkole specjalnej. Jakby zdurniała.

– Prosiłam, żebyście nie odchodzili daleko! – Helena przeniosła wzrok na najstarszego Henia.

– Spokojnie, na szczęście nic się nie stało. Po prostu stracili poczucie czasu – wtrąciła nieśmiało Irena Bieniek, choć doskonale rozumiała Kościelniakową.

Jej dzieciaki również były niesforne i zdarzało im się robić matce gorsze numery.

– Ojciec sobie z wami porozmawia – rzuciła przez zaciśnięte zęby Helena, po czym nieco złagodniała. – Pożegnać się i podziękować za gościnę – zakomenderowała.

Cała jej piątka, z winą wypisaną na umorusanych twarzach, bąknęła pod nosami „dziękujemy, do widzenia, cześć”, po czym pokornie wymaszerowała za matką z mieszkania Bieńków. Helena złapała Miecia za brudną rączkę i pociągnęła go ze sobą. Pozostali ze spuszczoneymi głowami ruszyli za rodzicielką w stronę muru huty, bezpośrednio przy którym stał ich familok. Już w połowie drogi odzyskali dobre humory. Pięcioletni Adaś, zdecydowanie najbardziej żywiołowy i szalony spośród dzieci Kościelniaków, za plecami matki

zaczął ją przedrzeźniać, na co jego brat i siostry parsknęli niekontrolowanym chichotem.

– Śmiecie się, śmiecie! – zagrziała Helena, nie wypuszczając z dłoni malutkiej rączki Miecia. – Będzie wam do śmiechu, jak ojciec wróci! A wy – zatrzymała się i wycelowała palec wskazujący najpierw w stronę Henia, a potem w Iwonkę – za karę wyszorujecie rano podłogę w całym mieszkaniu!

– Mamo! – zawołał z oburzeniem Henio.

– Co: mamó? Wstrętne nieroby! Ja pomagałam swojej muter w domu, kiedy byłam młodsza od was, i nigdy nie musiała się o to prosić! Sama z siebie pytałam, czy coś trzeba zrobić! A wam tylko latanie w głowach! – Helena demonstracyjnie dawała upust złości, która jednak zdążyła z niej ulecieć w trakcie tej krótkiej wędrówki.

Odetchnęła z ulgą, że jej dzieci są bezpieczne. Owszem, czasem zdarzało jej się psioczyć na to, jak trudno było wykarmić i wychować piątkę dzieciaków, i tak, były takie dni, kiedy tęskniła za tamtą beztroską dziewczyną, którą była, zanim urodziła Henia, ale to właśnie bajtle nadawały sens jej istnieniu. Bo co ona miała oprócz nich? Staszek miał tę swoją hutę, a dla niej całym światem były właśnie dzieci. Wiedziała też, że pokocha to szóste, które rośnie pod jej sercem, nawet jeśli zdarzało jej się pomyśleć, że lepiej byłoby, gdyby je straciła. Lepiej dla niego, nie dla niej.

Weszli do mieszkania. Helena wzdrygnęła się, kiedy po zdjęciu swetra poczuła na ramionach uścisk chłodnego powietrza. A niech to, zapomniała zamknąć okno! Zła na siebie, że wyiębiła mieszkanie, zagoniła dzieci do stołu, po czym naprawiła swój błąd. Kiedy przeszła do drugiej izby, gdzie cała piątka zdążyła się wygodnie umościć na krzesłach, Miecio brudnymi od ziemi rączkami wkładał właśnie do buzi czerstwą bułkę. Uśmiechnęła się do niego i zanim zaczęła przygotowywać kolację, przestawiła z podłogi na piec duży garnek z wodą do kąpieli dla całej rodziny.

Rozdział 2. Jolanta

Sierpień 1974

Doktor Jolanta Wadowska-Król przyłożyła głowicę stetoskopu do klatki piersiowej wierzgającego chłopczyka. Jego matka próbowała go uspokoić, ale z marnym skutkiem; jej podniesiony głos tylko wzmagał niepokój małego.

– Spokojnie. – Lekarka delikatnie położyła dłoń na ramieniu chłopca i przemówiła do niego łagodnie: – Nic złego ci się nie stanie. Muszę cię osłuchać, żeby się upewnić, że jesteś zdrowy.

Półroczny maluch nie rozumiał, co mówi do niego pani doktor, ale jej spokojny głos najwyraźniej zadziałał na niego kojąco. Niemowlę skupiło wzrok na twarzy pochylonej nad nim niewysokiej kobiety w białym kitlu. Wadowska-Król uśmiechnęła się do chłopca. Już kiedy składała papiery na medycynę, była pewna, że chce leczyć dzieci. Sama nie wiedziała, skąd się wzięło to przekonanie, tak po prostu czuła i już. Jedni mogli nazywać je powołaniem, inni misją, dla niej jednak była to po prostu potrzeba serca. Chciała nieść pomoc tym najmniejszym i najbardziej bezbronnym. Może było tak dlatego, że sama nie miała łatwo jako dziecko?

Jolanta urodziła się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym w Katowicach. Przyszła na świat w rodzinie nauczycielskiej, jej ojciec był kierownikiem polskiej szkoły w Rudzie Śląskiej-Bielszowicach, a matka uczyła języka polskiego. Wadowscy byli mieszkającymi na Śląsku Polakami, co w przededniu i już po wybuchu drugiej wojny światowej nastroczało wiele trudności, tym bardziej że z zaangażowaniem o polskość tego Śląska walczyli, zwłaszcza ojciec Jolanty, który nawet mimo wyraźnych próśb rodziców utrudniał swoim uczniom przechodzenie do niemieckich szkół.

Wadowski już trzydziestego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku wyruszył na front i wtedy rodzina

widziała go po raz ostatni. Jolanta nawet go nie poznała, bo kiedy wyjechał, miała tylko dwa miesiące. Ojciec przez rok był w obozie jenieckim na terenie Rumunii, przeszedł cały szlak bojowy z Armią Andersa i zginął dwudziestego pierwszego marca czterdziestego piątego roku, kiedy w Polsce właściwie było już po wojnie. Spoczął na cmentarzu w Bolonii.

Kiedy mała Jola miała zaledwie rok, jej matka uległa wypadkowi: porażenie piorunem częściowo odebrało jej wzrok i w konsekwencji nie mogła pracować w zawodzie. Jolanta właściwie wychowywała się sama, a gdy tylko podrosła, wzięła na siebie większość domowych obowiązków. Teraz miała wrażenie, że trudy życia w dzieciństwie – ciężka sytuacja finansowa i konieczność kolejnych przeprowadzek – zahartowały ją i zapewniły jej odporność psychiczną, tak potrzebną w pracy lekarza. I chyba właśnie dlatego zgodziła się służyć pacjentom w dzielnicy, od której wielu odwracało wzrok. Wschodnia część Katowic była miejscem specyficznym, brudnym i zaniedbanym. W sąsiadujących z hutą familokach mieszkali prości, ubodzy ludzie, a na kilkudziesięciu mieszkańców przypadał jeden wychodek i nie było dostępu do bieżącej wody. Ciężkie życie sprawiało, że nie zaprzętało sobie tu głowy sprawami higieny czy jakimikolwiek zasadami bezpieczeństwa. Działająca w Szopienicach nieprzerwanie od tysiąc dziewięćset trzynastego roku szkoła specjalna wciąż była przepełniona, a młodzi ludzie właściwie już na starcie byli pozbawieni perspektyw. Prawdopodobieństwo, że wyrwą się z tego środowiska i będą prowadzić lepsze życie od życia swoich rodziców, było bliskie zeru. Nie istniały żadne rozwiązania systemowe ani programy wsparcia, które pomagałyby im się wyrwać z tego siedliska niemocy. W Szopienicach liczył się przemysł, nie ludzie.

Jolanta doskonale zdawała sobie sprawę, że nie zbawi szopienickich dzieci, ale mogła próbować choć w niewielkim stopniu poprawić ich byt, dlatego rozmawiała z matkami o konieczności mycia rąk, szczepieniach, okresowych badaniach i zdrowej, zbilansowanej diecie. Gdy poruszała temat odżywiania, kobiety zazwyczaj znacząco kiwały głowami. Zdrowa, zbilansowana dieta. „Doktórko, skąd?” – mówiły, a Wadowska-Król ze wstydem

uświadamiała sobie, że nie zna odpowiedzi na to pytanie. Byt dzieci rodziców zatrudnionych w Hucie Metali Nieżelaznych Szopienice był minimalnie lepszy niż ich rówieśników z rodzin niezwiązanych z hutą, bo jej pracownicy dostawali dodatkowy deputat, a także często wynosili jedzenie z kuchni, jednak to była kropla w morzu potrzeb.

Lekarka wysłuchiwała rytmu bicia serca i pracy zastawek chłopczyka. Uznawszy, że wszystko jest w porządku, zjechała głowicą odrobinę niżej. Nie usłyszała żadnych niepokojących szmerów z oskrzeli, płuc i jamy brzusznej, dlatego zdjęła stetoskop i upewniwszy się, że matka odpowiednio asekuje dziecko, wróciła do biurka.

– Nie ma żadnych przeciwwskazań do szczepienia, dziecko jest zdrowe – zawyrokowała. – Dzisiaj podamy szczepionkę przeciwko polio, jest to preparat doustny. Kiedy syn skończy rok, zgłosi się pani na bilans i szczepienie przeciwko ospie, w porządku?

– Dobrze. – Kobieta wprawnym ruchem doświadczonej matki włożyła chłopcu przez główkę kaftanik.

– A jak się ma Szymon? – Wadowska-Król podniosła wzrok znad karty pacjenta. – Przeszły mu te zaparcia?

Mąż Jolanty, Zbigniew, który sam był lekarzem, czasem śmiał się z niej, że obudzona w środku nocy wyrecytowałaby z pamięci dane wszystkich swoich pacjentów, łącznie z datą urodzenia, adresem oraz listą chorób z ostatnich trzech lat. Oczywiście przesadzał, ale lekarka rzeczywiście mogła poszczycić się świetną pamięcią, nie tylko do takich danych, ale także do twarzy. To dlatego kiedy w jej gabinecie pojawiała się matka z kolejnym niemowlęciem, bezbłędnie przyporządkowywała jej starsze dzieci.

– Czasem jeszcze ma problemy z wypróżnianiem się – powiedziała kobieta, podnosząc synka z leżanki. – Taki chyba jego urok, bo robiłam wszystko, co doktorka zaleciła, i pomagało tylko na chwilę.

– Proszę go przyprowadzić, zlecimy dodatkowe badania – zaproponowała Wadowska-Król. – A teraz zapraszam do zabiegowego, pani Wiesia już tam na was czeka.

Matka chłopca podziękowała i wyszła z gabinetu, pewnie poruszając się po przychodni, do której przychodziła już ze swoim

czwartym dzieckiem. Lekarka wiedziała, że przekazuje małego w dobre ręce – pielęgniarka Wiesława Wilczek, z którą współpracowała, była prawdziwym aniołem.

– Proszę następnego pacjenta! – Jolanta odłożyła szarą kopertę z kartą chłopca na wysoki stos dokumentów dzieci przyjętych tego dnia i sięgnęła po kolejną.

Rzuciła wzrokiem na nazwisko i to jej wystarczyło, aby się zorientować, jakim przypadkiem będzie musiała zająć się teraz. Niecierpliwym ruchem wysunęła z koperty wyniki badań, które zleciła wykonać u Zosi Durczak, i zanim w drzwiach stanęła mała pacjentka wraz ze swoją mamą, wiedziała już wszystko.

Kolejne dziecko z niedokrwistością.

– Dzień dobry – przywitała się z dziewczynką i jej matką. – Siadajcie, proszę. Są już wyniki, muszę je z panią omówić.

– Dzień dobry, pani doktor. – Wysoka, barczysta kobieta pchnęła córkę na krzesło, po czym sama zajęła miejsce obok. – Przywitaj się – upomniała małą.

– Dzień dobry – nieśmiało bąknęła blada dziewczynka z ciemnymi obwódkami pod oczami.

– Zosia ma bardzo niski poziom hemoglobiny i czerwonych krwinek. – Wadowska-Król od razu przeszła do rzeczy. Chciałaby poświęcać swoim małym pacjentom więcej czasu, ale niestety nie mogła, bo w poczekalni, jak co dzień, siedziało jeszcze kilkoro dzieci z matkami. – To stąd osłabienie, męczliwość i kłopoty z koncentracją.

– Co to właściwie znaczy?

– Że Zosia ma niedokrwistość, zwaną też anemią – wyjaśniła cierpliwie lekarka. – Na pewno musimy włączyć żelazo. Wyniki nie są aż tak złe, żebym od razu wysyłała dziecko na Janów, ale trzeba mieć na uwadze, że jeśli się nie poprawią... – Urwała znacząco.

Celowo nie używała przy swoich małych pacjentach słowa „szpital”, aby nie wzbudzać w nich lęku. Zastępowała je „Janowem”, bo właśnie w tej dzielnicy Katowic mieścił się oddział dziecięcy szpitala rejonowego. Matki od razu rozumiały, o co chodzi, a dzieciaki nie stresowały się niepotrzebnie.

– Rozumiem. – Kobieta uciekła wzrokiem.

– Dobrze by było, gdyby Zosia jadła często czerwone mięso, owoce, warzywa, można jej też podawać sok z buraka – wyliczała Wadowska-Król. – Macie może rodzinę gdzieś na wsi? Świeże powietrze dobrze by jej zrobiło.

– Nie. – Matka dziewczynki posłała lekarce zdziwione spojrzenie. – Od urodzenia mieszkam w Szopienicach, mąż też, i tutaj jest cała nasza rodzina. Nie mamy gdzie jej wysłać.

– To na razie wypiszę receptę na żelazo i za miesiąc znów zrobimy morfologię, w porządku? Zobaczymy, czy coś drgnie. – Lekarka pochyliła się nad bloczkiem recept i starannym pismem naniósł dane pacjentki oraz nazwę leku.

– Czyli mam jej to dawać i przyjść za miesiąc, tak? – upewniła się kobieta.

– Dokładnie. Proszę robić jej ten sok z buraków, to jej na pewno pomoże.

Wadowska-Król podała matce dziewczynki receptę i zatrzymała wzrok na twarzy Zosi. Mała nie wyglądała dobrze. Kiedy zorientowała się, że lekarka na nią patrzy, uśmiechnęła się nieśmiało i od razu uciekła spojrzeniem.

– Ona w ogóle nie ma apetytu, wie pani, doktorko? – powiedziała z wahaniem matka. – Nie chce mi jeść, może to przez to ta anemia?

– Całkiem możliwe, zresztą niedokrwistość też może powodować brak apetytu. To błędne koło. Musisz jeść, Zosiu, słyszysz mnie? – Lekarka zwróciła się do dziewczynki.

Zosia pokiwała głową.

– To bardzo ważne – ciągnęła Wadowska-Król. – Niech pani jej daje mniejsze porcje, ale częściej.

– Dobrze, dziękujemy. – Kobieta wstała z krzesła i spojrzała na Jolantę z góry. Musiała mieć z metr osiemdziesiąt. – Przyjdziemy za miesiąc.

Lekarka odprowadziła wzrokiem małą pacjentkę i jej matkę. Uwagę lekarki przyciągnęły nieprawidłowe ruchy u dziecka – dziewczynka, stawiając krok do przodu, mocno zginała nogę w stawie kolanowym i unosiła ją wyżej. Bociani chód.

Rozdział 3. Helena

Wrzesień 1974

Helena odprowadziła wzrokiem Heńka i Iwonkę. Dzieci zniknęły w trzypiętrowym budynku z czerwonej cegły z charakterystycznym strzelistym dachem. Poprzedniego dnia odbyło się uroczyste rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Dobrze, że Stasiak robi teraz nocki, bo mógł odprowadzić Karolinę do pierwszej klasy w rejonowej szkole numer czterdzieści pięć, którą zresztą rok temu zaczynała Iwona. Ale nie poradziła sobie, nie zdała już w pierwszej klasie i nauczyciele zdecydowali, że najlepiej jej będzie w placówce specjalnej, tam gdzie od początku uczęszczał Heniek.

Pierwszego września rozdzielili się, Helena wzięła Adasia i Micia i poszła z dwójką najstarszych dzieci na rozpoczęcie roku w ich szkole. Wiedziała, że Iwonka tam będzie lepiej, bo w rejonówce sobie nie radziła, ale Helena i tak to przeżyła, choć chyba nie tak bardzo, jak jej mąż. Kiedy dziewczynka nie otrzymała promocji do drugiej klasy, w domu wybuchła głośna awantura. Stasiak krzyczał na córkę, że jest nierobem i leniem, bo kto to widział nie zdać już w pierwszym roku! Iwonka płakała, a Helenie serce pękło na pół. Z jednej strony rozumiała Staśka, to nie jest *normalne*, żeby zawalić pierwszą klasę, ale z drugiej – trzeba dziecku pomóc! Po solidnym ojcowskim laniu przyszedł czas na to, aby usiedli i porozmawiali. Staszek twardo obstawał przy swoim – Iwona jest nierobem i wałkoniem i nic z niej nie będzie. W pierwszym roku nauczania trzeba przecież tylko opanować absolutne podstawy, a skoro nawet to jej się nie udało...

Helena przyznała mu rację w jednym – pierwsza klasa to nie są duże wyzwania, ale może rzeczywiście, tak jak sugerowali nauczyciele, Iwonka jest opóźniona w rozwoju? O tym jednak Stasiak nie chciał nawet słyszeć. Nie dopuszczał do siebie myśli, że

jego dziecko może być upośledzone. I to już drugie, bo przecież Heniek od razu poszedł do szkoły specjalnej!

Teraz jednak, drugiego dnia szkoły, towarzyszył Helenie i dzieciom. Kiedy Heniek i Iwonka weszli do budynku, Helena odnalazła mężowską dłoń i mocno ją ścisnęła. Przez chwilę nic się nie wydarzyło, ale po kilku sekundach Stasiek odwzajemnił jej gest. „Poradzimy sobie” – tak Helena odczytała tę niewerbalną wiadomość.

– Nie ma co tu stać, chodźmy do domu, chciałbym się położyć – powiedział Stasiek.

Helena skinęła głową i zawołała Adasia i Miecia, którzy tradycyjnie nie potrafili ustać spokojnie ani chwili i ganiali właśnie po ulicy. Kościelniakowie ruszyli w stronę domu. Matka złapała najmłodszego mocno za rękę, bo się wyrывał, a przez ruchliwą ulicę Obrońców Westerplatte przejeżdżały tramwaje. Staszek w milczeniu przypatrywał się tej scenie, posyłając małemu groźne spojrzenie. Miecio na chwilę się uspokoił, ale zaraz szaleć zaczął Adaś i tak całą drogę przeszli w nerwowej atmosferze.

Byli już na Rzemieślniczej, kiedy nagle Staśkowi coś się przypomniało.

– A, widzisz, nie mówiłem ci – zwrócił się do żony. – Mam już dwa krzyżyki⁷, mogę wracać na hutę ołowiu.

Helena bąknęła coś pod nosem, uświadomiwszy sobie, że i ona nie podzieliła się ze Staśkiem nowiną. Czas najwyższy, bo nadal nie krwawiła, a tkiwość piersi i ogólna słabość stanowiły najlepsze potwierdzenie tego, że za jakiś czas ich rodzina znowu się powiększy. Nie odezwała się jednak nawet słowem, bo w głębi serca obawiała się reakcji męża. Jego entuzjazm malał z każdą kolejną ciążą. Najbardziej cieszył się z pierwszego dziecka, a kiedy na świat przyszedł Heniek, oszalał z radości. Wiadomo, każdy mężczyzna chce mieć syna, którego wprowadzi w męski świat, i Staszek nie był tu wyjątkiem. Helena bała się, że jeśli jej ślubny okaże rozzalenie czy nie daj Boże złość z powodu kolejnej ciąży, ona się załamie. Ciągnęła to życie tylko siłą rozpędu.

– Co mówiłaś? – Stasiek odwrócił się w stronę żony.

Dla niego czas był zdecydowanie łaskawszy niż dla Heleny. Wprawdzie na jego skroniach pojawiły się już pierwsze siwe włosy, ale ginęły w gęstej ciemnej czuprynie. Szelmowskie spojrzenie brązowych oczu w czarnej oprawie mogło wywoływać szybsze bicie serca. Kobiety wciąż się za nim oglądały, Helena wiedziała o co najmniej dwóch romansach męża. Mężczyznom zawsze się wydaje, że ich żony nie są świadome ich wyskoków, ale one widzą i czują więcej. Pierwsza była młoda dziewczyna z prażalni, babochłop, gdyby Helena miała wyrazić swoją opinię, zupełnie nie rozumiała, co Stasiak w niej zobaczył. Może chodziło tylko o to, że była chętniejsza niż żona, która urodziła już wówczas troje dzieci i nie chciała mieć czwartego?

Później była Wanda z ulicy Wandy, tak nieco zabawnie wyszło, mężatka, bezdzietna, ludzi mówili, że nie może mieć dzieci w wyniku choroby przebytej w dzieciństwie. Helena zastanawiała się, jak to jest – uprawiać seks bez zamartwiania się o ciążę. Jej współżycie nie sprawiało najmniejszej przyjemności, bo potrafiła myśleć tylko o konsekwencjach. Wanda nie musiała się tym martwić, więc może czerpała z seksu satysfakcję? Jej mąż również pracował na hucie, ale dniówki jego i Staśka się nie zazębiały, więc Stasiak zaglądał do niej po pracy. Ta druga zdrada zabolowała Helenę mniej niż pierwsza. To wtedy pomyślała, że w tym szaleństwie jest metoda. Jeśli będzie sypiał z innymi, jej da święty spokój. Ale to tak nie działało. Stasiak najwyraźniej przestał oglądać się za babami, bo od dłuższego czasu prosto po robocie pokornie wracał do domu, czego rezultat Helena nosiła pod sercem.

– Nic nie mówiłam – ucięła dyskusję, bo zauważyła Marysię Tkacz, rozwieszającą właśnie pranie na podwórku przed familokiem.

Adaś i Miecio błyskawicznie dołączyli do najmłodszych mieszkańców robotniczego osiedla, którzy w przeciwieństwie do starszych dzieci wrześnie rześki poranek spędzali na zabawach. Niektóre dzieciaki chodziły do przedszkoli, takie stanowiły zdecydowaną mniejszość. Bajtlami zajmowały się albo niepracujące matki, jak w przypadku Kościelniaków, albo mieszkające z rodzinami babki, jak u Tkaczów.

– A ty nie w pracy? – zdziwiła się Helena, widząc sąsiadkę o tej porze.

– Wzięłam wolne, bo jadę do szpitala, do Januszka, może już coś będzie wiadomo. – Marysia sprawnym ruchem przerzuciła duże białe prześcieradło przez sznurek i przypięła je klamerką. Odprowadziła wzrokiem Staśka wchodzącego do budynku. – Powiedziałaś mu?

Helena boleśnie przygryzła policzek od wewnętrznej strony.

– Jakoś nie było okazji. – Wzruszyła ramionami.

– Musisz mu powiedzieć! – Tkaczowa oparła dłonie o biodra. – Moja mama zaraz zejdzie na dół przypilnować dzieciaków, a ty idź do domu się z nim rozmówić. Teraz będziecie mogli porozmawiać w spokoju.

– No nie wiem... Może się pomyliłam?

– Urodziłaś pięcioro dzieci! Chcesz mi wmówić, że nie znasz swojego ciała? – prychnęła Marysia. – To nie tylko twój problem! Sama sobie tego dzieciaka nie zmajstrowałaś!

Helena wyciągnęła w stronę koleżanki dłoń w uspokajającym geście i rozejrzała się wokół.

– Ciii, nie chcę, żeby wszyscy sąsiedzi się dowiedzieli!

– To idź porozmawiać ze swoim mężem. – Marysia była nieugięta.

– Idę, już idę – burknęła w odpowiedzi Helena. – Zajdź do mnie po powrocie ze szpitala, jestem ciekawa, co z Januszkiem.

Nakazała synom, aby nie odchodzili daleko, po czym z ociąganiem ruszyła w stronę domu. Wiedziała, że dopóki ciąża była jej tajemnicą, którą podzieliła się tylko z sąsiadką, nie stała się ona czymś ostatecznym, a Helena mogła ją negocjować i jeszcze żyć marzeniami. Chciała pójść do pracy. Była nawet w przedszkolu zapytać o miejsce dla Miecicia, ale teraz to nie miało żadnego sensu. Ugrzęźnie w domu na kolejne lata, bo matkę miała kawałek drogi od Szopienic, w Imielinie, skąd pochodziła, a teściowa była schorowana i nie miała sił do opieki nad wnukami. Gdyby Helena podjęła pracę, żyłoby im się lepiej. Dziecko to nie tylko kolejna osoba do wykarmienia, ale i kolejne lata życia z jednej wypłaty.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Odwiesiła stary wełniany sweter, który jeszcze jako młoda dziewczyna dostała od matki,

a w którym już od dawna się nie dopinała. Mieszkanie pachniało pastą, bo wczoraj na kolanach wypastowała całą podłogę, i kapuśniakiem, który postawiła na piecu przed odprowadzeniem dzieci do szkoły. Zawsze wstawiała wcześniej rano, żeby zdążyć z robotą i nie gonić potem z obiadem, kiedy dziatwa wpadnie do domu i oznajmi, że jest głodna.

Stasiek siedział przy stole i przeżuwał chleb ze smalcem. Helena westchnęła głośno i usiadła naprzeciwko niego.

– A ty nie jesteś głodna?

– Zjadłam coś rano. – Machnęła ręką. – Musimy porozmawiać.

– Teraz, jak ja chciałem się położyć? – Skrzywił się.

– To ważne – powiedziała Helena, uciekając wzrokiem.

Mężczyzna głośno przełknął ostatni kęs chleba.

– No to mów, o co chodzi.

– Chyba mamy problem.

– Problem? Jaki problem?

– Wszystko wskazuje na to, że jestem w ciąży – wyrzuciła z siebie Helena na jednym wydechu.

Stasiek zamrugął nerwowo.

– I to jest ten problem?

– A nie jest? – rzuciła Helena zaczepnie.

– Zależy, jak na to spojrzeć. – Stasiek podrapał się po głowie.

Czujnym wzrokiem obserwowała jego reakcję. Nie wyglądał ani na zadowolonego, ani też na złego. Ostatnim razem, przy tej ciąży, którą straciła, zareagował gorzej.

– Co masz na myśli?

– Trzeba się cieszyć z tego bożego daru – odpowiedział wymijająco Stasiek. – Jakoś to będzie.

Helena przez dłuższą chwilę wpatrywała się w niego oniemiała.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Że jakoś to będzie?

– Moja mama zawsze powtarzała, że dał Bóg dziecko, da i na dziecko.

– Ostatnio mówiłeś coś innego.

– A potem ty poroniłaś! Może to była kara? – zastanowił się głośno Stasiek. – Trzeba się cieszyć – powtórzył. – Dajemy radę z piątką dzieci, poradzimy sobie i z szóstym.

– Ale ja miałam pójść do pracy – przypomniała mu żona.

– Jestem w stanie sam utrzymać rodzinę – zadeklarował, a Helena nie zamierzała go wyprowadzać z błędu, bo co by to zmieniło, poza tym że ugodziłaby jego ego i skończyłoby się awanturą?

Helena sama już nie wiedziała, czy to przez te kłopoty z Iwonką, czy przez ciężowe humory, ale ostatnio miała bardzo chwiejne nastroje. Ku zdziwieniu męża rozpłakała się, siedząc tak przed nim przy ich kuchennym stole pokrytym kraciatą ceratą.

– Dlaczego ty płaczesz? – Nie mógł zrozumieć.

– Bo ja... ja już naprawdę... To chyba za dużo dla mnie... Martwię się o dzieci... o ciebie... o siebie – wydusiła z trudem Helena.

– Daj już spokój, kobieto, nic się nie dzieje. Iwona rzeczywiście zawałiła sprawę, ale sama mówiłaś, że w tej szkole specjalnej będzie jej lepiej – zirytował się Stasiak, bo nie widział powodów do płaczu.

Kobiety i te ich humory. Tutaj nie ma co płakać, tutaj trzeba się brać do roboty.

– Już nic nie wiem. Może mogliśmy się bardziej upierać, żeby została w rejonówce?

– Teraz jest już za późno. – Stasiak nie wiedział, jak postąpić. Powinien przytulić żonę czy jednak dać jej w spokoju się wypłakać? Postanowił więc nie zrobić nic. – Muszę się położyć, bo jak dzieci wrócą ze szkoły, nie dadzą mi pospać, a dziś mam jeszcze jedną nockę.

Helena wytarła łzy. Odprowadziła męża wzrokiem do drugiej izby i wstała od stołu. Czekają ją cerowanie zniszczonych ubrań dzieci. Podeszła do okna i je otworzyła. Westchnęła głośno, dopisując w głowie do długiej listy rzeczy do zrobienia wyczyszczenie okiennic. A przecież robiła to w ubiegłym tygodniu.

Rozdział 4. Jolanta

Wrzesień 1974

Drzwi gabinetu zamknęły się za ostatnim pacjentem i jego matką. Teoretycznie Jolanta mogłaby już na dzisiaj skończyć, ale miała do wypisania jeszcze trochę dokumentów, a nie chciała zabierać pracy do domu. Zbyt często ostatnio tak robiła, a obiecała dzieciom, że dziś pójdą na lody. Zanim jednak przystąpiła do dalszej pracy, wstała zza biurka, aby zamknąć okna. Musieli znów wylać do rzeki ścieki z pobliskiej fabryki chemikaliów, bo w powietrzu unosił się niewyobrażalny fetor. W okolicy, oprócz huty, działały mydlarnia oraz fabryka musztardy i octu, co zapewniało niezapomniane wręcz doznania zapachowe. Lekarka знаła szopienickie rodziny, które w gorące, letnie dni przed obiadem celowo zamykały okna, bo w przeciwnym razie apetyt nie dopisywał domownikom.

Jolanta siadała właśnie z powrotem przy biurku, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Spodziewała się, że to któraś z szopienickich matek przyszła zapytać o to, czy doktórka da radę tego dnia przyjąć jeszcze jedno dziecko. Oczywiście w takich sytuacjach Jolanta zawsze się zgadzała, bo jak zwykła mawiać, to nie była jej praca, tylko służba małym pacjentom.

– Proszę wejść! – powiedziała głośno.

W drzwiach stała niska, elegancko uczesana kobieta w modnym kostiumie. Wadowska-Król miała wrażenie, że już ją kiedyś widziała, ale nie potrafiła przyporządkować twarzy do czasu i miejsca. Z całą pewnością to nie była żadna z szopienickich matek. Wyglądała na mniej więcej pięćdziesiąt lat, a jej aparycja bardzo różniła się od powierzchowności zaniedbanych kobiet, które zwykle pojawiały się w tym gabinecie.

Jolanta poderwała się na równe nogi, bo opadło ją graniczące z pewnością przecucie, że w tej niewielkiej przychodni na końcu świata pojawił się ktoś ważny.

– Dzień dobry – przywitała się, czekając na rozwój wydarzeń.
Na spiętej twarzy nieznajomej pojawił się miły uśmiech.

– Dzień dobry. – Kobieta wyciągnęła dłoń do Wadowskiej-Król. –
Bożena Hager-Małecka.

– Pani profesor! – zdziwiła się Jolanta.

Naturalnie wiedziała, kim jest Bożena Hager-Małecka. Przypuszczała, że każdy pediatra na Śląsku, a może nawet większość lekarzy innych specjalizacji, zna to nazwisko. Mówiło się, że pani profesor jest współtwórczynią śląskiej pediatrii. Kierowała Kliniką Pediatrii Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze, piastowała stanowisko konsultanta wojewódzkiego i miała drugi stopień specjalizacji w tej dziedzinie medycyny.

– Jolanta Wadowska-Król – przedstawiła się lekarka. – W czym mogę pomóc? Może czegoś się pani napije?

– Nie, dziękuję, proszę nie robić sobie kłopotu. Chciałabym z panią porozmawiać na temat pani pacjenta, który leży u mnie w klinice – wyjaśniła Hager-Małecka.

Wadowska-Król na chwilę zamarła. Skoro pofatygowwała się do niej sama kierowniczka kliniki, sprawa musi być poważna. Informowanie lekarza prowadzącego o stanie zdrowia pacjenta nie należy do obowiązków personelu szpitala. A to przecież sama profesor Hager-Małecka!

– Proszę usiąść – powiedziała, po czym sama opadła na fotel.

– Janusz Tkacz – zaczęła pani profesor, siadając po drugiej stronie biurka. – To w jego sprawie przyjechałam. Doktor Rzeszotarska z Janowa przekierowała dziecko do nas w celu dalszej diagnostyki.

– Tak? – zachęciła swoją rozmówczynię Wadowska-Król, bo ta zrobiła dłuższą pauzę.

Hager-Małecka wstała i podeszła do okna. Zapatrzyła się na gęstą zabudowę robotniczej dzielnicy.

– To, o czym dzisiaj rozmawiamy, nie może wyjść poza te cztery ściany – podjęła, nie patrząc na Jolantę – bo to bardzo delikatna i, hm, śliska sprawa.

– Oczywiście, może pani liczyć na moją dyskrecję – zapewniła ją Wadowska-Król.

Hager-Małecka przeniosła wzrok na Jolantę.

– Niedawno wróciłam z sympozjum w Szwajcarii, na którym omawiany był przypadek chłopca z ołowicą. Dziecko zatruto się, jedząc przez dłuższy czas z talerza powleczonego ołowiową farbą. Kiedy pojawił się u mnie Janusz Tkacz, coś mnie tknęło i zleciłam oznaczenie poziomu ołowiu we krwi. Gdy dostałam wyniki, stwierdziłam, że musieli się pomylić w laboratorium, bo to po prostu niemożliwe! Poprosiłam o powtórzenie badania. To nie był błąd. – Profesor zawiesiła głos. – Na tę chwilę norma wynosi od trzydziestu do trzydziestu pięciu mikrogramów na decylitr⁸ i coraz głośniejsze mówi się o tym, że jest ona bardzo liberalna. U Janusza Tkacza poziom ołowiu we krwi przekracza tę normę dziesięć razy. Co do tamtego chłopca, którego przypadek omawiano na sympozjum, norma była tylko nieznacznie przekroczona. Powiem wprost: nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Wadowska-Król potrzebowała tylko kilku sekund na połączenie faktów. Czy to możliwe, że...

– Z uwagi na to, że chłopiec mieszka w bezpośrednim sąsiedztwie huty ołowiu, musimy działać po cichu i ostrożnie – ciągnęła Hager-Małecka. – Wyobraża sobie pani reakcję władz, gdybyśmy zarzuciły państwowej hucie, że truje dzieci? To nie przejdzie, nie w tym kraju, nie w tym systemie, tutaj propaganda sukcesu działa na ogromną skalę, a każdemu, kto twierdzi, że Polska Rzeczpospolita Ludowa nie jest krajem miodem i mlekiem płynącym, od razu przykleja się łątkę wroga ojczyzny i oskarża go o podburzanie ludu. Dlatego przyjechałam do pani osobiście z prośbą o pomoc.

– Zrobię, co do mnie należy. – Lekarka natychmiast podjęła decyzję, bo mimo że jeszcze nie do końca rozumiała, co się dzieje, wiedziała jedno: podejmie ryzyko dla swoich pacjentów, niezależnie od kosztów.

– Uważam, że trzeba przebadać pozostałe dzieci z rodziny tego chłopca, o ile jakieś są, a także te mieszkające w najbliższym sąsiedztwie. Powiedzmy kilkoro, może kilkanaścioro, żeby zobaczyć, czy to jednostkowy przypadek, czy może jednak choruje ich więcej. Oczywiście badania trzeba wykonać w absolutnej tajemnicy. Proszę

porozmawiać z rodzicami i poprosić ich o dyskrecję. Dużo macie takich anemicznych dzieci?

Jolanta w myślach analizowała już zawartość swoich zeszytów dyspanseryjnych, które skrupulatnie uzupełniała. Bez słowa wstała od biurka i zdecydowanym ruchem, bo szuflada się zacinała, pociągnęła ją w swoją stronę. Hager-Małecka z zadowoleniem obserwowała to poruszenie, rozpoznała bowiem w Wadowskiej-Król lekarza z powołania, kogoś, komu na pewno będzie zależało na tym, aby odkryć, co dolega jej dzieciom.

Po krótkiej chwili Jolanta znalazła to, czego szukała.

– Proszę zobaczyć – zachęciła Hager-Małecką, żeby do niej podeszła. – Niemal wszystkie moje dzieci mają niedokrwistość.

Hager-Małecka przez chwilę w milczeniu analizowała skrupulatnie uzupełnianą przez doktor Wadowską-Król listę dzieci odbiegających od norm. Była pełna podziwu dla lekarki, która tak doskonale prowadziła kartotekę pacjentów. Rzadko się zdarza, aby lekarze mieli taki porządek w dokumentach.

– Z jakimi innymi objawami zgłaszają się najczęściej pacjenci?

Wadowska-Król opadła z powrotem na fotel i zaczęła zastanawiać się nad odpowiedzią.

– Dzieci tutaj są bardzo słabe – powiedziała powoli. – Błede, zmęczone, często kalekie. Mają problemy z koncentracją i pamięcią. Ich rozwój jest opóźniony, później zaczynają chodzić, mówić, jękać się. Szkoła specjalna w Szopienicach jest przepełniona. Bardzo często zdarzają się też bóle brzucha, biegunki i wymioty czy wręcz uporczywe zaparcia.

Hager-Małecka ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Janusz Tkacz ma stwierdzone genetyczne upośledzenie, prawda?

– Zgadza się, mukopolisacharydozę – potwierdziła Jolanta, nawet nie zerkając do notatek. Doskonale znała swoich małych podopiecznych.

– Czy zlecała pani ostatnio zdjęcie RTG struktur kostnych u któregoś z pacjentów?

– Nie, dlaczego pani pyta? – zdziwiła się Wadowska-Król.

Pani profesor wyraźnie się wycofała.

– Bardzo proszę o przebadanie tych kilkorga dzieci pod kątem obecności ołowiu we krwi i przedstawienie mi sprawozdania. Wówczas postanowimy, co dalej. I proszę absolutnie nie wpisywać w dokumentach pacjentów słowa „ołowica”. „Podejrzenie”, „obserwacja” – w porządku, ale nie „ołowica”. Musimy zachować szczególną ostrożność.

Zapadła cisza. Wadowska-Król próbowała ułożyć sobie w głowie to, co usłyszała w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Oczywiście nieobce było jej pojęcie ołowicy, pracowała przecież w sąsiedztwie huty metali nieżelaznych, a badania przesiewowe u hutników od jakiegoś czasu były już powszechne, ale skąd ołów we krwi dziecka, które nie przechodziło na tamtą stronę muru? Janusz Tkacz nie miał przecież bezpośredniego kontaktu z tym metalem, a to oznaczało, że nie tylko on chorował. Każde szopienickie dziecko mogło być zatrute ołowiem!

– Dobrze, kiedy tylko będę gotowa, prześlę pani sprawozdania – obiecała Jolanta, w myślach już układając plan działania. – A co z Januszkiem?

– Włączyliśmy leczenie, ołów powinien wypłukać się z organizmu, ale kto wie, jak długo to potrwa? Obecnie nie mamy pojęcia, jakie będą konsekwencje, bo nikt nie ma żadnych informacji o zatruciu ołowiem u dziecka na taką skalę. O ołowicy wiemy bardzo niewiele. – Hager-Małecka przechadzała się po gabinecie. – Rozumie pani, co to oznacza? – Zatrzymała się i spojrzała na Wadowską-Król. – Jeśli badania wykażą wysokie stężenie ołowiu również u innych dzieci mieszkających w sąsiedztwie, będzie to bezprecedensowa sytuacja.

Jolanta próbowała zebrać myśli. To, co usłyszała od pani profesor, napawało ją przerażeniem. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wychowywane w katowickich Szopienicach dzieci są w o wiele gorszej kondycji niż ich rówieśnicy z Pomorza, Mazowsza, Małopolski czy nawet innych śląskich miast i dzielnic, ale przyczyn tego stanu rzeczy upatrywała raczej w biedzie, brudzie, zaniedbaniach wychowawczych wynikających z nieświadomości rodziców, a w konsekwencji w międzypokoleniowym kontinuum. Wychowywani w tych warunkach rodzice sprowadzali na świat dzieci takie jak oni sami. Słabe, chorowite, pozbawione perspektyw,

naznaczone już w dniu narodzin. W Szopienicach ludzie umierali w sile wieku bez wyraźnej przyczyny, zwłaszcza hutnicy. Nikogo nie dziwiły klepsydry, wywieszane przy wejściach do budynków i przed kościołem: „zmarł w wieku pięćdziesięciu dwóch lat”, „żył czterdzieści pięć lat” i tak dalej.

Początki huty ołowiu sięgały lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku⁹. Sto dziesięć lat. Sześć pokoleń.

Musi jak najszybciej przeprowadzić te badania. Postanowiła zacząć jeszcze tego samego dnia.

Rozdział 5. Helena

Wrzesień 1974

Miecio i Adam bawili się z dziećmi Tkaczów na podwórku. Helena wygoniła ich z domu, żeby starsze dzieci miały spokój przy odrabianiu lekcji. Co jakiś czas któreś z młodszych Kościelniaków przybiegało do domu po bułkę, kompot czy piłkę, która była prezentem dla wszystkich dzieci pod choinkę w ubiegłym roku, po czym wracało do zabawy.

Karolinka skończyła zadanie domowe jako pierwsza, więc matka szybko zaangażowała ją w domowe obowiązki.

– Pójdiesz rozwiesić pranie – zakomenderowała.

– Mogę zrobić to później? – Dziewczynka spojrzała na nią wzrokiem, który Helena doskonale знаła, bo tak patrzył na nią jej mąż, kiedy próbował ją urobić.

Właściwie wszystkie dzieci – oprócz Iwonki – wyglądały joto w jotę jak Stasiak. Czarne włosy, oczy ciemne niczym węgiel i taka sama ich oprawa. Kiedy słońce trochę przyświeciło, od razu opalali się na brązowo. Helena i Iwona miały delikatną karnację, dlatego latem ich skóra często była mocno zaczerwieniona, a później schodziła dużymi płatami.

Silne geny musiał mieć ten Staszek, skoro uwydatniły się u zdecydowanej większości ich dzieci. Ciekawe, do kogo będzie podobne to najmłodsze, które Helena nosiła pod sercem. Powoli zaczynała się przyzwyczajać do myśli, że ich rodzina się powiększy, choć wciąż napawało ją to lękiem. W nocnych koszmarach nadal przeżywała poród Karolinki, który kosztował ją tak wiele zdrowia i sił. Straciła dużo krwi, że jedną nogą była już na tamtym świecie. Niby mówią, że piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce, ale Helena nic nie mogła poradzić na to, że panicznie bała się tego dnia, w którym przyjdzie jej wydać na świat szóste dziecko. O tym, co będzie później, na razie nawet nie myślała.

Helena wygoniła Karolinę z praniem na podwórze. Zamknęła za córką drzwi i wróciła do większej izby. Zerknęła przez ramię Heńka, który robił, co mógł, aby wypełnić całą linijkę powielanym po wielokroć słowem „dach”, ale litery wciąż nie chciały się ułożyć w ten jeden krótki wyraz.

Matka złapała za ścierkę i zdzieliła go przez głowę.

– Za mało się starasz! – zezłościła się. – Kto to widział, żeby w wieku dziesięciu lat nie umieć napisać krótkiego słowa? Cudów od ciebie nie wymagam, ale musisz skończyć chociaż podstawówkę!

W oczach Heńka błyskawicznie pojawiły się łzy, co jeszcze bardziej podjudziło Helenę. Tyle razy mówili mu ze Staśkiem, żeby nie ryczał o byle co, bo on chłop, nie baba!

– Przestań mi się tu mazać. – Helena czuła, że opada z sił. – Nie wyjdiesz z domu, dopóki nie odrobisz lekcji! Co z ciebie wyrośnie? Ani do roboty, ani do nauki!

– To trudne – zaprotestował Henio.

– Musisz się nauczyć pisać, czytać i choćby podstaw matematyki!
– upierała się matka.

Z dnia na dzień była coraz bardziej zniechęcona. Fizyczne zmęczenie było niczym przy tym psychicznym, a życie cały czas rzucało jej kłody pod nogi. Ktoś mądrze kiedyś powiedział, że małe dzieci to mały kłopot, a duże – duży. Zastanawiała się, co wyrośnie z Henia, który mimo że skończył już dziesięć lat, wciąż nie opanował takich podstaw jak pisanie i czytanie, czy z Iwonki, która nie zdała w pierwszej klasie. Nawet żeby zbierać złom, trzeba umieć liczyć!

– Gdzie tata? – zapytała nagle Iwonka, podnosząc wzrok znad zeszytu.

– Poszedł na jakąś fuchę – powiedziała Helena. – Zobacz – zwróciła się do Henia i złapała jego dłoń – małe „d” pisze się odwrotnie, to jest „b”. – Poprowadziła jego rękę, ale chłopiec szybko się wyrwał.

– Nie chcę tego robić, nie chcę się uczyć! – krzyknął. – Mogę pójść na podwórko?

– Chyba żartujesz, lekcje robić! – prychnęła Helena i obróciła się na pięcie, uznawszy, że dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane

i niech odrabia zadanie sam, skoro nie chce pomocy.

Podniosła taboret, który stał przy piecu, a na którym zwykle obierała ziemniaki, i przestawiła go pod ścianę. Weszła na stołek, żeby spojrzeć z bliska na łączenie między sufitem a ścianą, bo wydawało jej się, że znów wyszedł grzyb, z którym walczyła nieprzerwanie od kilku lat. I rzeczywiście, znowu się pojawił! Helena głośno westchnęła. Wilgoć była jednym z największych problemów w starych familokach, choć bardziej doskwierał im brak bieżącej wody w mieszkaniu. O takich luksusach jak łazienka czy gaz nawet nie śmiała marzyć. To między innymi dlatego nie lubiła odwiedzać siostry w jej mieszkaniu na Giszowcu. Jadźka stale podkreślała, jak dobrze jej się wiedzie, a kiedy zaproponowała Helenie, żeby przyjechała się do niej wykąpać, ta poczuła się, jakby dostała w twarz, bo wiedziała, że to zaproszenie nie płynęło z dobrego serca.

Helena próbowała usunąć grzyba za pomocą octu spirytusowego i sody oczyszczonej, ale ten konsekwentnie powracał. Rozstawiała po mieszkaniu pojemniki z solą, która podobno wchłaniała wilgoć, jednak nic to nie dawało. Nie miała już pomysłu, jak pozbyć się grzyba. Kiedy tak stała na taborecie i zastanawiała się, co robić, rozległo się pukanie. To nie mógł być nikt z domowników – Stasiak czy dzieci po prostu weszliby do mieszkania. Zeszła więc ostrożnie ze stołka, odruchowo wytarła dłonie o podomkę i zaciekawiona otworzyła drzwi.

Osoba, która stała w progu, nijak nie pasowała do zniszczonego upływem czasu, zagrzybionego familoka. Gdyby Helena nie rozpoznała w niej doktórki z przychodni, pomyślałaby pewnie, że kobieta zabłądziła, bo tacy ludzie jak ona nie zapuszczali się w te rejony. Byli częścią innego, lepszego świata.

– Dzień dobry – przywitała się Wadowska-Król. – Czy możemy chwilę porozmawiać?

Kiedy Helena otrząsnęła się z szoku, jej serce wypełniła trwoga. W pierwszej chwili pomyślała, że coś złego stało się Mieciowi albo Adasiowi, ale przecież wtedy przyszłaby milicja albo jakiś doktor z karetki, a nie pediatra z rejonowej przychodni.

– T-tak – odpowiedziała drżącym głosem. – Dzień dobry – poprawiła się. – Wejdzie pani do środka?

Wadowska-Król skinęła głową i przeszła przez próg, rozglądając się wokół. Helena podążyła za wzrokiem lekarki i poczuła złość. Przyszła na inspekcję?! Może nie mieli w mieszkaniu bieżącej wody, a na ścianie cały czas wykwitał grzyb, ale Helena była porządną gospodynią i w domu zawsze było posprzątane. Lekarka nie znalazłaby na stole czy parapetach ani grama kurzu!

Jolanta weszła za Heleną do izby, w której Henio i Iwonka odrabiali lekcje przy dużym stole, a przynajmniej próbowali to robić.

– Przywitajcie się – upomniała dzieci matka.

– Dzień dobry – odezwały się jednym głosem.

– Dzień dobry, kochani. – Kiedy Wadowska-Król spojrzała na swoich pacjentów, jej twarz złagodniała, usta ułożyły się w uśmiech, a w kącikach niebieskich oczu pojawiły się drobne zmarszczki. – Jak się macie?

– Dobrze. – Iwonka wzruszyła ramionami.

– Nie chorujecie? – upewniła się Jolanta, ale Helena nie pozwoliła już dzieciom dojść do głosu.

– Coś się stało? – zapytała, z trudem panując nad zdenerwowaniem.

– Nie, nie, spokojnie. – Wadowska-Król spojrzała na górującą nad nią kobietę. – Nic się nie wydarzyło. Po prostu wśród swoich podopiecznych przeprowadzam badania profilaktyczne i chcę panią zaprosić z dziećmi na jutro na godzinę siódmą rano do laboratorium.

– Na jutro? Ale dzieci zaczynają o ósmej lekcje – zaprotestowała Helena, nie rozumiejąc, skąd ten pośpiech.

– To proszę przyjść z młodszymi dziećmi, które nie chodzą jeszcze do szkoły.

– No dobrze, ale co to za badanie?

– Tak jak powiedziałam, profilaktyczne. Sprawdzamy stan zdrowia dzieci z naszego regionu – odpowiedziała wymijająco Wadowska-Król. – Czyli będzie pani?

– Tak, przyjdziemy – potwierdziła Helena. – A co będziecie im robić?

– Pobierzemy krew do badania. Proszę też o próbki porannego moczu.

Helena czekała na jakiś ciąg dalszy, ale ten nie nastąpił.

– W porządku, będziemy – powiedziała, bo przedłużająca się cisza zaczęła jej przeszkadzać.

– Dziękuję. Prosiłabym, aby z nikim pani o tym nie rozmawiała.

Helena zdębiała. Nic z tego nie rozumiała. Pewnie gdyby z taką prośbą przyszedł do niej ktoś inny, odmówiłaby, ale do doktorki miała zaufanie, jak zresztą wszystkie szopienickie matki. Wadowska-Król pracowała w przychodni od dziesięciu lat i walczyła o zdrowie każdego dziecka. Nigdy nikogo nie odsyłała z kwitkiem, zawsze szczegółowo analizowała każdy przypadek, załatwiała dzieciom pobyty w sanatoriach, dodatkowe dostawy jedzenia do szkół i nie rozkładała bezradnie rąk, jeśli czegoś nie wiedziała, tylko robiła wszystko, aby się doksztąpić. Bardzo ją w Szopienicach lubiano i ceniono.

– Dobrze – zgodziła się Helena, choć na usta cisnęły się jej dodatkowe pytania.

Kiedy Wadowska-Król się pożegnała i opuściła mieszkanie, Helena doszła do wniosku, że nawet cieszy się z jej wizyty. Wytłumaczyła sobie tę sytuację na swój sposób: że pewnie te badania to tylko dla nielicznych, wybranych, a jakby ludzie się dowiedzieli, też by chcieli, bo każdy pragnie zdrowia dla swojego dziecka. Uznała więc, że nawet Staśkowi nie powie o wizycie doktorki. Nie spodziewała się, aby chodził po ludziach i opowiadał, kto i dlaczego ich odwiedził, ale zawsze mogło mu się przypadkiem wymknąć coś na hucie, a potem jeden z drugim poszliby do domu i powiedzieli żonom, te zaś zgłosiłyby się z pretensjami na przychodnię: „Doktorko, a dlaczego moich dzieci nie będziecie badać?”.

Helena wróciła do dzieci. Iwonka skończyła pisać w zeszyte szlaczki i, choć pracę domową odrobiła niedbale, matka dała jej spokój. Heniek natomiast wciąż próbował kaligrafować, z marnym skutkiem. Helena tylko przewróciła oczami, nakazała córce schować wyprane, wykrochmalone i wyprasowane prześcieradła do szafy, po

czym wyszła na podwórko, bo Karolinie coś długo się schodziło z tym rozwieszaniem prania.

Była zadowolona, kiedy zobaczyła efekt pracy córki. Bielizna była równiutko zawieszona na sznurku i przypięta klamerkami, jednak samej Karolinki nigdzie nie było. Helena machnęła ręką, uznawszy, że dziewczynka bawi się gdzieś z młodszym rodzeństwem i kolegami z osiedla, i już miała wracać do domu, kiedy z familoka wybiegła Marysia Tkacz.

– U ciebie też była doktorka? – spytała, dopadłszy sąsiadki.

Helena się zawahała, bo w końcu miała z nikim nie rozmawiać o wizycie pediatry, ale przecież Marysia powiedziała „też”.

– Była – potwierdziła.

– Tak myślałam. Kiedy od nas wyszła, od razu pobiegłam do okna zobaczyć, gdzie pójdzie, ale coś długo jej nie było widać i słyszałam, jak u ciebie zamykają się drzwi. Idziecie na te badania? – Marysia szybko przeszła do rzeczy.

– Pójdziemy. A wy?

– Też. Zdradziła ci, o co chodzi?

– Nie.

– Mnie też nie – westchnęła Marysia. – Dziwna sprawa.

– Sama nie wiem. – Helena uciekła wzrokiem, bo nadal czuła opory przed rozmową na temat badań, na które lekarka zaprosiła ją z dziećmi.

– Pytałam, co z Januszkiem, ale odpowiedziała, że nie wie. W szpitalu też nic nie mówią. Martwię się, że to coś poważnego.

– Pewnie sami jeszcze nie wiedzą – pocieszyła Helenę sąsiadka, choć była przekonana, że ona na miejscu Tkaczowej również by się zamartwiała.

– Januszek mówił, że cały czas przychodzą do niego różne doktorki i doktorzy. Bez przerwy go badają. Podobno innych dzieci tak często nie nachodzą.

Helena się nie odezwała, bo nagle zza rogu wyłoniła się cała banda, a ona była zdania, że o pewnych sprawach przy dzieciach się nie rozmawia. Uśmiechnęła się do Adasia, który właśnie cieszył się ze zdobytego gola. Za bramkę służyło wąskie przejście pomiędzy budynkami.

– Pierony, szyby mi wybijecie! – rozległ się głośny krzyk jednej z sąsiadek, ale nikt nie zwrócił na nią większej uwagi.

Helena tylko powiedziała dzieciom, żeby uważały, a kiedy znów zniknęły, goniąc za piłką, wróciła do przerwanej rozmowy.

– Doktorzy wiedzą, co robią – stwierdziła lakonicznie.

– Oby, oby. – Marysia podążyła wzrokiem za dymem unoszącym się wysoko nad kominem huty.

Rozdział 6. Jolanta

Wrzesień 1974

Powinna dawno już być w domu, ale nie wyobrażała sobie, że miałyby tak po prostu wyjść, zanim dostanie wyniki. Poprosiła mamę, żeby odebrała dzieci ze szkoły i posiedziała z nimi do jej powrotu z pracy.

– A ty o której wrócisz? – zapytała matka.

– Nie wiem, pewnie późno – odparła.

Matka zrozumiała.

Jolanta miała to szczęście, że dzieliła życie z medykiem, więc jej mąż również rozumiał. Czasem po prostu wszystko inne staje się nieważne, może się walić i palić, a lekarz ma obowiązek zostać przy pacjencie. Organizacja codziennego życia, kiedy zarówno on, jak i ona wykonywali ten zawód, nie była łatwa, ale na szczęście mieli do pomocy jej mamę. Gdyby nie ona, chyba któreś z nich musiałyby zrezygnować z pracy w zawodzie, a żadne sobie tego nie wyobrażało.

Wadowska-Król przechadzała się po gabinecie. Co jakiś czas wpadały na siebie z Wiesią Wilczek, bo pomieszczenie było niewielkie, a obydwie pograżyły się we własnych myślach. Lekarka powiedziała pielęgniarce, która była jej prawą ręką, żeby szła już do domu, ale ona postanowiła także wytrwać na posterunku w oczekiwaniu na wyniki badań. Laboratorium obiecało je wysłać jeszcze dziś.

Wiesia była jedyną osobą w przychodni, której Jolanta opowiedziała o wizycie Bożeny Hager-Małeckiej. Pani profesor prosiła ją o dyskrecję, jednak Wiesię musiała wtajemniczyć, bo potrzebowała jej pomocy. Miała do niej pełne zaufanie. Drugą i ostatnią osobą, z którą rozmawiała na temat wizyty kierowniczkii zabrzańskiej kliniki i jej sensacyjnych wieści, był jej mąż. Wadowska-Król doskonale zdawała sobie sprawę, że zlecając

w tajemnicy oznaczenie poziomu ołowiu we krwi dzieci mieszkających w sąsiedztwie huty, naraża się władzom. W obliczu propagandy sukcesu to była sprawa polityczna. Tu nie chodziło tylko o nią, miała przecież rodzinę, była matką, żoną.

Ale jej mąż zareagował tak, jak przewidywała.

– Rób, co trzeba – powiedział i to jej wystarczyło.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Wiesi.

– Idę sobie zrobić kawę. Chcesz też?

Jolanta skinęła głową.

– Poproszę.

Wiesia wyszła z gabinetu. Lekarka usiadła przy biurku i zaczęła przeglądać dokumenty, szukając jakiegoś zajęcia. Nie mogła znaleźć sobie miejsca. Cierpliwość nigdy nie była jej najmocniejszą stroną. Zdecydowanie woląca działać niż beczynn timer czekać na rozwój wydarzeń.

Nagle drzwi otworzyły się z impetem i do środka wpadła zaaferowana Wiesia Wilczek.

– Są! – Uniosła w górę plik kartek niczym najcenniejsze trofeum.

Wadowska-Król ponagliła ją niecierpliwym, nerwowym gestem. Bez słowa przejęła od pielęgniarki wyniki badań i wbiła niespokojne spojrzenie w pierwsze z nich. Jak to było? Co Hager-Małęcka powiedziała, kiedy oznaczono poziom ołowiu we krwi Januszka Tkacza? Że musieli się pomylić? Doktor Jolanta Wadowska-Król doskonale ją w tym momencie rozumiała, ponieważ pomyślała to samo. To niemożliwe, aby pięcioletnie dziecko miało takie wyniki! Cztery krzyżyki, zupełnie jak u pracowników huty, stale narażonych na kontakt z ołowiem. Wadowska-Król nie miała możliwości zlecenia dokładniejszych badań – jedyny spektrofotometr w regionie był w Sosnowcu, a pierwszeństwo do zlecenia oznaczeń poziomu ołowiu miały szpitale, dlatego zbadała koproporfiryny w moczu, kwas delta-aminolewulinowy i morfologię krwi.

Odłożyła pierwszą z kartek na biurko. Dopiero wtedy dostrzegła, jak bardzo trzęsą jej się ręce. Już wolniej i spokojniej przestudiowała wyniki kolejnego dziecka. I znowu cztery krzyżyki. Spojrzała na nazwisko. Chłopiec, tak jak jego brat, wymagał pilnej interwencji medycznej. Następne dziecko. Trzy krzyżyki. I kolejne.

Jolanta pokręciła z niedowierzaniem głową, znów widząc trzy krzyżyki. Wszystkie te dzieciaki były zatrute ołowiem i powinny natychmiast znaleźć się w szpitalu. Tylko jedna dziewczynka z kilkanaściorga dzieci, którym pobrano krew i mocz, miała dwa krzyżyki, co jednak wcale nie znaczyło, że była zdrowa.

– I co? – ponagliła lekarzkę Wiesia Wilczek.

Wadowska-Król zdjęła okulary i położyła je na biurku. Palcami wskazującymi mocno ucisnęła skronie.

– Wyniki są fatalne. Wszystkie dzieci, które przebadaliśmy, mają podwyższony poziom ołowiu – powiedziała głosem zachrypniętym od nadmiaru emocji. – Niektóre mniej, niektóre bardziej, ale żadne dziecko nie jest zdrowe.

Wiesia Wilczek, która z nerwów zjadła już tego dnia całą różową pomadkę, pieczołowicie nakładaną każdego ranka na usta, pobladła. Tego się nie spodziewała. Całkiem zrozumiałe było, że pracownicy huty chorowali na ołowicę, bo pracowali bezpośrednio przy ołowiu, ale skąd, u licha, metal we krwi tych dzieci?!

Przełknęła głośno ślinę.

– I co teraz zrobimy?

Jolanta Wadowska-Król milczała. Miała już plan awaryjny, który obmyśliła ostatniej, bezsennej nocy. Posiadanie takiego planu leżało w jej naturze, ale jeszcze kilka minut wcześniej miała nadzieję, że nie będzie musiała wcielać go w życie. To byłoby czyste szaleństwo. Hager-Małecka poprosiła ją przecież o wykonanie kilku, może kilkunastu badań. Wadowska-Król powinna przekazać sprawozdanie i czekać na rozwój wypadków, ale już kiedy przeglądała wyniki pierwszego dziecka, Adasia Kościelniaka, wiedziała, że na tym nie poprzestanie. Trzeba było działać szybko, nie tylko ze względu na to, że przebadane dzieci potrzebowały pilnej interwencji lekarskiej, a lekarka przypuszczała, że takich dzieciaków jest o wiele więcej. Zdawała sobie sprawę, że nie ma dużo czasu, bo jeśli informacje o jej działaniach dotrą do władz, badania w każdym momencie mogą zostać przerwane. Dlatego trzeba było zaczynać już, teraz, zaraz.

– Musimy przebadać wszystkie dzieci z sąsiedztwa huty – oznajmiła spokojnym głosem Wadowska-Król.

– Wszystkie? Będzie tego z... – zawahała się Wiesia.

– Prawdopodobnie z kilka tysięcy – przyznała lekarka. Nagle się poderwała. – Muszę porozmawiać z doktorem Urbanem. Jest jeszcze u siebie?

– Chyba tak – odpowiedziała pielęgniarka, bo prawdę mówiąc, w ostatnich godzinach była bardziej zainteresowana wynikami, które miały nadejść, niż tym, czy kierownik przychodni jest w pracy.

Jolanta Wadowska-Król odruchowo poprawiła fryzurę i wygładziła fartuch, bo była z tego pokolenia, które poprzez wygląd, zachowanie oraz maniery wyrażało szacunek wobec przełożonych. Przeszła przez długi, pusty o tej porze korytarz, a odgłos uderzających o podłogę chodaków odbijał się głośnym echem od ścian, które kiedyś były białe, a teraz przybrały odcień szarości. Stała pod ciężkimi, wysokimi drzwiami i energicznie w nie zapukała.

– Proszę! – rozległ się niski głos.

Gdyby Kazimierz Urban zamiast zostać lekarzem, wybrał karierę śpiewaka operowego, ze swoim basem z całą pewnością miałby szansę na sukces.

Wadowska-Król szarpnęła za klamkę i weszła do gabinetu kierownika.

– Mogę zająć ci chwilę? – zapytała od progu.

Kazimierz Urban spojrzał na nią przez prostokątne oprawki okularów i wzruszył szerokimi ramionami. W jego przypadku budowa ciała doskonale komponowała się z niskim, tubalnym głosem.

– Siadaj. – Wskazał Jolancie wolne krzesło. – Wprawdzie zaraz miałem wychodzić, bo muszę załatwić kilka spraw w centrum, ale mam jeszcze parę minut.

– Rozumiem, nie zabiorę ci dużo czasu. – Jolanta odchrząknęła. – Słuchaj, chciałabym zrobić badania wszystkim dzieciom mieszkającym w sąsiedztwie huty, bo oznaczyłam poziom ołowiu u kilkunastu i wyniki są bardzo złe.

Doktor Urban zamrugał nerwowo.

– Zaraz, zaraz. Skąd w ogóle pomysł, żeby oznaczyć poziom ołowiu?

– Jeden z moich pacjentów przebywa w klinice u profesor Hager-Małeckiej – wyjaśniła Wadowska-Król. – Dziecko jest zatrute ołowiem, dlatego pani profesor osobiście do mnie przyjechała i poprosiła, żeby sprawdzić, czy to jednostkowy przypadek, czy jednak ten problem występuje u większej liczby dzieciaków. Każdy, powtarzam: każdy z przebadanych przeze mnie małych pacjentów ma znacznie podwyższone stężenie ołowiu we krwi. To są dzieci mieszkające w bezpośrednim sąsiedztwie huty ołowiu, tuż za murem.

Kazimierz Urban głośno wypuścił powietrze z płuc i posłał swojej podwładnej zaniepokojone spojrzenie.

– Chcesz, to rób, ale mnie w to nie mieszaj – odezwał się po dłuższym wahaniu.

– Czyli jest zgoda? – Wadowska-Król poderwała się z krzesła z szerokim uśmiechem.

– Powiedziałem: chcesz, to rób.

– Dziękuję! – Lekarka jak na skrzydłach wybiegła z gabinetu kierownika przychodni.

W myślach już dopinała szczegóły. Nie bała się konsekwencji swoich działań, bo nie po to składała przysięgę Hipokratesa, żeby teraz się zastanawiać, komu i dlaczego może się narazić, lecząc swoich pacjentów. Najbardziej przerażało ją to, jak niewiele wie o wrogu, który panoszył się w organizmach dzieci z sąsiedztwa huty. Po wizycie profesor Bożeny Hager-Małeckiej próbowała znaleźć informacje o ołowicy w specjalistycznej literaturze, ale bez większego sukcesu. Zatrucie ołowiem było chorobą zawodową, dlatego natrafiła tylko na pojedyncze wzmianki o pracownikach zatrudnionych bezpośrednio przy wytopie i obróbce tego metalu. Nikt nie wiedział, jakie konsekwencje może mieć zatrucie ołowiem dla kilkuletniego organizmu.

Wpadła jak burza do swojego gabinetu, w którym Wiesia Wilczek ze zdenerwowania obgryzała skórki przy paznokciach. Jolanta zdziwiła się, widząc pielęgniarkę, bo kompletnie zapomniała o tym, że ją tutaj zostawiła. Wadowska-Król myślami była już gdzie indziej.

– Zgodził się?

Lekarka pokiwała głową.

– Powiedzmy, że dał mi wolną rękę – powiedziała wymijająco. – Boże, jest tyle do zrobienia. Muszę zacząć od razu!

– Pomogę ci, tylko powiedz, co mam robić. – Wiesia natychmiast była gotowa do pracy, mimo że przecież skończyła już dniówkę.

Wadowska-Król się zawahała. Powoli położyła dłoń na ramieniu pielęgniarki.

– Sprawa jest wyjątkowo delikatna, więc zrozumieć, jeśli teraz się wycofasz.

– A w życiu! – zaprotestowała Wiesia. – Nie zostawię cię z tym samej! Nikt inny tym dzieciakom nie pomoże. Trzeba zrobić to, co do nas należy.

Jolanta uśmiechnęła się do pielęgniarki. Czas na podziękowania przyjdzie później. Teraz miały mnóstwo pracy.

Rozdział 7. Helena

Wrzesień 1974

Huk tłuczonego szkła odbił się głośnym echem od ściany. Helena wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że Stasiak już zasnął, a on tymczasem pałętał się po drugiej izbie, prawdopodobnie szukając czegoś do picia. Nie odzywała się. Heniek, którego tego wieczoru ułożyła do snu z Karolinką i Iwonką na małżeńskiej wersalce, zerwał się do pozycji siedzącej, ale pokornie usłuchał, kiedy matka przyłożyła palec wskazujący do ust, nakazując mu, aby był cicho. Dziewczynki już spały, tak jak ich młodsi bracia. Pozostawało mieć nadzieję, że i ojciec wkrótce zaśnie.

Helena siedziała na brzegu wersalki, nasłuchując. Tę noc będzie musiała spędzić na podłodze, bo nie wyobrażała sobie, żeby miała się położyć obok tego ochlapusa. A tyle jej naobiecował po ostatniej pijackiej awanturze! Wierzyła, że ma spokój przynajmniej do dnia wypłaty, a tymczasem Stasiak wrócił do domu kompletnie pijany. Znowu pił z kolegami wódkę po pracy. A przecież prosiła: jak już się musisz napić, napij się piwa, nie wódki, bo wódka ci rozum odbiera!

Wiedziała już, co jest na rzeczy, kiedy na zegarze wybiła godzina szósta po południu. Stasiak powinien wrócić chwilę po drugiej, pracował przecież po drugiej stronie muru i droga powrotna zajmowała mu trzy, może cztery minuty. Wciąż jednak łudziła się, że nawet jeśli się upił, zachowa się jak należy i pójdzie spać.

Pozbyła się tych złudzeń w momencie, kiedy chwiejnym krokiem przekroczył próg domu i zaczął strofować dzieci. Zażądał okazania zeszytów i choć sam ledwo skończył szkołę zawodową, rozpoczął długie kazanie na temat lenistwa i tępoty, których on pod swoim dachem tolerować nie będzie. Ten scenariusz był Helenie skądinąd już znany. Znowu zaczęła stawać w obronie dzieciaków, bo nie chciała, aby kolejny raz oberwały, a wówczas Stasiak swój gniew

skierował na nią. Rozpłakała się, kiedy wylał na stół zupę z talerza, który podsunęła mu pod nos, gdy tylko łaskawie wrócił.

– I tak w tym domu jest chlew! – grzmiał. – Co z ciebie za gospodyni? Sprzątaj to!

Przełykając łzy, zaczęła szybko ścierać z ceraty zupę, zanim spłynęła na podłogę. Starła się jakoś racjonalizować sobie całą sytuację: to nie Stasiek, to wódka, tak, to wódka przez niego przemawia. Przecież normalnie się tak nie zachowywał, nigdy. Tylko kiedy wypił, dostawał małego rozumu. A to nie zdarzało się aż tak często. Inni więcej pili, przepijali całe wypłaty, a Stasiek był przezorny i to Helenę wysyłał do działu płac, żeby odbierała pieniądze, bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że będzie go kusiło, a rodzinę trzeba utrzymać.

Helena wyliczała w głowie zalety męża, bo w jej naturze leżało myślenie, że zawsze mogłoby być gorzej. Pracował, nie bił. Nic to jednak nie dało. To ostentacyjne rozlanie zupy na mięsie, które wystąpiła w kilkugodzinnej kolejce, przelało czarę goryczy. Zamknęła się z dziećmi w małej izbie i czekała, aż pijak pójdzie spać.

Stasiek właściwie nie był wyjątkiem. Piły całe Szopienice, bo co tu innego było do roboty? Helena wiedziała, że każdy mężczyzna czasem musi się napić, i nie miałyby nic przeciwko, gdyby, no właśnie, gdyby nie te głośne awantury, które Stasiek urządzał po wódce. I gdyby pił nie tak po prostu, dla zabicia czasu, a choćby z jakiejś okazji.

Nasłuchiwała w ciszy. Do odgłosów wydawanych przez sen przez dziewczynki, Adasia i Miecia dołączyło cichutkie chrapanie Henia. Odetchnęła z ulgą. Tyle dobrego, że dzieci już spały. Za ścianą również zapanowała cisza, więc Helena na palcach podeszła do drzwi i powoli je uchyliła. Zaskrzypiały, bo zawiasy były stare i nienaoliwione. Odczekała chwilę, ale kiedy nic się nie wydarzyło, wyszła z pokoju. Zerknęła do drugiej izby. Stasiek spał w ubraniu na wersalce, leżąc na brzuchu i z jedną nogą na podłodze. Wycofała się i sprawnym ruchem przeszukała kieszeń jego kurtki. Wyciągnęła z niej zmiętą paczkę papierosów bez filtra i zapalki, po czym po cichu wyszła z domu.

Na co dzień nie paliła, tylko czasem, w stanach silnego wzburzenia czuła taką potrzebę. Kiedy tylko wyszła na zewnątrz, natychmiast pożałowała, że nie nałożyła na siebie swetra. Noc była chłodna, bo bezchmurna, o czym Helena nie mogła wiedzieć, bo Szopienice nieustannie były przykryte gęstą chmurą, jednak nie taką powstałą z pary wodnej. Kościelniakowa przeszła szybkim krokiem przez klepisko przed familokiem i zatrzymała się przy wychodku. Już miała schować się za drewnianą budką, kiedy jej drzwi nagle się otworzyły i ze środka wyszła Marysia Tkacz.

Sąsiadka głośno krzyknęła.

– Boże, dostanę przez ciebie zawału! Co się tak skradasz? – Tkaczowa złapała się ostentacyjnie za klatkę piersiową.

Helena bez słowa wyciągnęła w górę dłoń, w której ścisnęła paczkę papierosów.

– I po co się z tym kryć? – Marysia wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, żeby sąsiedzi mnie zobaczyli, bo jeszcze ktoś by doniósł Staškowi.

– On sam pali, dlaczego miałby tobie zabraniać?

– Bo ja go wyzywam, że ma przestać. – Kościelniakowa gestem dała sąsiadce znać, żeby za nią poszła. – Zapalisz? – Podsunęła Marysi pod nos paczkę, kiedy już stanęły za wychodkiem.

– Zapalę. – Tkaczowa wyciągnęła jednego i wsunęła do ust.

Helena odpaliła zapalną i zbliżyła ją do papierosa sąsiadki. Po chwili obie kobiety kaszlały głośno, bo Marysia również nie była palaczką.

Kościelniakowa unikała wzroku Tkaczowej. Na pewno cały familok słyszał wyzwiska ciskane przez Staška. Niby nie powinna się wstydić przed Marysią, która także miewała różne przeboje ze swoim mężem, ale i tak nie potrafiła jej spojrzeć w oczy. Bała się, że zobaczy w nich litość, a to było coś, czym Helena gardziła. Nie chciała budzić politowania, dlatego nie okazywała słabości. Była silna, bo w tym miejscu mogli przetrwać tylko ludzie o najmocniejszych charakterach.

– Ciężki dzień, co? – zagadnęła nieśmiało Marysia.

– Jak każdy – bąknęła pod nosem Helena. Dym drapał ją w gardle, ale w jakiś sposób też uspokajał. – Doktórka powiedziała

ci coś więcej? – szybko zmieniła temat.

– Nie, a tobie?

– Też nie. Pytałam, po co te badania, ale stwierdziła, że wszystkiego się wkrótce dowiem. Nie rozumiem, skąd te tajemnice.

– A co z Januszkiem? – zapytała Helena.

– Doktórka ze szpitala chce ze mną rozmawiać. – Marysia wpatrywała się w wydmuchany przez siebie dym, który leniwie rozchodził się w powietrzu. – Ja tak sobie myślę, że może jemu brakuje świeżego powietrza. Jak wrócił z Wisły, było lepiej, nawet mu się kolory na twarzy pojawiły, a tak to cały czas taki blady. Dobrze, że na hucie jest ten fundusz socjalny i można wysłać dzieci na kolonie.

– A moje wróciły z wysypką – wtrąciła Helena. – Poszłam z nimi do doktórki, podejrzewała jakieś uczulenie, ale kilka dni później było po wysypce. One przyzwyczajone do tego syfu z kominów, świeże powietrze im nie służy. – Parsknęła śmiechem, bo nagle wydało jej się to szalenie zabawne. – To co, wracamy? – Spoważniała.

Marysia rzuciła niedopałek na klepisko i przydeptała go butem.

– Wracamy.

Rozdział 8. Jolanta

Wrzesień 1974

Wadowska-Król spojrzała na zegarek. Szósta pięćdziesiąt sześć. Do otwarcia laboratorium zostały cztery minuty. Przed wejściem ustawił się już ogonek pacjentów. Ci, którzy ją znali, szczerze się do niej uśmiechali, pozostali posyłali niechętnie spojrzenia paniusi, która chciała się wprosić do środka bez kolejki.

W żyłach Wadowskiej-Król krążyły adrenalina i nieprzyzwoite ilości kofeiny. Położyła się późno, a chwilę przed piątą była już na nogach. Nie miała czasu do stracenia. Wyznaczyła sobie na dziś sporo zadań. Wsunęła dłonie do kieszeni beżowego płaszcza. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej temperatury przekraczały dwudziestą piątą kreskę, a teraz wczesnym rankiem ledwie sięgały ósmej. Dojrzałą zieleń dookoła gdzieś znaczyły już odcienie brązu. Jesień coraz odważniej rozgaszczała się na ulicach śląskich miast.

Minutę przed siódmą rozległ się charakterystyczny chrobot klucza przekręcanego od środka w zamku. Pacjenci naporli na drzwi. Jolanta próbowała przecisnąć się przez tłum i pewnie nie poszłoby jej to tak sprawnie, gdyby jedna z kobiet, która rozpoznała w niej lekarzkę prowadzącą swoich dzieci, nie krzyknęła głośno do pozostałych, aby przepuścili doktorkę.

Wadowska-Król minęła rząd krzeseł równiutko ustawionych w poczekalni. Wpadła do zabiegowego, gdzie unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy i zapach środków antyseptycznych. Wysoka, szczupła pielęgniarka rzuciła jej zdziwione spojrzenie spod sklejonych tuszem rzęs.

– Dzień dobry, nazywam się Jolanta Wadowska-Król i jestem lekarzem pediatrą w przychodni numer dwa – powiedziała. – Czy mogłabym porozmawiać z kierownikiem laboratorium?

– Pani kierownik jeszcze nie ma, ale zaraz powinna przyjść. Zechce pani poczekać?

Wadowska-Król podziękowała i wróciła do poczekalni, w której tymczasem zdążyli zgromadzić się pacjenci. Po piętnastu minutach w ciasnym, podłużnym pomieszczeniu zrobiło się duszno, a nozdrza zaczął drażnić zapach niemytych ciał i przeпоconych ubrań. Kolejka zmniejszała się stopniowo. Wadowska-Król ze zniecierpliwieniem spojrziała na zegarek. Od dziesiątej miała zapisanych pacjentów, a to był dopiero pierwszy punkt na jej liście tego dnia.

Dwadzieścia pięć minut po siódmej przez poczekalnię przemknęła spocona, zaczerwieniona na twarzy kobieta, złorzecząc pod nosem na spóźniające się autobusy. Jolanta miała przecucie, że to właśnie na nią czekała. Przeprosiła mężczyznę, którego przypadkowo szturchnęła w ramię, i pognała za kobietą w wieku plus minus pięćdziesięciu lat.

– Przepraszam – zaczęła ją. – Pani jest kierowniczką laboratorium?

– Tak. – Kobieta zmierzyła ją nieufnym spojrzeniem. Lustracja musiała przebiec pomyślnie, bo powiedziała: – Zapraszam do siebie.

Wadowska-Król podążyła za nią do małego kwadratowego pomieszczenia, w którym mieściły się tylko postawione pod oknem biurko z krzesłem, przeszklona szafka z lekami i środkami opatrunkowymi i fotel do pobierania krwi.

– Przepraszam za warunki, ale mamy tu wyjątkowo mało miejsca. W czym mogę pani pomóc? – zapytała kierowniczka, wieszając torebkę na oparciu krzesła.

– Nazywam się Jolanta Wadowska-Król i jestem pediatrą w przychodni numer dwa na Franciszoka. Muszę przeprowadzić badania, możliwe, że nawet kilka tysięcy, dlatego przyszłam zapytać o możliwości. Koproporfiryny w moczu, kwas delta-aminolewulinowy, morfologia krwi, chyba że możecie mi robić oznaczenie poziomu ołowiu, to też poproszę – wyrzuciła z siebie szybko lekarka. – Ile takich badań dziennie jest mi pani w stanie zrobić?

Kierowniczka laboratorium zmarszczyła brwi.

– Z ołowiem będzie problem, jedyny spektrofotometr jest...

– W Sosnowcu, wiem. Dobrze, wystarczą mi koproporfiryny. Ile?
– ponagliła Jolanta kobietę.

– Jakieś trzydzieści badań – powiedziała kobieta po dłuższym zastanowieniu.

– Każdego dnia? – upewniła się Wadowska-Król.

– Tak.

– Czy możemy zacząć od jutra?

Kierowniczka laboratorium spojrzała na nią z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Jolanta odniosła wrażenie, jakby kobieta chciała ją o coś zapytać, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, doszedłszy do wniosku, że czasem lepiej nie wiedzieć.

– Możemy – potwierdziła kierowniczka.

– Dziękuję.

Lekarka pożegnała się i szybkim krokiem wyszła z budynku. Musiała się spieszyć. Mrużąc oczy od wrześniego słońca, ruszyła w dół ulicy. Owinęła szczelniej szyję elegancką apaszką w kolorze écru, którą w czerwcu dostała od męża na trzydzieste piąte urodziny. Szła pewnie, rażno stawiając nogę za nogą w beżowych czółenkach. Mogłaby podjechać dwa przystanki autobusem, ale za dużo było w niej energii i chęci do działania, aby beczynnie czekać, aż jakiś przyjedzie.

W drugim laboratorium powiedziano jej, że dziennie są w stanie zrobić od dwudziestu do trzydziestu badań, w trzecim – około trzydziestu, w porywach do czterdziestu. Gdy lekarka wchodziła do przychodni, na jej twarzy malowała się satysfakcja. Szybko się przebrała, spojrzała na zegarek i od razu zawołała do siebie Wiesię Wilczek.

– I co, czego dowiedziałaś się w laboratoriach? – ponagliła ją pielęgniarka.

– Łącznie mogą nam zrobić do stu badań dziennie. – Jolanta już stała przy szafce z kartotekami pacjentów i wysuwała pierwszą szufladę. – Musimy wybrać klucz, według którego będziemy działać, bo inaczej zapanuje chaos i szybko się pogubimy. Pierwszego pacjenta mam umówionego za pięćdziesiąt minut. Proponuję ułożyć karty pacjentów ulicami, a potem rodzinami.

Wiesia Wilczek skinęła głową, bez słowa podeszła do szafki i wysunęła drugą szufladę. W tym czasie Jolanta zdążyła już

rozłożyć zawartość pierwszej na podłodze. Sprawnie opróżniły wszystkie szuflady i przystąpiły do pracy.

– Zaczniemy od Rzemieślniczej, te familoki znajdują się najbliżej huty – postanowiła Jolanta.

W myślach błogosławiła samej sobie za porządek w dokumentach. Gdyby nie to, zesłoby im się ze trzy razy dłużej. Na samej tylko Rzemieślniczej mieszkało kilkadziesiąt rodzin, w większości wielodzietnych, niektórzy mieli nawet dziesięcioro albo i więcej dzieci.

– W porządku. Tu są wszyscy z Rzemieślniczej, zgadza się? – upewniła się lekarka. – Musimy teraz sporządzić listę nazwiskami, alfabetycznie, żebyśmy mogły potem zaznaczać, kto stawił się na badanie, jakie ma wyniki i tak dalej. No i trzeba będzie wypisać wezwania i zanieść je na pocztę. Ja zajmę się listą.

– A ja wypiszę i wyślę wezwania – zawtórowała jej Wiesia.

– Czeka nas mnóstwo pracy. – Wadowska-Król prześledziła wzrokiem kartoteki, które zajmowały niemal całą podłogę, a przecież to była dopiero jedna ulica!

Pozostałe karty odłożyły w równiutkim stosie, aby zająć się nimi później, czyli po godzinach przyjęć pacjentów.

Jolanta wiedziała, że tego dnia również szybko nie wróci do domu.

Rozdział 9. Helena

Wrzesień 1974

Od czasu tamtej pamiętnej popijawy i awantury, którą w jej konsekwencji wywołał, Stasiak był do rany przyłóż. Przysięgał, że już nigdy się tak nie zachowa, ale po jedenastu latach małżeństwa Helena wiedziała, że to kolejna obietnica, z której się nie wywiąże. Dla świętego spokoju mu jednak wybaczyła, a przynajmniej tak mu powiedziała, bo w głębi serca czuła do niego żal.

Nie była już ani trochę tą osiemnastoletnią dziewczyną, która w sześćdziesiątym drugim roku rozpoczęła pracę w dziale kontroli jakości huty cynku. Tak, Helena też miała krótki epizod pracy na hucie, zanim wyszła za mąż i zaczęła rodzić dzieci niemal rok po roku. Kiedy przyszła do domu i oznajmiła rodzicom, że najęła się do pracy w szopienickiej hucie, matka bezradnie rozłożyła ręce. Nie takiego losu chciała dla swojej córki, uważała, że ta nie jest stworzona do ciężkiej fizycznej pracy, ale jedno musiała przyznać – huta zapewniała stałość zatrudnienia, pewne pieniądze i dbała o swoich pracowników. Sporo mieszkańców Imielina dojeżdżało do pracy do Szopienic i to właśnie jedna z koleżanek pracujących na hucie przekonała Helenę, że wcale nie jest tam tak źle, jak mogłoby się wydawać, i wbrew pozorom to miejsce również dla kobiet.

Helena była wówczas szczuplutką, ale wysoką i całkiem silną dziewczyną. Potrafiły przetrząść z koleżankami na jednej zmianie od czternastu do szesnastu ton. Sprawdzały każdą blachę. Podnosiły ją we dwie, bo w pojedynkę by sobie nie poradziły.

To właśnie w pracy wypatrył ją Stasiak. On z kolei wychował się w Szopienicach, tak jak jego rodzice i dziadkowie. Na hucie pracowali jego ojciec i dziadek, więc i on po podstawówce poszedł do hutniczej szkoły zawodowej, którą prowadziła huta.

Helena szybko zorientowała się, że jeden atrakcyjny ciemnooki brunet wodzi za nią wzrokiem, ale za dużo nasłuchiwała się od matki

o przystojnych chłopach, którzy tylko patrzą, jak zbałamucić dziewczynę, a później ona zostaje sama z brzuchem.

– Z ładnej miski się nie najesz – powtarzała jej mama. – Chłop nie musi być piękny, ważne, żeby roboty pilnował i cię szanował. Nawet lepiej, jak jest brzydki, bo nie będzie się za innymi uganiał.

Dlatego kiedy koleżanki z pracy coraz śmielej sugerowały jej, że chyba wpadła Staškowi w oko, ona tylko wzruszała ramionami. Nie zamierzała pozwolić, by zawrócił jej w głowie. Była mocno stąpającą po ziemi dziewczyną, jednak wieczorami, kiedy kładła się spać, coraz częściej po zamknięciu oczu widziała twarz Staška. Nie przyznałaby się do tego głośno, dlatego w pracy konsekwentnie lekceważyła jego zaczepki. I może właśnie dlatego tak się na nią uwziął? Wcześniej szybko tracił zainteresowanie dziewczynami, bo nie musiał się o nie specjalnie długo starać. Sam tego nie rozumiał, bo chociaż na Helenie, owszem, można było zawiesić na dłużej oko, to z wyglądu niczym specjalnym się nie wyróżniała! Ot, zwyczajna dziewczucha, jakich wiele.

Tymczasem Helena coraz częściej zerkała ukradkiem w stronę pieców, przy których pracował Stasiek. To była jedna z najcięższych prac na hucie, bo stało się przy piecu, w którym temperatura sięgała czterystu sześćdziesięciu stopni Celsjusza, i przez osiem godzin za pomocą kielni odlewniczej nabierało się stopiony cynk i nalewało go do formy. Najlżejsza kielnia ważyła jedenaście kilogramów, najcięższa – trzydzieści sześć, bez wsadu. Na zmianie w cztery osoby trzeba było odlać dwanaście karuzel, każda po dwadzieścia cztery formy, a jedna forma ważyła sześćdziesiąt kilogramów. W sumie ponad siedemnaście ton ciekłego metalu, każdego dnia, od poniedziałku do soboty, choć w soboty trochę mniej, bo pracowali w systemie sześciogodzinnym.

Stasiek był jednym z najbardziej zaradnych i chwalonych pracowników, proponowano mu nawet, aby został przodowym, ale on tylko czekał na okazję, żeby czmychnąć do innego wydziału, najlepiej do ołowiu, bo najlepiej płacili właśnie przy przetapianiu złomu akumulatorowego.

– Synek, po co ci to? – Sam nadmistrz walcowni pukał się wymownie w głowę. – Młody jesteś i głupi. Tylko zdrowie tam

stracisz, a tu masz przed sobą perspektywy awansu.

Helena szybko uciekała spojrzeniem, kiedy Stasiék odwracał się w jej stronę. Udawała, że nie interesuje jej to, co on mówi i robi, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Przystojny kolega z pracy coraz częściej zajmował jej myśli. Trudno jej było wskazać konkretny moment, w którym pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. To chyba działało się stopniowo. Najpierw odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem na jego spojrzenie, potem dała się zaprosić do tańca na zorganizowanej przez hutę zabawie sylwestrowej, a kiedy zapomniał z domu śniadania, podzieliła się z nim swoim. Ale tak naprawdę wszystko zaczęło się od wydziałowej imprezy karnawałowej, po której pozwoliła mu się pocałować.

Stasiék powoli zdobywał jej zaufanie. W końcu postanowiła przedstawić go rodzicom i zaprosiła go na niedzielny obiad do Imielina, gdzie już wówczas wracała tylko na weekendy, bo dojazdy do pracy okazały się zbyt czasochłonne, zwłaszcza że autobusy zimą często się spóźniały albo w ogóle wypadały z kursu. Helena wraz z trzema innymi młodymi dziewczynami z huty zajmowała malutki pokoik w hotelu robotniczym. Pomiedzy wąskimi łózkami przechodziło się bokiem, a drzwi otwierały się na szerokość ledwie kilkudziesięciu centymetrów, bo tuż za nimi stała niewielka szafa, którą trzy kobiety musiały się podzielić. Helena sypiała źle i krótko, bo mieszkańcy hotelu często urządzali zakrapiane wódką, głośne imprezy, uniemożliwiając spokojny wypoczynek pozostałym lokatorom. Nigdy jednak nie narzekała. Miała pracę i dach nad głową, czego więcej mogłaby chcieć?

Jej matka wysprzątała dom i przygotowała rosół, roladę, kluski śląskie i modrą kapustę. Wyjęła nawet biały szydełkowy obrus, który rozkładała na stole tylko na specjalne okazje. Helenie wydawało się, że Stasiék zrobił całkiem dobre wrażenie na jej rodzicach, zwłaszcza na ojcu, który po kilku głębszych szybko znalazł wspólne tematy do rozmowy z kandydatem na zięcia, jednak kiedy matka poprosiła ją o pomoc w kuchni, gdzie od progu posłała jej pełne dezaprobaty spojrzenie, dziewczyna pozbyła się złudzeń.

– Nie będziesz z nim szczęśliwa. – Matka od razu przeszła do rzeczy. – Przyznaję, to miły chłopiec, ale fatalny kandydat na męża.

Helena poczuła napływające do oczu łzy. Jak ona może?! W ogóle go nie zna, nic o nim nie wie, nie ma pojęcia, jakim jest człowiekiem!

– Dlaczego tak mówisz? – spytała zapalczywie. Od płaczu powstrzymywała się tylko dzięki sile charakteru.

Tak bardzo zależało jej na tym, żeby rodzice zaakceptowali Staśka, a matka z jakiegoś powodu z góry była do niego uprzedzona!

– Taki fircyk z niego – zawyrokowała. – Gołym okiem widać, że będą z nim problemy. Wspomnisz moje słowa, że jemu tylko jedno w głowie.

– To nieprawda! Stasiak nigdy... On nie... – Helena poczuła, że na jej twarzy wykwitły rumieńce. – Zrozumiał, że chcę poczekać do ślubu – wyrzuciła z siebie, wbijając wzrok w podłogę.

– Pewnie inne mu dają. – Matka wzruszyła ramionami.

– Jesteś niesprawiedliwa. Stasiak bardzo ciężko pracuje na hucie, przodownicy go chwala. – Helena podjęła jeszcze jedną próbę obrony ukochanego, chociaż wiedziała, że jej usilne starania z góry skazane są na porażkę, bo matka już wyrobiła sobie o nim zdanie, a była kobietą twardo obstającą przy swoim.

Dziewczyna skubała nerwowo rąbek kraciastej spódnicy, którą mama uszyła jej na maszynie. Genowefa Musioł z domu Putschke pochodziła z niemieckiej rodziny z krawieckimi tradycjami i sama tę tradycję kultywowała. Jakimż rozczarowaniem musiała być dla niej informacja, że najstarsza córka najęła się do pracy na hucie zamiast zająć się tym, w czym kobiety z jej rodu specjalizowały się od pokoleń! Dwóch starszych synów puściła wolno w świat, wiadomo, to mężczyźni, ale liczyła na to, że przekaze fach którejś z córek. Gorycz porażki nieco osładzał fakt, że w domu były jeszcze dwie dziewczyny.

– To nie jest kandydat na męża – powtórzyła matka z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– I tak za niego wyjdę! – oświadczyła buńczucznie Helena, choć Stasiak jeszcze nie poprosił o jej rękę.

Słowa dotrzymała. Początkowo mieszkali ze Staśkiem w hotelu robotniczym, dostali pokój nieco większy od tej klitki, którą dotychczas Helena zajmowała z koleżankami, bo dla małżeństw

przeznaczono bardziej przestronne pomieszczenia, choć tu też było im ciasnawo. Niby mieli alternatywę, bo rodzice Staśka mówili, że zawsze znajdzie się u nich miejsce dla syna i synowej, ale tam wcale nie byłoby im lepiej, bo z matką i ojcem mieszkała starsza siostra Staśka z mężem i dziećmi. Zresztą dość szybko dostali od huty mieszkanie na Rzemieślniczej i nie musieli się na nikogo oglądać. Dwa miesiące po ślubie Helena była już przy nadziei i po długiej rozmowie ze Staśkiem zrezygnowała z pracy. Planowała znaleźć sobie jakieś lżejsze zajęcie, kiedy już odchowa brzdąca, ale od tamtej pory miała wrażenie, że jest w permanentnej ciąży.

Helena wspominała początki swojego związku ze Staśkiem, szatkując kapustę na zupę. Mąż cały czas kręcił się obok, jakby wydawało mu się, że stałą obecnością wymaże swoje winy. Helenie trudno było jednoznacznie rozstrzygnąć, czy żałuje tego, że wtedy nie posłuchała matki. Kochała Staśka i kochała swoje dzieci. To chyba za nie była mu najbardziej wdzięczna, choć czasem myślała, że lepiej by było, gdyby się nie urodziły. Ona już dawno przestała marzyć o innym życiu. Ot, byle przetrwać od pierwszego do pierwszego i żeby dzieci nie kładły się spać z pustymi brzuchami. I żeby zdrowie było, bo jak jest zdrowie, wszystko inne jakoś się układa.

Czy mogłaby trafić lepiej? Stasiak właściwie niczym nie różnił się od innych mieszkających w sąsiedztwie chłopów. Trudno jej więc było uwierzyć w to, że gdzieś tam jest inny świat, choć gdy patrzyła na Jadźkę... Spowiadała się przed księdzem z tej zazdrości o młodszą siostrę i za każdym razem obiecywała poprawę, a mimo to nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak niesprawiedliwie los rozdał karty jej głupiutkiej, próżnej siostrze. A może właśnie dlatego Bóg zaplanował dla Jadźki coś lepszego, bo wiedział, że nie poradziłaby sobie na miejscu Heleny?

– Coś ty dzisiaj taka małomówna? – zagadnął ją Stasiak. – Tak to ci się buzia nie zamyka. Dalej jesteś zła za tamto? – Podszedł od tyłu do żony i zamknął ją w objęciach.

– Zostaw, robię obiad – fuknęła.

– Starszaki w szkole, Adaś i Miecio na podwórku, a ja mam trochę czasu przed robotą – wymamrotał, napierając biodrami na jej

pośladki. Poczuła dotyk jego języka na karku. – Zostaw tę kapustę.

– Dzieci wrócą głodne, a ty musisz coś zjeść przed wyjściem – zaprotestowała, choć już nieco mniej zdecydowanie.

A może właśnie to jest ten moment? Może kiedy w końcu nie będzie się obawiała, że zajdzie w ciążę, bo przecież już w niej była, odczuje przyjemność ze zbliżenia? Od razu zrugowała się w myślach za takie rozumowanie. Miała spory problem ze swoją seksualnością, a rola, jaką dla kobiety przewidywał tak ważny dla niej Kościół, z całą pewnością jej dylematy umacniała. Helena widziała się w roli żony, matki, gospodyni, ale nie kochanki. Uważała, że kobieta powinna być skromna i powściągliwa, bo to wbijano jej do głowy od dziecka.

Stasiek tymczasem sunął już niecierpliwie dłońmi w dół po jej udach, aby dostać się pod spódnicę i podciągnąć materiał do góry. Helena biernie czekała na ciąg dalszy. Odłożyła nóż i deskę do krojenia. Staszek opuścił jej majtki do kostek. Pozwoliła mu zgiąć się wpół, rozszerzyła nogi, aby ułatwić mu dostęp do siebie, i przymknęła oczy. Spodziewała się uczucia pieczenia, które towarzyszyło jej zawsze, kiedy jego członek wdzierał się w jej suche ciało, torując sobie drogę, ale wówczas rozległo się głośne pukanie do drzwi. Helena poderwała się zdezorientowana, ignorując ból w odcinku lędźwiowym kręgosłupa, i podciągnęła majtki.

– Co za wyczucie – mruknął zgryźliwie Stasiek, ale ona go nie słuchała, bo była już przy drzwiach, zastanawiając się, kogo licho niesie. Nikogo się nie spodziewała.

W progu stał młody chłopak w przekrzywionej granatowej czapce z orzełkiem bez korony i charakterystyczną trąbką – listonosz. Jakiś czas temu zastąpił wiekowego pana Gienka, który roznosił pocztę w tym rewirze, odkąd tylko Helena pamiętała.

– Wezwanie dla pani. – Na twarzy chłopaka odmalowywało się znudzenie.

– Wezwanie? – zdziwiła się Helena, w myślach już dokonując rachunku sumienia.

Kto i po co ją wzywał? Poczuła za sobą obecność Staśka, którego również musiało to zaniepokoić.

– Proszę mi jeszcze pokwitować. – Listonosz podsunął jej pod nos długą listę doręczeń.

Helena odszukała na niej swoje nazwisko, wzięła od chłopaka długopis, podpisała, po czym zamknęła szybko za nim drzwi, ignorując jego życzenia miłego dnia.

– Gdzie cię wzywają? Chyba nie na milicję – rzucił niby żartobliwym tonem, ale było po nim widać, że jest zaintrygowany.

Ze zdenerwowania nie rozumiała, co czyta. Kiedy zobaczyła znajome nazwisko lekarki, odetchnęła z ulgą.

– Do przychodni – powiedziała. – Pewnie jakieś zaległe szczepienie czy badanie.

– To jak tego pilnujesz? – zdenerwował się jej mąż. – Co innego masz na głowie?

Helena wyminęła go, a z jej piersi wyrwało się głośne westchnienie. Stasiak zdecydowanie za szybko wpadał w gniew. Jego porywczność utrudniała życie całej rodzinie.

– Pytałem o coś. – Ruszył za nią.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi. Pójdę, to się dowiem. Nie wydaje mi się, żeby były jakieś zaległości w bilansach czy szczepieniach, bo zawsze to sprawdzam w książeczkach zdrowia, ale mogłam coś przeoczyć. – Złapała za nóż i wróciła do szatkowania kapusty.

Przez dłuższą chwilę czuła na karku świdrujący wzrok Staśka. Miała nadzieję, że szybko straci zainteresowanie tematem, i tak też się stało. Usłyszała jego oddalające się kroki.

Podejrzewała, że wezwanie ma związek z ostatnimi badaniami, o których przecież mu nie powiedziała.

Rozdział 10. Jolanta

Wrzesień 1974

Poderwała się na równe nogi na dźwięk budzika. Zakreśliło jej się w głowie i podparła się dłońmi o ścianę. Rozejrzała się wokół, jakby nie do końca rozumiała, gdzie właściwie się znajduje. Świadomość powróciła dopiero po kilku sekundach.

Poprzedniego dnia, a właściwie już dzisiaj, poszła spać kilka minut po trzeciej. Wydawało jej się, że ledwie przed chwilą przyłożyła głowę do poduszki, a tymczasem minęły prawie trzy godziny. Tyle snu musiało jej wystarczyć.

– Już idziesz? – wymamrotał Zbigniew, unosząc jedną powiekę.

– Muszę się zbierać, mam mnóstwo pracy. A ty nie wstajesz?

– Jeszcze piętnaście minut. – Obrócił się na drugi bok.

Jolanta po cichu przeszła do kuchni, żeby zrobić sobie kawę. Zdziwiła się, kiedy spotkała tam swoją mamę, siedzącą w szlafroku przy stole nad szklanką kawy. Do trzeciej nad ranem wspólnie sporządzały listy dzieci do badania.

– A ty już nie śpisz? – Podeszła do kuchenki i sprawdziła, czy w czajniku jest woda. Dotknęła go; był jeszcze gorący.

– Obudziłam się chwilę po piątej, tak jak zawsze.

– To ty będziesz dzisiaj nieprzytomna.

– Poradzę sobie.

Jolanta wyjęła z górnej szafki opakowanie z kawą i nasypała do szklanki dwie pełne łyżeczki.

– Dziękuję, że mi pomogłaś. – Zalała kawę wodą. – Bez twojej pomocy pewnie dalej siedziałabym nad tymi listami. – Zamieszała łyżeczką w szklance.

– Chyba za rzadko ci mówię, jak bardzo jestem z ciebie dumna – powiedziała matka. – Wyrosłaś na dobrą i mądrą kobietę. Ktoś inny na twoim miejscu pewnie zamiótłby sprawę pod dywan, nie chcąc robić sobie kłopotu.

– Mamo, ja nic wyjątkowego nie robię. – Jolanta upiła łyk kawy.
– Po prostu pracuję.

– Już ja wiem swoje.

– Zaprowadzisz dzieci do szkoły?

– Oczywiście. Zaprowadzę, a potem odbiorę – potwierdziła matka. – O nic się nie martw, po prostu pracuj. – Uśmiechnęła się wymownie.

– Dziękuję. – Wadowska-Król pochyliła się nad mamą i cmoknęła ją w czoło. – Muszę lecieć.

– Leć. Trzymam za ciebie kciuki.

Jolanta dopiła kawę, umyła zęby, ułożyła włosy i szybko się ubrała. Po dziesięciu minutach była gotowa do wyjścia. W drzwiach matka wcisnęła jej do ręki kanapki.

– Zjedz – poprosiła ją. – Bo jak ty osłabiesz, to kto pomoże tym dzieciom?

Do przejścia miała nieco ponad kilometr. Zawsze chodziła do pracy pieszo, niezależnie od pogody, nawet w największe mrozy czy podczas najbardziej ulewnego deszczu. Cały dzień spędzała albo za biurkiem, albo nachylona nad małymi pacjentami, a żadna z tych pozycji nie służyła kręgosłupowi. Ten codzienny spacer odbywał się więc dla zdrowia, ale też dla przyjemności. Lubiła aktywność fizyczną, a ostatnio najzwyczajniej w świecie nie miała na nią czasu.

Tego dnia w drodze do przychodni nie zwracała uwagi na otoczenie. Parła przed siebie, myślami będąc już ze swoimi pacjentami i ich matkami. Wiesia zaniósła już na pocztę pierwsze wezwania, w tym te dla rodziców, których dzieci zostały przebadane w pierwszej kolejności. Wadowska-Król miała przeczucie, że właśnie uruchomiła potężną lawinę. Co jakiś czas po cichutku odzywał się jej instynkt samozachowawczy, podszeptując do ucha swoje obawy, ale wola działania była silniejsza. Podejmowała walkę w słusznej sprawie i tylko to się dla niej liczyło.

Wiesia Wilczek była już na posterunku. Jak zawsze elegancko uczesana, z delikatnym makijażem, który podkreślał jej urodę, w pełni sił i gotowa do pracy.

– Kobieto, jak ty to robisz? – Jolanta roześmiała się na widok Wiesi. – Ja wyglądam, jakby właśnie zdjęli mnie z krzyża, a ty

tryskasz energią! Esbecja nie czeka w moim gabinecie, żeby mnie aresztować? – dodała ciszej, lecz nadal w żartobliwym tonie.

Ją samą dziwiło, jak lekko przychodzi jej pokpiwanie z sytuacji, w której się znalazła. Bądź co bądź działała w tajemnicy i przeciwko władzy. W obliczu PRL-owskiej propagandy państwowa huta po prostu nie mogła truć mieszkających w sąsiedztwie dzieci. Ktokolwiek śmiał twierdzić inaczej, stawał się wrogiem systemu. A Wadowska-Król właśnie zamierzała przeprowadzić badania, które miałyby wykazać, jak wielka jest skala tego zjawiska.

– Nie, tylko milicja, ale akurat ci dwaj panowie są bardzo kulturalni, więc może nie połamią ci rąk przy aresztowaniu. – Wiesia z uśmiechem wzruszyła ramionami.

Przeszły przez pusty jeszcze o tej porze korytarz do gabinetu pediatri. Wprawdzie przed przychodnią już zaczynali się gromadzić pierwsi pacjenci, aby stanąć w kolejce do lekarza, jednak do środka mogli wejść dopiero o ósmej, kiedy rozpoczną się godziny przyjęć. Wadowska-Król i Wilczek miały więc jeszcze trochę czasu, który zamierzały spożytkować na przygotowanie kolejnych wezwań. Ustaliły, że Wiesia zanieś je na pocztę w trakcie swojej przerwy.

– Zastanowiłaś się, ile dzieci chcesz łącznie przebadać? – zapytała pielęgniarka, kiedy usiadły już po obydwu stronach biurka. – Tylko te z najbliższego sąsiedztwa huty?

– Na razie tak, ale jeśli wyniki okażą się złe, a my wciąż będziemy na wolności, pewnie pójdę dalej – postanowiła Jolanta. – Nadal mam nadzieję, że to się skończy na najbliższym sąsiedztwie huty, chyba nie wybiegam aż tak daleko myślami w przyszłość.

Wiesia Wilczek potwierdziła skinieniem głowy, że zrozumiała, i przystąpiła do pracy. Nie było czasu na zbędne gadanie. Skrupulatnie wypisywały wezwania na podstawie list sporządzonych przez pielęgniarkę, lekarkę i matkę tej ostatniej. O dziwo Jolanta nie czuła senności. Spacer zdecydowanie poprawił jej samopoczucie.

Zanim przychodnia została otwarta dla pacjentów, udało im się wypisać kilkadziesiąt wezwań. Wiesia Wilczek schowała je wszystkie do niepozornej szarej koperty i wyszła do pacjentów. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Jolanta spojrzała na zegarek. O tej porze część jej małych pacjentów z pewnością była już po pobraniu krwi.

Najchętniej towarzyszyłaby każdemu dziecku w laboratorium i osobiście dopilnowała, aby wszystkie stawily się na wezwanie, a badania zostały zlecone prawidłowo, jednak tutaj także była potrzebna. A może nawet bardziej, bo przecież tam już swoje zrobiła.

Spojrzała na listę dzieci zapisanych tego dnia na wizytę. Poprosiła Wiesię, aby w pierwszej kolejności zapisała tych z sąsiedztwa huty. Rzecz jasna, nie zamierzała zaniedbywać innych pacjentów, ale teraz ta sprawa była absolutnie priorytetowa, bo po rozmowie z Hager-Małecką i otrzymaniu pierwszych wyników zaczęła przypuszczać, że oto może uzyskać odpowiedź na większość pytań dręczących ją jako lekarza prowadzącego dzieci z Szopienic.

Wstała od biurka i podeszła do drzwi. Otworzyła je szeroko, co stanowiło sygnał dla pacjentów: „zapraszam”. Jej wzrok prześlizgnął się po twarzach oczekujących na korytarzu matek z dziećmi, szukając Heleny Kościelniak, którą ostatnio odwiedziła w jej domu. Szybko wyłowiła ją spojrzeniem. Kobieta właśnie nie bez trudu wstawiała z krzesła, ściskając rączkę trzyletniego Miecia.

Chłopiec, jak większość dzieci znajdujących się pod opieką doktor Wadowskiej-Król, był bardzo drobny. Mimo skończonych w kwietniu trzech lat ważył zaledwie dziesięć kilogramów. W tym niewielkim ciałku zgromadziło się tyle ołowiu, co w słusznej budowy dorosłym pracownikowi huty. Kiedy Wadowska-Król patrzyła na chłopczyka, rozumiała, jak wielka odpowiedzialność na niej spoczywa. Oczywiście, wykonywanie zawodu lekarza wiąże się z nią na co dzień, ale to było coś innego. Jolanta nie wiedziała jeszcze, jak to robi, ale musiała ochronić swoich małych pacjentów przed wyniszczającą ich organizmy hutą.

Do matki i młodszego brata dołączył Adaś Kościelniak, który siedział kilka krzeseł dalej, bo te w bezpośrednim sąsiedztwie Heleny były już zajęte.

– No chodźże, pani doktor czeka – ponagliła chłopca matka.

Jolanta wróciła do gabinetu. W głowie utrwałała sobie przemowę, którą miała przygotowaną dla tej i innych jej podobnych kobiet, ale nagle słowa jakby wyparowały. Co ma powiedzieć Helenie Kościelniak, skoro sama jeszcze nie wie, jak poważna jest sytuacja?

Jak wytłumaczyć stroskanej matce, co dzieje się z jej dziećmi, skoro specjalistyczna literatura milczy na ten temat? Wadowska-Król wiedziała jedno: musi być z tymi ludźmi szczerą. I musi ich prosić o dyskrecję.

– Dzień dobry. – Helena Kościelniak wyglądała na wyraźnie przestraszona.

I nic dziwnego. Najpierw wizyta doktorki u niej w domu, potem wezwania, jedno do przychodni, drugie do laboratorium, na badania z pozostałymi dziećmi.

– Dzień dobry. Proszę usiąść. – Wadowska-Król spróbowała się uśmiechnąć, ale na jej twarzy pojawił się tylko grymas.

– Co się mówi? – Kościelniakowa zwróciła dzieciom uwagę.

– Dzień dobry – powiedzieli chórem chłopcy.

– Heniek, Karolina i Iwona poszli na badania? – upewniła się lekarka.

Helena wyglądała na zaskoczoną tym, że pediatra pamięta imiona wszystkich jej dzieci, bo nawet ich własna babka je ze sobą myliła.

– Tak, wysłałam męża, akurat zamienił się z kolegą i miał na popołudnie, więc mógł z nimi pójść, ale mocno się niecierpliwił, bo chciałby wiedzieć, o co chodzi. – Kościelniakowa odchrząknęła. – I ja w sumie też.

Wadowska-Król przez kilka sekund w milczeniu przypatrywała się kobiecie. Ścisnęła nogi tak ciasno, że kolana stykały się ze sobą, a zaciśnięte pięści spoczywały na udach. Miała spięte całe ciało.

Lekarka wypuściła głośno powietrze z płuc. Tak, to był ten moment.

– Proszę pani, jest podejrzenie, że dzieci chorują na ołowicę – zaczęła spokojnie. – Będziemy je leczyć, zrobimy wszystko, co w naszej mocy i co do nas należy, ale bardzo proszę nikomu o tym nie mówić, bo jeśli władze się dowiedzą, nie będziemy mogli pomóc pani i innym dzieciom.

Zapadła cisza. Wadowska-Król miała wrażenie, że jej słowa odbijają się głośnym echem od ścian malutkiego gabinetu, nie rozplynęły się, a wciąż wybrzmiewają na nowo, jakby zawisły w próżni.

– Na ołowicę? – Parsknęła nerwowo Kościelniakowa. – Ale przecież to niemożliwe. Dzieci nigdy nie były na hucie. To znaczy czasem zabieram ze sobą Miecicia, jak idę do działu płac po wypłatę męża, ze dwa czy trzy razy byliśmy na kuchni... Wie pani doktor...

– Wyraźnie się zawstydziała. – Czasem jak zostaną jakieś kotlety, to szkoda, żeby wyrzucić czy żeby coś miało się zepsuć, ale... nigdy nie wchodzili na halę. Niby jak mieliby się zatruć?

– Tego jeszcze nie wiemy, ale wyniki wskazują właśnie na ołowicę. – Lekarka starannie dobierała słowa, mając świadomość, że słucha jej nie tylko matka, ale też dwoje małych chłopców. – Może z powietrza, może z ziemi, a może z jedzenia? Trudno jest mi teraz wyrokować. Pani mąż pracuje w hucie?

– Tak, przy ołowiu – potwierdziła Kościelniakowa, wodząc wzrokiem po twarzach swoich synków, którzy, dzięki Bogu, nie wykazywali najmniejszego zainteresowania przedmiotem dyskusji, bo przepychali się i dogryzali sobie nawzajem.

– Gdzie się kąpie, gdzie pierze pani jego ubrania robocze?

– Kąpie się zazwyczaj w łaźni na hucie. Czasem tylko... – Helena przygryzła dolną wargę. Zdawała sobie sprawę, że ta kobieta żyje w zupełnie innym świecie niż ona. – W naszym familoku nie ma bieżącej wody. Co ja mówię, nie tylko w naszym. W żadnym. Mamy cynkową wanienkę i to w niej się wszyscy myjemy, ale dzieci... One zawsze kąpią się pierwsze. My z mężem ostatni. A jego rzeczy piore z naszymi, bo...

– Proszę pani, teraz nie rozstrzygniemy, jak doszło do zatrucia, tym zajmiemy się później, teraz najważniejsze jest, aby pomóc dzieciom – ostrożnie weszła jej w słowo Wadowska-Król.

– Doktoro, przecież chłopcy są zdrowi, nic im nie dolega – dziwiła się Kościelniakowa.

Lekarka dyskretnie zerknęła w karty Miecicia i Adasia, które miała przed sobą.

– Obydwaj mają bardzo słabą morfologię: niska hemoglobina, niska liczba czerwonych krwinek, niski poziom żelaza – wyliczyła. – Ważą i mierzą za mało jak na swój wiek, a Adaś ma problemy z nóżką.

Rzeczywiście powłóczył prawą nogą, ale Helena przestała na to zwracać uwagę, uznawszy, że taki jego urok. Nie było to zresztą jakoś bardzo widoczne, ot, może nieco odbiegało od normy, ale bez przesady, nie tak, żeby robić z tego problem.

– A jak z zachowaniem, koncentracją, pamięcią? – dopytywała lekarka.

– Przecież doktorka widzi: to normalni chłopcy.

– Szybko się męczą?

– Nie, biegają całe dni po podwórku, aż im łby podskakują – stwierdziła z przekonaniem Helena. – Ostatnio może Miecio stał się bardziej marudny, mówi, żeby go wziąć na ręce, bo nie chce mu się chodzić, ale ja lenistwa nie pochwalam, zwłaszcza teraz, kiedy... – Urwała nagle.

– Zwłaszcza teraz, kiedy...? – zachęciła ją Wadowska-Król.

– Kiedy znów jestem w ciąży – dokończyła po dłuższej chwili Helena, nie patrząc na lekarkę, bo wiedziała, co mówi się o takich jak ona: dziecioroby, pasożyty, patologia.

Nagle Adaś, który dotychczas świetnie się bawił, dokuczając Mieciowi, zastygł w bezruchu. O ciąży wiedzieli tylko Stasiak i Marysia. Jakoś nie było okazji powiedzieć dzieciom. Helena chyba nadal się łudziła, że tego brzdąca nie będzie.

– Co to znaczy, że jesteś w ciąży? – zapytał matkę Adaś.

– Później ci wytłumaczę – obiecała mu Helena, jednak on chciał koniecznie wiedzieć, czy to oznacza, że mama urodzi nowego bobasa.

– Adasiu, teraz twoja mama jest zajęta, musimy dokończyć rozmowę – przemówiła do dziecka spokojnym, acz stanowczym tonem lekarka.

Chłopiec wyraźnie się zmieszał, wymamrotał coś pod nosem i spuścił pokornie głowę.

– Żeby mnie tak się słuchał! – Stroskane dotychczas oblicze Kościelniakowej nieco się rozchmurzyło.

– To pani nie wie, że dzieci zawsze są najniegrzeczniejsze przy matce?

– Nigdy o tym nie słyszałam, ale tak, to chyba prawda – zgodziła się Helena.

– Proszę pani, na chłopców już czekają miejsca w Klinice Pediatrii w Zabrze – przeszła do rzeczy Wadowska-Król. – Dzieci muszą znaleźć się w szpitalu, aby ołów mógł się wypłukać z ich organizmów.

W oczach Heleny Kościelniak pojawił się strach.

– W Zabrze? A nie może im doktorka dać jakichś tabletek, które łykaliby w domu?

– Nie znamy dokładnej przyczyny zatrucia, to znaczy znamy, ale nie wiemy, jak do niego doszło. Dzieci nie mogą teraz wrócić do domu. Nie w sytuacji, kiedy mają po cztery krzyżyki, a za murem znajduje się huta ołowiu – oświadczyła z determinacją w głosie lekarka.

– Cztery krzyżyki? – Z twarzy Kościelniakowej zniknęły wszystkie kolory poza trupio bladą bielą. – Mój chłop miał cztery, ale przecież on pracuje bezpośrednio przy przetapianiu złomu akumulatorowego. Może to jakaś pomyłka?

– Chłopcy muszą jak najszybciej trafić do szpitala – powtórzyła Jolanta, posyłając tej kobiecie współczujące spojrzenie. – I, tak jak prosiłam, proszę z nikim o tym nie rozmawiać, bo nie pomożemy innym dzieciom.

Helena w pierwszym odruchu skinęła głową. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, co właściwie doktorka powiedziała.

– Innym dzieciom? Czyli nie tylko Adaś i Miecio chorują? A co z moimi starszymi? Ich też wysłała pani na to badanie?

– Tak, ich też, bo planuję przebadać większą liczbę dzieci, dlatego tak ważna jest dyskrecja. Czy ta rozmowa może zostać między nami? – upewniła się Wadowska-Król.

– Tak, oczywiście – zgodziła się Kościelniakowa. – Dobry Boże, jeszcze tylko tego nam brakowało! – Ukryła twarz w dłoniach i choć starała się nie okazywać słabości przy dzieciach, jej ciałem wstrząsnął szloch.

Rozdział 11. Helena

Wrzesień 1974

Tego dnia nawet dzieci jakby rozumiały, że dzieje się coś złego, bo nie dokazywały, tylko siedziały cichutko, każde zajęte sobą. Co jakiś czas tylko posyłały zaniepokojone spojrzenia matce, z której jakby uszła cała energia. Helena siedziała na wersalce i bezmyślnie wpatrywała się w jeden punkt na ścianie. Wstawiała tylko po to, aby podejść do okna, spojrzeć na wysoki komin, znajdujący się po drugiej stronie muru, pokręcić z niedowierzaniem głową i wymamrotać pod nosem „to niemożliwe”, po czym wracała do poprzedniej pozycji.

Targały nią sprzeczne emocje. Z jednej strony wiedziała, że doktorka nie miała podstaw, aby ją okłamać, nie wymyśliłaby sobie przecież, że dzieci są zatrute ołowiem, ale z drugiej – Wadowska-Król mogła się pomylić. Helena najchętniej pobiegłaby na hutę i wywołała ze zmiany Staśka, bo jak chyba nigdy wcześniej odczuwała ogromną potrzebę, aby schować się w jego ramionach. Po wyjściu z przychodni poszła do sklepu i odstała swoje w kolejce. Kiedy wróciła, już go nie było, bo przed robotą miał podejść z kolegą do skupu złomu zarobić trochę grosza. Helena odebrała więc starsze dzieci ze szkół i czekała, choć sama nie wiedziała na co. Powinna przygotować obiad, sprawdzić starszacom lekcje, zrobić pranie, może trochę posprzątać, a przede wszystkim przygotować Adasia i Miecia do szpitala. To ostatnie ją przerażało. Jak oni sobie poradzą? Byli tacy przywiązani do matki, ciągle z nią, swoją jedyną opiekunką.

– Mamusiu, jesteśmy głodni. – Przy jej boku nagle pojawił się Adaś.

Patrzył na nią tymi swoimi wielkimi, czarnymi jak węgiel oczami. Przytuliła go do piersi. Za rzadko to robiła, za rzadko okazywała

dzieciom czułość. Zwykle na nich burczała za psoty, głośne zachowanie czy złe oceny.

– Zaraz zrobię obiad – powiedziała, wypuszczając synka z objęć, choć najchętniej zamknęłaby całą swoją piątkę w ramionach i nigdy stamtąd nie wyswobodziła.

Tego dnia przygotowała proste i szybkie danie – wodzionkę, do której użyła czerstwego pieczywa sprzed kilku dni. Na Śląsku, gdzie na kromkę chleba trzeba było szczególnie ciężko pracować, nie pochwalano marnowania jedzenia. Pewnie to właśnie dlatego ta zupa zyskała ogromną popularność, bo dodawano do niej niewykorzystane pieczywo. Wodzionka miała z pewnością jeszcze jedną zaletę – pozwalała się najeść do syta, właśnie dzięki zawartości chleba.

Zalewała właśnie chleb, czosnek i smalec wrzątkiem, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Chwila! – krzyknęła Helena.

Dosypała szczyptę soli i pieprzu i przykryła garnek pokrywką. Teraz tylko chleb musiał nasiąknąć wodą i danie będzie gotowe. Wytarła dłonie o fartuch i ruszyła do drzwi. Spodziewała się wizyty Marysi Tkacz. Sama nawet się zastanawiała, czy nie zajść do niej na górę, ale nie była pewna, czy sąsiadka nie jest w pracy.

– Wejdiesz? – Otworzyła szeroko drzwi przed Tkaczową.

– Byłaś u doktorki? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Marysia, nie ruszając się z miejsca.

Helena skinęła głową.

– I co o tym myślisz? – zapytała rozemocjonowana sąsiadka.

– Adaś i Miecio mają iść do szpitala – powiedziała cicho Helena. Wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. – Z samego rana muszę się z nimi zgłosić do Zabrza.

– Boże, co to się porobiło! – Tkaczowa pokręciła ze smutkiem głową. – Anetkę i Wandzię doktorka też posyła do szpitala. Czarek ma trochę lepsze wyniki, dwa krzyżyki, więc może zostać w domu, ale też nie jest do końca zdrowy! Reszta dopiero czeka na wyniki. Myślisz, że więcej dzieci choruje? Tak się cieszyłam, kiedy dostaliśmy to mieszkanie bezpośrednio przy hucie, bo oboje z Arturem mamy blisko do pracy, ale teraz...

– Nie mieści mi się w głowie, żeby huta truła ludzi, na pewno nie świadomie. To taki opiekuńczy zakład – wtrąciła Helena. – Pracownicy dostają posiłki regeneracyjne, mleko, warzywa, mamy jedne z najwyższych kartek na mięso i wędlinę, ośrodki wczasowe, a dzieci jeżdżą na kolonie.

– Staszek nic ci wcześniej na ten temat nie mówił? W końcu on pracuje przy ołowiu.

– A niby co miałyby mi mówić? – obruszyła się Kościelniakowa. – Pracownicy chorują na ołowicę, ale przecież ty też o tym wiesz. On dopiero wrócił na hutę ołowiu, bo wcześniej miał cztery krzyżyki i oddelegowali go do walcowni cynku.

– Wiesz, Artur ostatnio przyniósł mi z pracy taką plotkę. Podobno jeden z pracowników huty ołowiu bardzo nie chciał być odsunięty od pracy w swoim wydziale, no bo wiadomo, tam najlepiej płacą. Dostał wyniki badań, ale się z nimi nie zgodził i poprosił, aby je powtórzyli. – Tkaczowa niemal szeptała. – Za drugim razem wyniki były takie same. Wtedy się przeraził i przyznał, że do tego drugiego badania przyniósł mocz swojego półtorarocznego syna¹⁰.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – stwierdziła Helena i szybko zmieniła temat: – A jak się czuje Januszek?

W sercu poczuła ukłucie żalu. Jeśli takie opowieści rzeczywiście krążyły po hucie, dlaczego Stasiak ani słowem się nie zająknął?! Dlaczego nie powiedział jej, że wyniki badań dziecka mieszkającego w sąsiedztwie huty były takie same jak jego ojca, który na hucie pracował?

– Podobno zostanie w szpitalu przez dłuższy czas. Podają mu jakieś lekarstwa, które mają przyspieszyć wydalanie ołowiu z jego organizmu.

– Są absolutnie pewni, że to ołowica?

– Tak. – Tkaczowa spojrzała smutno na sąsiadkę. – Zrobili mu takie bardziej szczegółowe badanie, z krwi. Oznaczyli mu poziom ołowiu. Doktorka, z którą rozmawiałam, powiedziała mi, że czegoś takiego nie widziała w wynikach dorosłego człowieka, a on ma przecież dopiero osiem lat! Ale w dokumentach ze szpitala nie będzie informacji o rozpoznaniu, bo nie może być.

Helena z każdą minutą była coraz bardziej świadoma powagi sytuacji. Na zewnątrz prezentowała negującą postawę, ale jej wątpliwości malały. Trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy – dzieci mieszkające przy hucie zatruty się ołowiem. A ona wychowywała swoją piątkę tuż przy murze, w odległości kilkudziesięciu metrów od zakładu. Jeszcze błagała w myślach Boga, aby Henio, Iwonka i Karolinka nie podzielili losu młodszych braci, ale chyba straciła już nadzieję na to, że ich wyniki będą prawidłowe.

– Boże – jęknęła głośno.

Tylko tyle była w stanie wykrztusić.

– Nawet jeszcze nie mówiłam matce, wiesz, jaka ona jest, ale w końcu będę musiała jej powiedzieć. Nie wiem, co robić, dlatego przyszedłam do ciebie. Może poszłybyśmy we dwie do kierownictwa huty i poprosiły o zamianę mieszkań?

– Zwariowałaś? Doktórka prosiła, aby z nikim nie rozmawiać na ten temat, a ty chcesz iść z tym na hutę? – Żrenice Heleny się rozszerzyły.

– Po prostu chciałabym, żeby Januszek wrócił do domu. – Głos Tkaczowej się załamał. – Boję się, że jeśli dalej będziemy tutaj mieszkać, będą go trzymać w tym szpitalu do usranej śmierci. Anetki i Wandzi też pewnie prędko nie wypuszczą, jak już je położą na oddziale. Porozmawiaj ze Staśkiem, co? – Posłała sąsiadce błagalne spojrzenie. – Może tam mieli jakąś awarię, co? Może coś się zepsuło i stąd to zatrucie, ale zaraz będzie już lepiej?

– Porozmawiam – westchnęła Helena – a ty nie rób nic głupiego. Doktórka powiedziała, żeby zachować dyskrecję, bo tylko wówczas będą mogli pomóc dzieciom.

– Wiem, wiem, mnie też to mówiła, ale trudno mi tak beczynnie siedzieć.

– Nie mamy innego wyjścia!

Helena zakończyła tę dyskusję, która stała się męcząca i nie prowadziła właściwie donikąd, pożegnała się z sąsiadką i wróciła do mieszkania. Kiedy zamknęła drzwi, zorientowała się, że każdy jej ruch śledzi pięć par oczu. Dzieci są najbardziej niezawodnymi radarami emocji dorosłych – gdy to sobie uświadomiła, obiecała sobie, że koniec z biadoleniem. Trzeba działać, pokazać dzieciakom,

że świat się nie zawalił, a szpital Adasia i Miecia to tylko jedna z wielu przeszkód, z którymi borykają się przecież każdego dnia.

* * *

Udało jej się zagonić dzieciaki do łóżek przed powrotem Staśka. Kiedy więc dokładnie piętnaście po dziesiątej w drzwiach stanął jej małżonek, Helena już na niego czekała. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumiał, że stało się coś złego. W pierwszej sekundzie pomyślał, że znów coś przeszkrobał i czeka go poważna rozmowa, ale nie, w ostatnich dniach wyjątkowo sprawował się jak należy. Nie pił, nie oglądał się za babami, po pracy grzecznie wracał do domu, nawet poszedł z dziećmi rano na badania, spełniając prośbę żony.

– No co? – zapytał głupekowato, bo Helena nie spuszczała z niego wzroku.

Wszedł do większej izby, gdzie Henio, Iwonka i Karolinka pochrapywali w rogu na wersalce. Helena nie odpowiedziała, tylko podążyła za mężem. Stasiak rzucił na taboret robocze ubrania, które przyniósł do prania. Flanelowa kraciasta koszula spadła na podłogę, ale nie zaprzętał sobie tym głowy.

– No powiesz mi, co się stało? Przecież widzę, że cię nosi – mruknął, siadając przy stole.

Helena działała mechanicznie – najpierw musiała nakarmić męża, który wrócił głodny z pracy. Postawiła na stole miskę z wodzionką, którą zalała wrzątkiem chwilę przed jego powrotem, i podała mu łyżkę. Staszek jednak nie pochylił się od razu nad zupą, tylko śledził małżonkę baczny spojrzeniem spod gęstych ciemnych brwi.

Helena usiadła po drugiej stronie stołu, położyła przed sobą dłonie i zetknęła palce w trójkąt. Pionowa zmarszczka u nasady jej nosa uwydatniła się.

– Dzieci z naszego familoka chorują na ołowicę. – Postanowiła uderzyć prosto z mostu. – Jutro Miecio i Adaś idą do szpitala.

Na twarzy Staśka odmalowało się zaskoczenie. Zastygł w bezruchu z łyżką w połowie drogi między miską a ustami.

– Co ty do mnie mówisz?

– Januszek od Tkaczów też jest zatruty ołowiem, to dlatego leży w klinice w Zabrze. Do szpitala mają iść też inne dzieci naszych sąsiadów, na razie Anetka i Wanda – z prędkością karabinu maszynowego wyrzucała z siebie kolejne słowa Helena. – Nie wiadomo, ile bajtli jeszcze choruje. Doktorka prosiła o dyskrecję, bo chce przebadać też inne dzieci. Henio, Iwonka i Karolinka także mogą być chorzy.

Stasiek odsunął od siebie miskę. Nagle stracił cały apetyt.

– Jezus Maria. – Tylko tyle był w stanie z siebie wydusić.

– Podobno plotki krążyły już wcześniej na hucie. Dlaczego mi nic nie powiedziałeś?

– Plotki? Jakie plotki?

– O pracowniku, który zamiast swojego oddał do badania mocz swojego dziecka – doprecyzowała Helena.

– A, to – mruknął Stasiek, wzruszając ramionami. – Słyszałem o tym, ale ludzie różne rzeczy opowiadają. Nie należy wierzyć we wszystko, co mówią.

Helena prześwidrowała męża spojrzeniem.

– Stasiek, co się dzieje na hucie?

– A co się ma dziać? – zachnął się. – Pracujemy normalnie, tak jak zawsze.

– Nie było żadnej awarii?

– Jakiej awarii? – skrzywił się Stasiek.

– No, Tkaczowa sugerowała, że to zatrucie u dzieci może mieć związek z jakąś usterką na hucie – powiedziała Helena tonem, który sugerował, że ona sama w to do końca nie wierzy.

– Bzdura, wszystko działa jak należy.

– To skąd ten ołów w moczu dzieci? – uderzyła w płaczliwy ton.

– Nie wiem, żaden ze mnie doktor. – Mężczyzna uciekł spojrzeniem, co obudziło czujność Heleny, bo może jednak wiedział więcej, niż utrzymywał.

– Stasiek! – nieznacznie podniosła głos. – Mów mi tu zaraz wszystko jak u księdza na spowiedzi! Nasze dzieci idą jutro do szpitala, sprawa jest poważna!

– A może doktorka histeryzuje? One od urodzenia mieszkają przy hucie i nagle wielka afera.

– Czy ty się słyszysz? – oburzyła się Helena, biorąc ze stołu kromkę czerstwego chleba. Chyba w żadnej ciąży nie była tak notorycznie głodna jak teraz. – Gdyby nie było takiej potrzeby, nikt by ich do szpitala nie wysyłał!

– No już dobrze, dobrze, po co się tak od razu pieklisz? – Stasiak przysunął do siebie z powrotem miskę z zupą. – A co do huty... te filtry, co nam każą zakładać na kominy, to są o kant dupy potłuc, takie jest moje zdanie. Cienkie toto i podziurawione, wygląda jak serwetka.

– Jak serwetka? – zdziwiła się Helena, skubiąc chleb.

– Przecież mówię, jak serwetka, taka na stół, haftowana. – Przełknął pierwszą łyżkę zupy. Chłodna, ale nie zamierzał dodatkowo denerwować żony, trudno, zje zimną, mógł tyle nie gadać. – No, a na noc często zdejmujemy te filtry – dodał nieco ciszej.

– Ale dlaczego? Przecież po to one są, żeby były! – zauważyła niezbyt rezolutnie.

Stasiak poruszył się niespokojnie.

– Dlaczego i dlaczego – przedrzeźnił żonę. – Nic byśmy nie zarobili, bo nie ma cugu – podsumował z rozbijającą szczerością.

Helena poczuła, jak kęs chleba staje jej w gardle.

Rozdział 12. Jolanta

Wrzesień 1974

Drzwi gabinetu zamknęły się za ostatnim tego dnia przyjętym dzieckiem i jego matką. Wadowskiej-Król towarzyszyło nieodparte wrażenie, że od jakiegoś czasu wypowiada w kółko te same słowa: „jest podejrzenie, że dziecko ma ołowicę”, „proszę nie mówić nikomu”, „proszę myć ręce”, „proszę nie jeść warzyw z przydomowego ogródka” i tak dalej. Wszystko wskazywało na to, że rodzice rzeczywiście biorą sobie do serca jej prośby o dyskrecję, bo jak na razie działała dalej i nikt nie próbował storpedować prowadzonych przez nią badań. Wręcz przeciwnie – miała wrażenie, że wszyscy ze służby zdrowia idą jej na rękę. Dotychczas ani razu nie usłyszała „nie”. Owszem, niektórzy, jak kierownik przychodni, prezentowali raczej bierną postawę, ale nikt się nie sprzeciwił, a to bardzo dużo.

Jolanta przebadala już kilkaset dzieci. W ostatnich dniach w ogóle nie widywała się ze swoją rodziną, wychodziła do przychodni wczesnym rankiem i wracała po zmierzchu. Błogosławiła swoją matkę, która zajęła się dziećmi i domem, podczas gdy ona bez reszty oddała się pracy. Niewiele spała, brakowało jej też czasu na jedzenie czy choćby chwilę odpoczynku, ale to wszystko było nieważne. Kiedy otrzymywała kolejne alarmujące wyniki badań, utwierdzała się w przekonaniu, że poświęca się słusznej sprawie. Szybko okazało się, że zgodnie z jej przewidywaniami, problem nie dotyczył tylko kilkorga dzieci mieszkających bezpośrednio przy murze huty.

Każde, absolutnie każde przebadane przez nią dziecko miało podwyższony poziom ołowiu. Niektóre nieznacznie, w granicach normy¹¹, i tych nie posyłała do szpitala, jednak gros małych pacjentów musiało jak najszybciej znaleźć się w lecznicach. Oddział w Zabrze błyskawicznie się zapełnił, więc teraz lekarka odsyłała dzieci do szpitali pediatrycznych na Ligocie i w Sosnowcu. W głowie

kołatało jej się pytanie „co dalej?”, ale na razie je od siebie odsuwała. Wiedziała, że przebadanie dzieci i skierowanie tych najbardziej potrzebujących do lecznic nie rozwiąże problemu, ale skupiła się na tu i teraz, bo tyle mogła zrobić. W każdym momencie o jej poczynaniach mogły się dowiedzieć władze, a wówczas straci kontrolę nad sytuacją.

Do gabinetu zajrzała Wiesia Wilczek, po której, tak jak i po lekarce, było widać niewiarygodne zmęczenie. Żadna z nich się jednak nie skarżyła, bo wiedziały, że takiego, a nie innego postępowania wymaga od nich zwykła ludzka przyzwoitość.

– Masz jeszcze jakieś wezwania? – zapytała pielęgniarka przez szparę między drzwiami a futryną. – Idę na pocztę.

Jolanta rozejrzała się po swoim biurku i na wszelki wypadek sprawdziła w szufladzie.

– Nie, wszystko ci już dałam. Nanoszę teraz na listę poszczególne wyniki i informacje o dalszym postępowaniu z dzieckiem – wyjaśniła, wskazując na stertę kartek formatu A4.

– Pomogę ci, jak wrócę z poczty. Lecę!

Za Wiesią zamknęły się drzwi, a Wadowska-Król poczuła nieopisaną wdzięczność dla tej niepozornej i drobnej pielęgniarki, która przecież za swoją pracę otrzymywała marne grosze.

Wiesia, tak jak Jolanta, pracowała w służbie zdrowia, bo takie było jej powołanie. O ileż prostszy i piękniejszy byłby świat, gdyby każdy robił to, do czego został stworzony. Ale to była utopia. Nie ten czas, nie to miejsce, nie ci ludzie. Zresztą niektórym nigdy nie jest dane odkryć, co powinni robić w życiu.

Jolanta, mimo coraz dotkliwszego ssania w żołądku, wróciła do wypemniania dokumentów. Po kilkunastu minutach doszła jednak do wniosku, że jeśli ona o siebie nie zadba, to nikt nie pomoże szopienickim dzieciom, i postanowiła zrobić sobie przerwę. Odwinęła z papieru kanapki, które każdego ranka wciskała jej do rąk mama, i pospiesznie zjadła jedną. Dopiero kiedy choć częściowo zaspokoila głód, przystąpiła do dalszej pracy.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło od wyjścia Wiesi, bo na dobre pochłonęły ją wyniki badań i dokumenty. Podskoczyła, kiedy drzwi

jej gabinetu otworzyły się z hukiem i pojawiła się w nich wzburzona, czerwona na twarzy pielęgniarka.

– Poczta się zbuntowała! – Wiesia Wilczek bezradnie rozłożyła ręce.

– Jak to: poczta się zbuntowała? – Jolanta poczuła, że grunt usuwa jej się spod nóg.

No tak. Za dobrze im to wszystko szło, żeby się nie zepsuło. A niech to!

– Podeszłam jak zawsze do okienka i podałam wezwania tej tęgiej blondynce w okularach, wiesz której? – zapytała Wiesia, a kiedy nie dostrzegła na twarzy Jolanty zrozumienia, machnęła ręką i kontynuowała: – No, nieważne! Powiedziała, że nie będą nam dostarczać tylu wezwań, bo i bez tego listonosze mają pełne ręce roboty. Poprosiłam o rozmowę z kierowniczką poczty, ale nic to nie dało. Przyszła i obrażonym tonem oświadczyła, że nie mają wystarczających mocy przerobowych, żeby dostarczać taki ogrom wezwań.

Wadowska-Król odłożyła długopis na biurko i zapadła się głęboko w fotel.

– Musimy znaleźć inny sposób – postanowiła. – Nie wycofamy się, nie teraz, kiedy pierwsze wyniki badań wskazują na to, że w Szopienicach jest prawdziwa epidemia ołowicy! Jeszcze tyle dzieci potrzebuje naszej pomocy... – Zamyśliła się. – Może pójdę na pocztę i osobiście porozmawiam z kierowniczką.

– Możesz spróbować, ale wydaje mi się, że to strata czasu. Próbowałam ją przekonać, ale na wszystkie argumenty odpowiadała jednym: nie są w stanie dostarczać tylu wezwań – przyznała wyraźnie zrezygnowana Wiesia.

– Hej, nie poddajemy się! – zdopingowała ją lekarka. – Z każdej sytuacji jest wyjście. Będę osobiście dostarczać wezwania – podjęła decyzję.

Oniemiała Wilczek przez chwilę wpatrywała się w twarz Wadowskiej-Król, na której malowała się determinacja.

– Zwariowałaś – wypaliła Wiesia. – Niby kiedy chcesz to robić? I tak już prawie w ogóle nie sypiasz!

– Moja mama zaproponowała, że może przepisywać listy i wypełniać wezwania – myślała głośno lekarka. – Staralam się na bieżąco uzupełniać dokumenty, więc przy tym nie będzie aż tak dużo pracy. Poradzę sobie.

Na ustach Wiesi pojawił się szeroki uśmiech.

– Ty jesteś niemożliwa, wiesz o tym?

– Mąż stanowczo za często mi to powtarza. – Jolanta również pozwoliła sobie na chwilowe odprężenie.

– Ale chyba nie myślisz, że pozwolę ci samej roznosić te wezwania?

– Nie, daj spokój – zaprotestowała lekarka. – Już i tak dużo zrobiłaś.

Naprawdę nie chciała angażować w to Wiesi. Czuła się niezręcznie, bo uważała, że pielęgniarki zarabiają śmiesznie mało, dlatego nie zamierzała obarczać Wilczek kolejnymi obowiązkami.

– Chcę pomóc – zadeklarowała Wiesia. – Pójdzie nam dwa razy szybciej, jeśli będziemy działały razem. Sama mówiłaś, że ważny jest czas, bo przecież w każdej chwili władze mogą się dowiedzieć i...

– Dobrze, już dobrze. – Wadowska-Król wyciągnęła przed siebie ręce w obronnym geście. – Wiem, że jak się uprzesz, to nie ma na ciebie mocnych.

– Z kierowniczką poczty sobie nie poradziłam.

– W co po prostu nie mogę uwierzyć! Mam u ciebie ogromny dług wdzięczności – powiedziała Jolanta, nagle poważniejąc.

– Przestań już! Bierzemy się do roboty! – Wiesia klasnęła w dłonie.

– Teraz?

– A kiedy?

– W sumie masz rację – zgodziła się lekarka. – Poczekaj chwilę, przebiorę się i możemy iść.

Kiedy w pomieszczeniu socjalnym zdejmowała kitel lekarski, pomyślała o tym, jak wiele wydarzyło się od czwartego września, kiedy odwiedziła ją profesor Hager-Małecka, i jak bardzo zmieniła się jej świadomość na temat tego, co dzieje się w Szopienicach. Nosila w sobie żal do huty za to, że truje dzieci. Teraz w każdym

małym pacjentem, który przyszedł do jej gabinetu, widziała konsekwencje mieszkania w sąsiedztwie zakładu: szerniałe zęby, bociani chód, bladą twarz, męczliwość, problemy z nauką, ociężałość umysłową, wady serca i tak dalej. Odpowiedź na dręczące ją pytania była tak blisko! Czasem wyrzucała sobie, że nie zorientowała się wcześniej, ale uniemożliwiły jej to brak zarówno ogólnej wiedzy panującej w środowiskach medycznych, jak i specjalistycznej literatury na temat ołowicy. Nie myślała o tym, że pisze nową historię pediatrii. Nie uważała też, żeby robiła coś szczególnie ważnego. Po prostu ratowała swoich pacjentów. To oni byli najważniejsi i to dla nich ryzykowała.

Wiesia Wilczek już na nią czekała, jak zawsze gotowa do działania. Jolanta naciągnęła na ramiona płaszcz i we dwie wyszły z przychodni.

– Rzemieśniczą mamy już załatwioną. – Pielęgniarka wyjęła z torebki plik wezwań i spojrzała na adres. – Teraz Obrońców Westerplatte.

– Wysokie numery, od osiemdziesiąt sześć – wtrąciła Jolanta, która przecież sama sporządzała te wezwania. – Później Makarenki¹², Zjednoczenia Partii i Wandy – wyliczyła z pamięci. – To co, ty weźmiesz numery nieparzyste, a ja parzyste?

– W porządku – zgodziła się Wiesia.

Gdy tak szły w stronę ulic biegnących bezpośrednio przy hucie, krajobraz zmieniał się coraz bardziej. Zieleni niknęła w oczach, aż w końcu nie zostało z niej nic. Tylko czerń, poprzątkana gdzieniegdzie szarością i czerwienią cegieł, z których zbudowane były okoliczne familoki. Zaczepnięcie oddechu pełną piersią było tu po prostu niemożliwe. Jolanta spojrzała w górę, w stronę dymiących kominów. Jeden z małych pacjentów powiedział jej kiedyś, że nad jego domem codziennie unosi się tęcza. Lekarka próbowała wytłumaczyć mu, że to niemożliwe – tęcza jest stosunkowo rzadkim zjawiskiem i występuje wtedy, gdy pada deszcz lub właśnie przestał się śniżyć i jednocześnie świeci słońce, ale on upierał się, że widzi ją codziennie, bawiąc się na podwórku. Teraz już rozumiała. Z jednego komina unosił się niebieski dym, z drugiego – fioletowy,

a z trzeciego żółty. Rzeczywiście dziecko mogło skojarzyć ten widok z tęczą. Przerazające.

Panowała tu nienaturalna cisza. Nawet wiatr zdawał się omijać Szopienice. Nagle tuż pod nogami Wadowskiej-Król i Wilczek przebiegł ogromny szczur. Zdążyły go wyminąć w ostatniej chwili.

– Moja mama zawsze powtarza, że szczury to jedyne zwierzęta, które są w stanie przeżyć w Szopienicach – skomentowała Wiesia.

Jolanta nie podjęła tematu. Ona też słyszała o kanarku, którego jedno z mieszkających w dzielnicy dzieci dostało od dziadków. Zdechł po dwóch dniach.

Stały przy familoku z tabliczką z numerem osiemdziesiąt sześć. Wiesia sprawnie podzieliła wezwania na te, które miały zostać dostarczone do mieszkańców domów po stronie ulicy z parzystymi numerami, i te, które miały trafić pod adresy nieparzyste.

– Jak skończysz, czekaj pod ostatnim numerem – zakomenderowała Wadowska-Król. – A jeśli ja będę pierwsza, poczekam na ciebie pod moim ostatnim adresem.

Rozdzieliły się. Jolanta weszła do pierwszego budynku. W nozdrza uderzył ją zapach wilgoci. Na klatce schodowej minął ją chłopiec w rozciągniętej koszulce i dziurawych spodniach. Spojrzał na nią tylko swoimi wielkimi oczami i szybko wybiegł na podwórko. Lekarka zapukała do pierwszych drzwi. Odgłosy popołudniowej krzątania ucichły. Na chwilę zapadła cisza, a kilka sekund później do uszu Jolanty dotarł dźwięk najpierw pospiesznie stawianych kroków, a później odryglowywania drzwi.

– Pani doktor. – Kobieta wcale nie wyglądała na zaskoczoną wizytą Wadowskiej-Król, co nieco zaniepokoiło lekarkę.

Czyżby wieści już się rozeszły?

– Dzień dobry – przywitała się z matką czworga swoich podopiecznych Jolanta. – Przyniosłam wezwanie na badanie dla pani dzieci. To bardzo ważne, żeby się pani stawiła.

Gospodyni kiwnęła głową i bez słowa wzięła od niej dokument. Zmarszczyła oczy, próbując odczytać jego treść – Jolanta przypuszczała, że kobieta ma problemy ze wzrokiem i powinna nosić okulary.

– Na środę, tak?

– Tak, tam jest wszystko napisane. Jest też adres laboratorium – dodała szybko Wadowska-Król, bo z wnętrza mieszkania dobiegł głośny płacz dziecka.

– Dobrze, będziemy. – Kobieta obejrzała się przez ramię. – Przepraszam panią, ale...

– Oczywiście, nie zajmuję więcej czasu. A później proszę się do mnie zgłosić po wyniki! – podniosła głos, bo gospodyni już zaczęła zamykać drzwi.

– Dziękuję, do widzenia. – Między futryną a drzwiami mignęła stroskana matczyna twarz.

Pod numerem osiemdziesiątym szóstym mieszkały jeszcze trzy inne rodziny, którym Jolanta musiała wręczyć wezwania. Za każdym razem, kiedy odwiedzała swoich małych pacjentów w ich domach, ubolewała nad opłakanym stanem familoków i nad warunkami, w jakich mieszkały dzieci. Nawet bez podtruwającej ich huty nie mogły się tutaj prawidłowo rozwijać. Wadowska-Król już w dzieciństwie pozbyła się złudzeń: los nie rozdawał sprawiedliwie, ale patrząc na ścianę pokrytą niemal w całości grzybem, boleśnie uświadomiła to sobie po raz kolejny.

Zapukała do następnych drzwi, które otworzyła nastoletnia dziewczyna. Jolanta oczywiście ją znała, bo przecież pracowała w przychodni już od dziesięciu lat, ale nie mogła sobie przypomnieć jej imienia. Zerknęła na wezwanie. Marta, no właśnie.

– Dzień dobry – przywitała się z nastolatką, która z całą pewnością nie ważyła więcej niż czterdzieści kilogramów, a zepsute zęby skutecznie odbierały jej urodę.

– Dzień dobry – odpowiedziała jej obojętnie dziewczyna.

– Zastałam może któregoś z rodziców? – Wadowska-Król dyskretnie zerknęła jej przez ramię.

– Nie, są w pracy. Jestem sama z rodzeństwem.

– A mogłabyś coś przekazać mamie? – zapytała lekarka, a kiedy w odpowiedzi doczekała się jedynie wzruszenia ramionami, podała dziewczynie wezwanie. – Tylko nie zapomnij dać tego rodzicom, najlepiej matce, dobrze?

– Dobrze. – Nastolatka zacisnęła kościste dłonie na wypisanym starannym pismem druku.

Wadowska-Król pożegnała się z dziewczyną i weszła schodami na pierwsze piętro, gdzie mieszkała rodzina Durczaków. Jedną z ich córek, Zosia, tak jak Januszek Tkacz i wiele innych szopienickich dzieci, cierpiała z powodu niedokrwistości i odwiedziła lekarkę tuż przed wizytą profesor Hager-Małeckiej. Jolanta miała przekonanie graniczące z pewnością, że i u Zosi wyjdzie ołowica.

Zapukała energicznie i odczekała kilkanaście sekund. Już miała zrezygnować, kiedy rozległ się charakterystyczny chrobot zamka, a po chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta, którą z braku trafniejszego określenia Jolanta opisałaby jako dużą. Nawet nie wysoką czy grubą – po prostu dużą. Widać było, że jest grubokoścista, i choćby słabo się odżywiała, nigdy nie zejdzie poniżej określonej wagi.

– Dzień dobry, mam dla pani... – zaczęła Wadowska-Król, jednak zamarła, spojrzawszy na twarz Durczakowej.

Pod okiem kobiety widniało sporych rozmiarów fioletowe limo.

Gospodyni bezbłędnie wyczuła, co wywołało taki szok u lekarki.

– Weszłam w drzwi – powiedziała, nie patrząc Jolancie w oczy. – Taka ze mnie fajtłapa.

Lekarka ostatkiem sił woli powstrzymała się od komentarza, zwłaszcza że za plecami Durczakowej mignął jej mąż kobiety w stanie wyraźnie wskazującym na spożycie alkoholu. Jolanta była o wiele drobniejsza od gospodyni i tym bardziej od gospodarza. Skoro mężczyzna bywa agresywny po wódce, kto wie, czy jego gniew nie obróci się w jej stronę?

– Rozumiem. – Wadowska-Król uciekła wzrokiem. – Mam dla pani wezwanie na badania z dziećmi.

– Chodzi o tę ołowicę, tak? – zapytała szeptem kobieta.

Jolanta drgnęła. Jeśli wcześniej tylko przypuszczała, że plotki rozeszły się już po Szopienicach, to właśnie zyskała pewność.

– Spokojnie. – Durczakowa musiała dostrzec reakcję lekarki. – Doktórko, my tylko z samymi swoimi na ten temat rozmawiamy. Ludzie nie są głupi, nikt z tym nie poleci od razu do kierownictwa. Po prostu doszły mnie słuchy, że dzieci chorują i doktorka wysyła je do szpitali.

Wadowska-Król nie wiedziała, jak powinna zareagować. Przytaknąc, zaprzeczyć czy może jednak przemilczeć?

– Chciałabym, żeby pani dzieci również zgłosiły się na badania. – Zdecydowała się na najbezpieczniejszą z opcji.

– Tak, tak, będziemy – zadeklarowała Durczakowa.

Lekarka była zadowolona z efektów, które udało jej się uzyskać: dotychczas wszyscy rodzice, z którymi rozmawiała, wykazali się pełnym zrozumieniem sytuacji i godzili się na proponowane leczenie. Mało tego, absolutnie wszyscy stawiali się na badania!

Nagle przy Durczakowej pojawił się jej mąż. Jolanta intuicyjnie zrobiła krok wstecz, bo pijani mężczyźni budzili w niej lęk, właściwie bez większego powodu. Podskórnie spodziewała się ataku.

– Doktórko, a może trzeba by było zrobić jakieś zebranie dla rodziców? Ja mogę pomóc, skrzyknąć ludzi, znaleźć miejsce. Po co ma doktórka chodzić od drzwi do drzwi? – zaskoczył ją propozycją.

Wadowska-Król stała z wysoko uniesioną głową, bo tylko tak mogła patrzeć zarówno jej, jak i jemu w oczy.

– To niepotrzebne, proszę nic nie robić – powiedziała zdecydowanym tonem. – Wolę działać sama i po cichu niż zwracać na siebie uwagę. Takie zebranie mogłoby wzbudzić czujność władz.

– Jasna sprawa, tak tylko zaproponowałem. – Głos mężczyzny i jego sposób bycia klóciły się z wizerunkiem, jaki w swojej głowie stworzyła Jolanta. Sama zaczynała wierzyć w to, że Durczakowa weszła w drzwi, choć wiedziała, że wpada w pułapkę stereotypów. – Doktórko, ja robię na hucie ołowiu i sam nieraz miałem po cztery krzyżyki i mnie odsuwali – ciągnął Durczak – ale dzieci? Aż strach pomyśleć!

Wadowska-Król nie zastanawiała się dwa razy. Postanowiła zweryfikować swoje informacje u źródła.

– Jedna z matek mówiła mi, że w nocy zdejmujecie filtry z kominów – wtrąciła.

Mężczyzna szybko uciekł wzrokiem.

– Ano, zdarza się – przyznał z ociąganiem.

– Dlaczego? Przecież w ten sposób trujecie własne dzieci! – Jolanta niezamierzenie podniosła głos.

– Doktórka tego nie zrozumie. – Durczak oparł się o futrynę.

- Skąd ta pewność? – Wzrokiem zmusiła go, żeby na nią spojrzeć.
- Bo doktorka nie wie, jak to jest nie mieć czego dla dzieci do garnka włożyć.

Nagle wydał jej się zadziwiająco trzeźwy.

Rozdział 13. Helena

Wrzesień 1974

Helena położyła dłoń na główce Miecicia i delikatnie pogładziła jego włosy. Spał twardym snem i nie powinna go budzić, jednak godziny odwiedzin się kończyły, a ona chciała chociaż w taki sposób się z nim pożegnać. Całe szczęście trafili z Adasiem na jedną salę, dzięki czemu było im trochę raźniej, ale i tak bardzo przeżywali rozłąkę z rodzicami i rodzeństwem. Pielęgniarki mówiły, że niewiele jedzą i są marudni. Helena robiła przy chłopcach dobrą minę do złej gry, aby nie obarczać ich również swoimi troskami, jednak kiedy wracała do domu, płakała w samotności.

I tak mieli więcej szczęścia niż Henio i Iwonka. On trafił do sali z wyraźnie starszymi od siebie chłopakami, którzy mu dokuczali, a przynajmniej tak wnioskowała Helena z zachowania syna, bo on ani słowem się o tym nie zająknął. Zresztą niby jak miałyby coś powiedzieć, skoro każdej ich rozmowie przysłuchiwali się jego towarzysze szpitalnej niedoli? Dla Iwonki w ogóle zabrakło miejsca w Zabrze, wylądowała na Ligocie, zupełnie nie po drodze ani z zabrzańskiej kliniki, ani z Szopienic – szpital znajdował się na drugim końcu Katowic, pod Mikołowem. Helena była u niej tylko jeden raz i miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale przecież nie mogła być w dwóch, a nawet trzech miejscach jednocześnie. Miecicio, Adaś i Henio w Zabrze, Iwonka na Ligocie, a Karolinka – jako jedyna – w domu, bo podobno jej wyniki nie były aż tak tragiczne jak w przypadku pozostałych dzieci Kościelniaków. Jakby tego było mało, Helena w tej ciąży czuła się źle, często dostawała mdłości, a w ciągu dnia miała wrażenie, że jeśli nie pozwoli sobie choćby na piętnastominutową drzemkę, to zaśnie na stojąco.

Helena pochyliła się nad Adasiem.

– Mamusia musi już jechać – wyszeptwała do niego. – Niedługo was odwiedzę. Bądź grzeczny i opiekuj się bratem, dobrze?

– Kiedy przyjedziesz? – Chłopiec położył rączkę na dłoni matki.

– Niedługo – powtórzyła, mając nadzieję, że to wystarczy.

– Chcę wracać do domu. – Adaś uderzył w płaczliwe tony.

Helena miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Co miała mu powiedzieć? Że w domu wcale nie jest bezpieczny? Że powinien być teraz jak najdłużej w szpitalu, bo powrót na Rzemieślniczą z pewnością mu nie pomoże, a wręcz może zaszkodzić? Powstrzymała łzy, bo przy dzieciach musiała być silna.

– Na razie musisz tu zostać – przemówiła uspokajająco.

– Chcę do domu! – powtórzył chłopiec o wiele głośniejszym głosem.

– Ciii, mój kochany, cichutko. – Usiadła na brzegu szpitalnego łóżka. – Bardzo chciałabym cię zabrać do domu, ale...

– To zabierz!

– Nie mogę – oświadczyła z determinacją. – Musisz zostać w szpitalu. Zobacz, jest z tobą Miecio, we dwóch wam różniej.

Adaś odtrącił jej rękę i odwrócił się do niej plecami. Helena wcale mu się nie dziwiła. Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jak długo potrwa pobyt dzieci w szpitalu, więc matka w rozmowach z nimi używała samych ogólników: „niedługo”, „jeszcze trochę” i „jak wyzdrowiejesz”.

Helena pochyliła się nad synem i cmoknęła go w policzek. Nie zareagował, nawet na nią nie spojrział. Wyszła, oglądając się za siebie i wciąż licząc, że Adaś się z nią pożegna, ale on wciąż wpatrywał się w jeden punkt przed sobą.

U Henia była już wcześniej, dlatego kiedy opuściła szpitalną salę, od razu ruszyła do głównego wyjścia. Przystanek znajdował się w niewielkiej odległości od kliniki, dojechała nim do centrum Katowic. Postanowiła wrócić do domu pieszo, w ten sposób zaoszczędzając na kolejnym bilecie na autobus. Najkrótsza droga prowadziła przez Roździeń¹³, powinna ją pokonać góra w ciągu godziny. Oceniła wysokość słońca i doszła do wniosku, że zdąży wrócić przed zmierzchem. Gdzieś na dnie wciąż czaił się w niej lęk, jeśli nie przed wampirem, to przed podpitymi mężczyznami, którzy mogą zaczepić samotnie idącą kobietę. Niby miała przewagę – była

swoja, a swoim tutaj krzywdy nie robili, ale kto wie, co przyjdzie na myśl pijanej głowie?

Szła więc szybkim tempem, patrząc prosto przed siebie i pewnie stawiając kroki. Kiedy dotarła na Rzemieślniczą, zapadał zmierzch. Bez słowa minęła stojącą między numerem czwartym a szóstym grupkę mężczyzn. Każdy z nich trzymał w ręku obowiązkową ćwiartkę wódki z czerwoną kartką. Helena знаła ich wszystkich choćby z widzenia, ale odwróciła głowę, żeby nie wdawać się z pijakami w żadne dyskusje. Chciała znaleźć się już w domu, bo solidnie zmarzła podczas spaceru. Oby Stasiek dołożył do pieca.

Kiedy tylko otworzyła drzwi, przekonała się, jak płonne były jej nadzieje. W izbie było zimno i ciemno, nawet piec kaflowy, który długo trzymał ciepło, zdążył już wystygnać. A niech to! Helena weszła rozeźlona i włączyła światło, rozglądając się wokół. Stasiek powinien być w domu, pracował na rano, tymczasem w mieszkaniu zastała tylko Karolinę, która leżała pod grubym kocem i patrzyła na nią wielkimi ciemnymi oczami.

– Zimno ci? – Helena błyskawicznie doskoczyła do córki. – Jeszcze tego brakuje, żebyś ty nam się pochorowała! Dlaczego siedzisz po ciemku?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Przed chwilą się położyłam i zgasiałam światło. Chce mi się spać – wyjaśniła.

– Ale dobrze się czujesz? – upewniła się Helena, a kiedy Karolinka skinęła głową, przystąpiła do dalszego przepytывania córki: – Gdzie jest tata?

– Nie wiem – odpowiedziało dziecko i ziewnęło głośno. – Powiedział, że idzie do sklepu i niedługo wróci.

– O której wyszedł?

– Nie wiem – powtórzyła dziewczynka. – Dawno.

Helena nie dała po sobie poznać, jak bardzo zezłościła ją ta informacja.

– Jesteś głodna?

– Nie, chcę spać. – Karolinka przewróciła się na drugi bok, co dla jej matki stanowiło jasny sygnał: koniec rozmowy.

Helena ustaliła priorytety i wyszło jej, że w pierwszej kolejności powinna napalić w piecu. Za pomocą pogrzebacza odsunęła fajerkę na dalszą część płyty żeliwnej i wrzuciła do pieca starą gazetę. Położyła na papierze kilka kawałków drewna, podpaliła zapalką gazetę, a kiedy drewno zajęło się ogniem, nabrała małą łopatką węgla ze stojącej przy piecu węglarki. Włożyła fajerkę z powrotem na miejsce i postawiła na piecu garnek z wodą, bo zamierzała tego wieczoru się wykąpać.

Odczuwała głód, ale skoro Karolinka nie chciała kolacji, postanowiła, że nie będzie przygotowywać posiłku tylko dla siebie. Mogła zjeść choćby suchą kromkę chleba, i tak też zrobiła.

Kiedy choć częściowo zaspokoila głód i upewniła się, że Karolinka rzeczywiście zasnęła, wyszła z mieszkania, żeby poszukać Staśka. Duma i złość zabraniały jej tego robić, ale troska o męża była silniejsza. Chociaż... czy to rzeczywiście była troska, czy raczej obawa przed kolejnymi kłopotami, które mógł sprowadzić na rodzinę Staszek, pałętając się gdzieś po pijaku?

W sieni omal nie stratowała jej Grabarzowa, matka Marysi. Sąsiadka właśnie wracała z podwórka z górą prania i rzeczywiście miała prawo nie zauważyć Kościelniakowej, choć ta do małych nie należała. Żarówka w korytarzu wypaliła się jeszcze wiosną i od tamtej pory nikt nie kwapił się, aby ją wymienić. W ciągu dnia nie było większego problemu, bo drzwi wejściowe były przez większość czasu otwarte, a żarówka na półpiętrze świeciła nadal, jednak po zmroku trzeba było stąpać ostrożnie.

– Przepraszam, nie zauważyłam pani – bąknęła Grabarzowa, schylając się, aby pozbierać rozsypane na podłodze pranie. – No coś takiego, trzeba będzie jeszcze raz prać, a ja specjalnie polecałam zebrać, bo zanosi się na deszcz!

Rzeczywiście, na pościeli zostały plamy z błota.

– Oj, to ja przepraszam, mogłam być bardziej ostrożna. – W Helenie odezwały się wyrzuty sumienia, kiedy zobaczyła, w jakim stanie są wyprane i wysuszone rzeczy.

Schyliła się i podała sąsiadce poszewkę na kołdrę.

– Spokojnie, nie ma tego dużo, raz-dwa się przepierze – rzuciła Grabarzowa z pozoru lekkim tonem, jednak Kościelniakowa

doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że przy takich plamach trzeba będzie się solidnie napracować przy tarze.

– To ja może umyję tutaj podłogę. – Helena postanowiła się do czegoś przydać.

– Ale teraz przecież nie wasza kolej, tylko tych z naprzeciwka – przypomniała jej sąsiadka.

– Wiem, ale... – Helena urwała, zdając sobie sprawę, że ktoś za drzwiami może nasłuchiwać.

– Lenistwo trzeba tępić! – podniosła głos Grabarzowa. Ona najwidoczniej nie miała takich dylematów jak Kościelniakowa. – Nie po to ustaliliśmy kolejność sprzątnięcia klatki, żeby teraz się panią wysługiwali! O, i właśnie doszliśmy do tego, kto odpowiada za to, że muszę drugi raz prać pościel.

– No tak – bąknęła Helena, próbując wyminąć i pożegnać sąsiadkę.

– A jak się czują dzieci? Rozmawiała pani może ostatnio z tą doktórką... No... mam na końcu języka jej nazwisko! – zniecierpliwiła się Grabarzowa.

– Z Królową?

– Z Królową! No właśnie wiedziałam, że coś z cesarzową albo carycą. – Sąsiadka puściła do Heleny oczko.

Od ich ostatniej rozmowy, tuż po tym, jak Januszek trafił do szpitala, coś się zmieniło w nastawieniu jego babci. Całe Szopienice się smuciły, a Grabarzowa wbrew wszystkim i wszystkiemu była w radosnym usposobieniu.

– Nie, ostatnio kiedy omawiała ze mną wyniki – przyznała Helena, uświadamiając sobie, że niemal wszystkie dyskusje w dzielnicy toczą się wokół ołowicy, doktor Król i prowadzonych przez nią badań.

– Będzie dobrze, to samo mówię mojej Marysi – oświadczyła z pełnym przekonaniem Grabarzowa. – Wie pani, mnie to nawet uspokoiła ta informacja o ołowicy. – Sąsiadka jakby czytała w myślach Heleny. – Bałam się, że to jakieś raczysko – zesłała do szeptu. – A ołów? My tu całe życie mieszkamy i jak widać, mamy się dobrze.

Kościelniakowej jednak nie przekonały jej słowa. Bo czy rzeczywiście mieli się tu *dobrze*?

Pożegnała się z sąsiadką i wyszła na zewnątrz. Nieprzyjemny chłód owionął jej ramiona, dlatego przyspieszyła kroku. Już wracając ze szpitala, solidnie przemarzła; powinna leżeć teraz pod kołdrą i grzać się ciepłą herbatą. Nie mogła złapać przeziębienia, to nie był dobry czas na chorowanie. Prawdę mówiąc, żaden nie wydawał się odpowiedni, bo przecież przy piątce dzieci i całym domu na głowie jest co robić, ale ten moment był po prostu fatalny.

Odwiedziła kilka miejsc, w których przebywał Stasiek – ławeczka tuż przy murze huty, sklep monopolowy, podwórko przy Obrońców Westerplatte, na którym mężczyźni postawili starą wersalkę i prowizoryczny stół, i wąskie przejście między familokami przy Wandy, które również upodobałi sobie jej mąż i jego koledzy – ale nigdzie go nie znalazła. Wracając do domu, natknęła się na tę samą grupkę mężczyzn, co podczas powrotu ze szpitala; teraz butelki były już puste. Helena przyjrzała się lepiej pijaczkom, doszedłszy do wniosku, że może wcześniej przeoczyła swojego męża, ale nie, tutaj też go nie było. Zresztą przecież swojego chłopca by poznała!

Wróciła do domu wściekła i pełna najgorszych przypuszczeń. A jeśli znów ma jakąś babę? Jeszcze kilka tygodni wcześniej wydawało jej się, że nie miałyby nic przeciwko temu, bo wówczas Stasiek dałby jej w końcu spokój, ale teraz, kiedy dzieci były w szpitalach, uświadomiła sobie, że go potrzebuje. Jego obecności, dobrego słowa, dotyku, przytulenia.

Mocno pchnęła drzwi, napotykając opór. Spróbowała raz jeszcze i wówczas drzwi ustąpiły.

– Kobieto, zabijesz mnie! – Stasiek stał tuż przy wejściu do domu i próbował trafić kurtką na wieszak.

Helena uderzył w nozdrza dobrze znany jej zapach. Mimo że Staszek intuicyjnie się odsunął, kiedy jego żona weszła do mieszkania, ona od razu wyczuła woń alkoholu. Miała wrażenie, że jeśli zaraz nie usiądzie, przewróci się, bo w jednej chwili opadła z resztek sił.

Bez słowa wyminęła Staśka i usiadła przy stole. Schowała twarz w dłoniach i pokręciła głową. Jej mąż bez słowa przypatrywał się tej

scenie. Kilka razy otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamykał.

– Miałeś tylko zająć się Karolinką – odezwała się nagle zmienionym głosem Helena. Opuściła ręce i w końcu spojrzała na męża. – Przypilnować, żeby odrobiła lekcje, dać jej coś do jedzenia, zadbać o to, żeby miała ciepło.

– Musiałem na chwilę wyjść do sklepu – odpowiedział, nie patrząc żonie w oczy i nie ruszając się z miejsca.

Helena nagle poderwała się od stołu.

– W takim razie gdzie są zakupy? – Spojrzała wymownie na jego puste ręce.

– Chyba zostawiłem... – bąknął Stasiek.

– Gdzie? U kurwy czy na melinie?! – wrzasnęła Helena, zapominając o tym, że córka śpi i krzyki mogą ją obudzić.

– Ja... nie... – Stasiek rzucił jej przestraszone spojrzenie.

– Gdzie byłeś?!

Mężczyzna przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Wbił wzrok w podłogę, próbując złapać ostrość.

– U kolegi – przyznał w końcu. – Musiałem się napić, to wszystko mnie przerasta.

Helena zrobiła coś, o co by się nawet nie podejrzewała. Coś, na co nie zdobyła się nigdy wcześniej. A może właśnie trzeba było? Podeszła do Staśka i mocno go spoliczkowała. W pierwszym momencie była zaskoczona tym odruchem. Chwilę później przestraszyła się, że jej odda, choć nigdy nie podniósł na nią ręki. Ale ona przecież dotychczas też tego nie zrobiła. Postąpiła więc krok do tyłu, czekając na reakcję Staśka, ale nic się nie wydarzyło. Stał nadal w bezruchu z pokornie spuszczoną głową, jakby sam uważał, że mu się należało.

– *Ciebie* przerasta, tak? – Helena znów nabrała odwagi. – A co ja mam powiedzieć? Czy ty choć przez chwilę pomyślałeś o mnie i o tym, że ja też mogę mieć dość?

– Ja... nie wiedziałem – wydukał Stasiek.

– Nie wiedziałeś! – przedrzeźniła go żona.

– Wszystko znosisz z takim spokojem. – Mężczyzna nabrał odwagi i spojrzał na żonę.

Helena pokręciła z niedowierzaniem głową.

– A mam inne wyjście, skoro ty tylko chlejesz i ciągle gdzieś znikasz? – znów podniosła głos.

– Przestań, proszę – skrzywił się Stasiek.

Helena przez dłuższą chwilę bez słowa wpatrywała się w męża, układając sobie w głowie to, co zamierzała powiedzieć.

– Stasiek, ja wiem – odezwała się zmienionym głosem. – Wiem o twoich romansach, wiem o tej dziewczynie z prażalni, wiem o Wandzie, wiem więcej, niż ci się wydaje. Przymykałam oko na twoje wysoki, bo tak chyba było mi łatwiej, poza tym są dzieci, które trzeba wykarmić. No właśnie, dzieci. – Posłała mu pełne bólu spojrzenie. – Koniec z tym, rozumiesz? Czas dorosnąć, nie jesteś już kawalerem, masz dom i rodzinę, za którą jesteś odpowiedzialny. Musisz stać się mężem i ojcem, właśnie teraz. Dzieci cię potrzebują. – W myślach dodała „ja też”, ale tego duma nie pozwoliła jej wypowiedzieć na głos.

Stasiek ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Rozdział 14. Jolanta

Wrzesień 1974

Profesor Hager-Małecka zjawiła się w przychodni czwartego września, a szesnastego Wadowska-Król wysłała jej pierwsze sprawozdanie. W ciągu dwunastu dni przebadła prawie tysiąc małych pacjentów i zyskała pewność, że Januszek Tkacz nie był jedynym dzieckiem, które w Szopienicach chorowało na ołowicę. Jolanta najchętniej poszłaby do huty, zrobiła awanturę i kazała natychmiast wstrzymać produkcję, jednak wiedziała, że działanie pod wpływem emocji nie pomoże, a wręcz zaszkodzi tym dzieciom. Trzeba było działać strategicznie, realizować plan, a najlepiej wyprowadzić chore dzieciaki z sąsiedztwa huty. Tylko jak to zrobić?

Jolanta oczekiwała odpowiedzi od pani profesor, pracując i przyjmując kolejnych pacjentów. Zappełniła dziećmi z Szopienic kolejny oddział pediatryczny, tym razem na Ligocie, i obecnie wysyłała chorych do Sosnowca, do doktora Millera, który był asystentem profesor Hager-Małeckiej. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ktoś w końcu zainteresuje się takim obłożeniem szpitali, ale nie liczyła się z nikim i niczym. Nie zamierzała się zatrzymać, zwłaszcza teraz, kiedy okazało się, jak wielkim problemem jest ołowica wśród szopienickich dzieci. Na liście do badań wciąż znajdowało się kilka tysięcy małych pacjentów, a Wadowska-Król przypuszczała, że co najmniej co czwarte dziecko było ciężko chore – tak wynikało z jej statystyk. Wbrew pozorom wyniki nie były lepsze wśród dzieci mieszkających nieco dalej od huty. Chorowały nie tylko dzieciaki wychowujące się przy samym murze.

Wypisywały właśnie z Wiesią Wilczek kolejne wezwania, kiedy ktoś zapukał do drzwi. To nie był jeszcze czas na pierwszych pacjentów – zarówno lekarka, jak i pielęgniarka każdego dnia zaczynały pracę bladym świtem i kończyły kilka godzin po przyjęciu ostatniego chorego.

Jolanta posłała Wiesi zaniepokojone spojrzenie znad listy z nazwiskami dzieci. Wilczek zrozumiała. Za każdym razem, kiedy w przychodni pojawił się ktoś z zewnątrz, a to „z zewnątrz” w tym miejscu było widać gołym okiem, lub rozlegało się pukanie do drzwi gabinetu o nietypowej porze, pojawiał się lęk. Wadowska-Król szybko wrzuciła wezwania do szuflady, choć przecież gdyby przyszła milicja, błyskawicznie by je znalazła, a Wiesia schowała listy pod kartami pacjentów, gdzie zostałyby namierzone równie prędko.

– Proszę wejść! – Jolanta z napięciem wpatrywała się w drzwi.

Odetchnęła z ulgą, gdy stanęła w nich Bożena Hager-Małecka. Kiedy oddech Wadowskiej-Król się uspokoił, a serce przestało wybijać szalony rytm, zdziwiła się, że pani profesor po raz kolejny pofatygowwała się do niej osobiście.

Wstała zza biurka i przeszła trzy kroki, bo dokładnie taką długość miał niewielki gabinet lekarski. Wyciągnęła otwartą dłoń do Hager-Małeckiej, a ta ją uścisnęła.

– Dzień dobry, pani profesor – przywitała się z gościem.

– Dzień dobry. – Hager-Małecka przytrzymała dłużej dłoń młodej lekarki, przypatrując jej się z zainteresowaniem i swego rodzaju podziwem.

Z niedowierzaniem zapoznała się z treścią sprawozdania. To nie wyniki badań były tym, co tak bardzo ją zaskoczyło, a postawa Jolanty Wadowskiej-Król. W ciągu kilkunastu dni wykonała tytaniczną pracę.

Jolanta zerknęła przez ramię na Wiesię, która stała przy biurku, nie za bardzo wiedząc, jak się zachować.

– To jest Wiesława Wilczek, pielęgniarka, moja prawa ręka. Bez jej pomocy nic bym nie zrobiła – zaznaczyła.

Hager-Małecka ruszyła w stronę nieco zawstydzonej tymi pochwałami Wiesi, która uważała się za prostą pielęgniarkę z podmiejskiej przychodni. To lekarzom należały się gloryfikacje. Jednak Jolanta szczerze wierzyła w to, co powiedziała, bo rzeczywiście bez Wiesi nie udałoby jej się w tak krótkim czasie przebadac tylu dzieci.

– Miło mi. – Profesor uścisnęła dłoń Wilczek.

– Mnie również – wymamrotała Wiesia, która nie spodziewała się, że będzie miała okazję poznać taką sławę medycyny. – To ja pójde do siebie, nie będę przeszkadzać. – Postanowiła i niemal natychmiast się ewakuowała. – Do widzenia pani.

Taka właśnie była Wiesia – pierwsza do pracy, ale ostatnia do spijania śmietanki. Jolanta darzyła ogromną sympatią tę kobietę, z którą mogła porozmawiać absolutnie o wszystkim, a która zachowywała wszystkie informacje dla siebie.

– Napije się pani czegoś? – zaproponowała Jolanta. – Może kawy?

– Nie, dziękuję, nie trzeba. Jak się pani zapewne domyśla, zapoznałam się z pani sprawozdaniem, dlatego tu jestem. – Hager-Małecka błyskawicznie przeszła do rzeczy.

– Oczywiście. W takim razie proszę usiąść, porozmawiamy. – Wadowska-Król wskazała jej miejsce przy biurku, a sama usadowiła się na swoim wysłużonym fotelu.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Rozmawialiśmy o przebadaniu kilkorga, może kilkanaściorga dzieci, a pani zrobiła badania połowie dzielnicy.

Jolanta poruszyła się nerwowo, bo nie potrafiła rozstrzygnąć, czy to, co usłyszała w głosie profesor, to uznanie, czy może jednak nagana za to, że wyrwała się przed szereg.

– Kiedy spłynęły do mnie pierwsze wyniki, uznałam, że nie ma na co czekać – wyjaśniła.

– I bardzo dobrze, choć obawiam się, że nie uda się tego długo utrzymać w tajemnicy. – Hager-Małecka założyła nogę na nogę i splótła dłonie na kolanach.

– Mam przerwać badania? – zdziwiła się Wadowska-Król.

– Ależ nie, nic takiego nie powiedziałam. Wręcz przeciwnie, uważam, że skoro sprawy zaszły już tak daleko, trzeba działać, ale bardzo ostrożnie. Będę z panią współpracować, udowodniła już pani, że jest godna zaufania, ale musi pani wiedzieć, że jestem bezpartyjna i mam wrogów w instytucie pediatrii – wyjaśniła Hager-Małecka tonem, który sugerował, że absolutnie nie przejmuje się swoimi oponentami. – Niektórzy woleliby widzieć na stanowisku wojewódzkiego konsultanta w dziedzinie pediatrii kogoś związanego z partią, ale radzę sobie i bez partyjnej legitymacji, co nie zmienia

faktu, że musimy uważać. Wystarczy komisja składająca się z dwóch czy trzech profesorów, którzy powiedzą, że ołowicy nie ma, otepienie umysłowe jest spowodowane zaniedbaniami wychowawczymi i warunkami środowiskowymi, a my zostaniemy oskarżone o podburzanie ludzi, dlatego proszę uważać, co pani robi, bo nas zamkną.

Jolanta wysłuchiwała przemowy profesor w absolutnym skupieniu. To, co usłyszała, jednak jej nie przeraziło, była świadoma konsekwencji swoich działań już wcześniej, a mimo to się ich podjęła. Teraz nawet gdyby chciała, nie mogła się wycofać, bo w ten sposób przyznałaby się do błędu, którego przecież nie popełniła. Ale nie chciała.

– Uważam. Proszę rodziców o dyskrecję, w żadnych dokumentach nie pojawia się słowo „ołowica” – powiedziała.

– Zdaję sobie sprawę, że w pewnym momencie sprawa stanie się głośna, ale mam nadzieję, że zostało nam jeszcze trochę czasu. Paradoksalnie im więcej dzieci pani przebada, tym będzie pani bezpieczniejsza, bo ludzie pójdą za panią, upomną się o panią. Inna sprawa, że władze mogą się tym kompletnie nie przejąć – myślała głośno Hager-Małecka. – Mój ojciec przyjaźni się z Ziętkiem¹⁴, obydwaj walczyli w powstaniach śląskich, a później tworzyli polską administrację w Tarnowskich Górach. Jeśli będzie trzeba, poproszę go o pomoc. Oczywiście nic nie mogę obiecać, ale myślę, że dobrze jest mieć kogoś takiego.

– Jasne – wtrąciła Wadowska-Król, bo zorientowała się, że oczekuje się od niej jakiejś reakcji. Dla niej jednak ważniejsze od polityki i znajomości były jej dzieci. – Kończą się miejsca na kolejnych oddziałach pediatrycznych – dodała. – Zaraz nie będę miała gdzie kierować pacjentów, a przecież nie tylko te najciężej chore dzieci muszą być leczone. Co z tymi, które mają trochę lepsze wyniki?

– Mam pewien pomysł, ale najpierw chciałabym z panią coś omówić. – Hager-Małecka sięgnęła do czarnej skórzanej torebki, którą przez całą rozmowę ścisnęła pod pachą. – Oznaczyliśmy poziom ołowiu we krwi wszystkich pacjentów, których skierowała

pani do naszej kliniki. Ubolewam, że przychodnie praktycznie nie mają dostępu do tych badań, przydałby się jeszcze co najmniej jeden spektrofotometr, to aż niewiarygodne, żeby w tak dużym województwie do dyspozycji była tylko jedna taka maszyna, chyba będę musiała porozmawiać na ten temat w sanepidzie... – mamrotała, szukając czegoś w torebce. – O, mam. – Położyła plik kartek na biurku Wadowskiej-Król. – We krwi rekordzisty, choć to chyba nie jest najodpowiedniejsze określenie, oznaczono poziom ołowiu na poziomie ponad trzystu mikrogramów na decylitr. Mamy sporo wyników w okolicach dwustu, dwustu pięćdziesięciu. W żyłach tych dzieci nie płynie krew, tylko ołów!

Jolanta w milczeniu studiowała przyniesione przez profesor wyniki.

– Czy mogę to zachować? Przygotowałam sobie listy dzieci, do własnego użytku. Nikomu nie będę tego pokazywać – obiecała.

– Może pani – odpowiedziała po dłuższym wahaniu Hager-Małecka. – Tylko proszę pamiętać, żeby nigdzie...

– Nie używać określenia „ołowica”, wiem – ubiegła ją Wadowska-Król.

– My w swoich szpitalnych dokumentach też tego nie robimy. Dzieci z Szopienic w rubryce „rozpoznanie” mają wpisane „obserwacja”.

Jolanta pomyślała, że to niesprawiedliwe i w jakiś sposób krzywdzące dla jej podopiecznych – ich choroba musiała być ukrywana przed światem, bo ten odwracał od nich wzrok. Lekarka uważała, że te dzieci zasłużyły na to, aby głośno mówić o ich krzywdzie, a tymczasem zamykano ich nieszczęście w jednym, niewiele mówiącym słowie „obserwacja”.

– O jakim pomysle pani mówiła? – zmieniła temat Wadowska-Król.

– A, widzi pani. Zastanawiałam się, jak rozwiązać temat przepełnionych szpitali, i doszłam do wniosku, że chyba wiem, kto mógłby nam pomóc.

– Kto?

– Doktor Zofia Kajzerowa, kierowniczka Wojewódzkiego Ośrodka Matki i Dziecka – wyjaśniła Hager-Małecka. – Jest odpowiedzialna

za sanatoria w województwie.

Rozdział 15. Helena

Wrzesień 1974

Ostatnie dni miesiąca przyniosły poprawę pogody. Po deszczach zostało już tylko w zacienionych fragmentach klepisk błoto, którego wcale nie było mało, bo przejścia między familokami były wąskie i do większości podwórek nie docierało słońce. Helena rozwieszała pranie w cienkim sweterku, ze smutkiem nasłuchując ciszy, która z dnia na dzień wtargnęła w codzienność Szopienic. Znikąd nie napływały odgłosy dziecięcych zabaw. Brakowało jej nawet tych kłótni, które nieustannie wybuchwały między rodzeństwem. Z nostalgią myślała o tamtym wieczorze, kiedy szła przez pogrążoną w ciemnościach dzielnicę, szukając tych nicponiów, a przez uchylone okna z familoków płynął dziecięcy śmiech. Wtedy nie zwracała na to uwagi, obecność dzieci była czymś oczywistym, tutaj każdy miał ich po kilkoro, a niektórzy nawet kilkanaścioro. Bajtle wychowywały się właściwie same, od rana do wieczora biegały po podwórkach. Znały okoliczne zaułki tak dobrze, jak żaden dorosły.

Helena teraz wyrzucała sobie, że pozwalała dzieciom tak dużo czasu spędzać na dworze. Może gdyby więcej siedziały w domu, nie nawdychałyby się tyle tych oparów? Sama już nie wiedziała, co ma myśleć. Co jakiś czas z lękiem zerknęła w stronę ogromnego komina, który górował nad hutą. Dom przestał być bezpiecznym miejscem.

Zaniosła pustą miskę na pranie do mieszkania i spojrzała na zegarek. Musiała się zbierać, jeśli nie chciała spóźnić się do szkoły po Karolinę. Zabrała tylko materiałową siatkę na zakupy, uznawszy, że w drodze powrotnej wstąpią z córką do sklepu mięsnego zobaczyć, co tam rzucili. Naciągnęła sweter głębiej na ramiona, nawet nie próbując się dopiąć. Mimo że ciąża była jeszcze niewidoczna dla postronnych, piersi powiększyły się Helenie o co najmniej dwa rozmiary.

Ruszyła w górę Rzemieślniczej, w stronę Zjednoczenia Partii. Była już przy głównej ulicy, kiedy usłyszała, jak ktoś za nią woła.

– Pani Heleno! – Irena Bieniek szła obciążona ciężkimi torbami.

Kościelniakowa przystanęła, aby porozmawiać ze znajomą.

– Dzień dobry – przywitała się. – Pomóc pani?

– Nie, poradzę sobie. Moja teściowa nakisiła ogórków i dała mi chyba z dziesięć słoików.

– Dobra teściowa – skomentowała Helena z lekką dozą nieśmiałości, bo Irena Bieniek nie była jej bliską koleżanką i Kościelniakowa właściwie nie wiedziała, dlaczego ją zawołała i o czym miałyby rozmawiać.

– Wie pani, jak to z teściowymi. – Irena pozwoliła sobie na niepewny uśmiech. – Niby mówią, że dobra teściowa to martwa teściowa, ale ja tam sobie swoją chwałę.

– To miłe – wtrąciła Helena, której sztywność tej rozmowy zaczynała dokuczać.

Najchętniej pożegnałaby się i poszła w swoją stronę, ale nie chciała zostać uznana za niegrzeczną.

– Pani Heleno, bo pani z Rzemieślniczej, prawda? Chyba mieszkanie zaraz przy murze huty? – zagadnęła ją Bieńkowa.

No tak, mogła się tego spodziewać. Nagle wszystkie inne problemy się zdezaktualizowały, a tematy do rozmów wyczerpały. Liczyło się jedno: ołowica. Helena wprawdzie to rozumiała, w końcu sama potrafiła teraz myśleć tylko o chorobie dzieci, ale niekoniecznie chciała dzielić się swoimi smutkami z – było nie było – obcymi ludźmi.

– Tak – potwierdziła niechętnie.

– Słyszałam, że ci, co mieszkają najbliżej huty, poszli do badania pierwsi. Byłam nawet specjalnie u doktorki zapytać ją, czy moje dzieci też są wyznaczone do tych badań, ale kazała mi czekać na swoją kolej. – Bieńkowa mówiła szybko, a każde kolejne słowo wyrzucała z siebie z jeszcze większą prędkością niż poprzednie, jakby czuła, że cierpliwość jej rozmówczyni się kończy. – Może powie mi pani coś więcej na ten temat, bo ja już od zmysłów odchodzę, zastanawiając się, czy moje dzieci są zdrowe, czy też

chorują. Niby nie mieszkamy tak blisko huty jak państwo, powinnam być spokojna, ale... – Urwała znacząco.

– Ja tego pani nie powiem.

– Czego?

– Czy pani dzieci są zdrowe, czy nie – wyjaśniła Helena. – Skoro doktorka kazała czekać na swoją kolej, chyba nie ma pani innego wyjścia.

– No ale może opowiedziałyby mi pani, jak to było u was – upierała się Irena.

– Po co? Żeby mogła pani ludziom powtórzyć? – zdenerwowała się Kościelniakowa. – Doktorka prosiła o dyskrecję, więc ja nie będę z panią na ten temat rozmawiać.

Może zareagowała odrobinę za ostro, ale odczuwała narastające zmęczenie przede wszystkim ludzką ciekawością. Rozumiała Bieńkową, że ta martwi się o swoje dzieci, bo w końcu każda szopienicka matka w tamtych dniach się niepokoila, ale Helena była ostatnią osobą, która mogłaby rozwiać jej wątpliwości, bo sama miała ich mnóstwo. Strach o dzieci i niepewność dalszego losu przeważały nad wszystkimi innymi emocjami. A przecież nosiła w sobie kolejne maleństwo, do którego powoli w jej sercu rodziła się miłość, mimo że na początku go nie chciała. Helena najchętniej ukryłaby się przed światem, rozplynęła i poczekała, aż to całe szaleństwo się skończy. Walczyła jednak, zmuszała się każdego dnia rano, aby wstać z łóżka, przygotować Karolinie śniadanie, odprowadzić ją do szkoły, przygotować i rozwieźć po szpitalach domowy posiłek, choć to akurat nie codziennie, bo jej rodziny najzwyczajniej w świecie nie stać było na to, aby co dzień kupować bilety autobusowe.

Na rozwiewanie wątpliwości takich ludzi jak Irena Bieniek nie starczało jej już sił. Musiała zadbać o dzieci i o siebie, aby nie opaść z sił i aby dać z siebie coś jeszcze tym swoim isierkom, które teraz tak bardzo jej potrzebowały.

Bieńkowa szybko się pożegnała, wyraźnie naburmuszona, ale Helena niewiele robiła sobie z jej reakcji. Przeszła przez główną ulicę i weszła w Wandy – szkoła rejonowa znajdowała się przy skrzyżowaniu Wandy i Korczaka, miała więc do przejścia całą

długość ulicy. Po drodze nasza ją refleksja, że była zbyt niemiła dla Ireny Bieniek, ale szybko ją od siebie odsunęła. Zawsze za bardzo przejmowała się tym, co ludzie o niej pomyślą czy powiedzą, bo tak została wychowana, ale przecież są rzeczy istotniejsze niż ludzkie gadanie.

Z oddali wyłonił się rozległy budynek z czerwonej cegły o strzelistych dachach – tak tu kiedyś budowano, dlatego siedziba rejonówki wyglądała podobnie do gmachu, w którym mieściła się szkoła specjalna. Helena przyspieszyła, bo przez bramę na ulicę wybiegały już dzieci, a więc dzwonek zadzwonił już na zakończenie lekcji. Za dużo czasu straciła na dyskusję z Bieńkową.

Helena zatrzymała się przed wejściem, próbując wyłowić wzrokiem swoją córkę wśród biegających wokół dzieci. Uderzyła ją myśl, że z dnia na dzień szkoła jakby pustoszała. Kiedy odbierała Karolinę w pierwszych dniach roku szkolnego, trudno było się precyzyjnie przecisnąć przez tłum uczniów opuszczających budynek. Dzieci znikają z szopienickiej szkoły.

W końcu udało jej się dojrzeć córkę. Kiedy zobaczyła minę, z jaką Karolinka do niej podeszła, uśmiech zamarł na jej twarzy. Dziewczynka ewidentnie miała płacz na końcu nosa.

– Co się stało? – zaniepokoiła się matka.

– Nic. – Córka wzruszyła ramionami.

Karolinka z natury była skryta i czasem trzeba było się nieźle nakombinować, aby cokolwiek z niej wyciągnąć.

– Ktoś ci dokuczał? Powiedział ci coś przykrego? – dociekała Helena.

– Nie. – Dziewczynka złapała mamę za rękę i pociągnęła ją w stronę domu.

– Ale przecież widzę, że coś się stało. – Helena pokornie ruszyła za córką, która najwyraźniej chciała jak najszybciej pójść spod szkoły, co do niej nie pasowało.

Zwykle nie mogła się rozstać z koleżankami.

– Nic się nie stało – upierała się Karolinka, jednak matka za dobrze ją znała, aby jej uwierzyć.

– Mnie nie oszukasz.

Córka przewróciła oczami, co Helena odebrała jako gest mówiący: „Dlaczego ty zawsze musisz mieć rację?”.

– Hania się wyprowadza – powiedziała cichutko dziewczynka.

– Hania? Niemożliwe, musiałaś coś źle zrozumieć – zdziwiła się Helena, która знаła przecież matkę najlepszej koleżanki swojej córki.

Gdyby Chojnaccy mieli w planach wyprowadzkę, chybaby jej o tym wspomniała?

Karolinka była starsza od Hani tylko o dwa tygodnie. Dziewczynki przyjaźniły się od małego, można powiedzieć, że były nierozłączne. Kościelniakowa i Chojnacka poszły we dwie do kierownika szkoły prosić, aby ich córki mogły chodzić do tej samej klasy. Skąd więc ta nagła zmiana?

– Hania mi powiedziała, ona by sobie tego nie wymyśliła! – Twardo obstawała przy swoim Karolinka.

– Ale mogła coś źle zrozumieć – wytłumaczyła Helena. – Przeprowadzka jest czymś, co planuje się z wyprzedzeniem, a mama Hani ani słowem nie wspomniała mi, że...

– To przez tę chorobę. – Dziewczynka nagle spoważniała. Już nie przypominała roześmianego siedmioletniego dziecka, tylko dorosłą kobietę, mającą liczne troski. – Rodzice Hani powiedzieli, że trzeba się stąd jak najszybciej wyprowadzić. Będą mieszkać u cici w Siemianowicach.

Helena w żaden sposób tego nie skomentowała. Mocniej tylko ścisnęła rękę córki i pociągnęła ją za sobą. Oczywiście, kiedy dowiedziała się o ołowicy wśród dzieci mieszkających w sąsiedztwie huty, przez jej głowę również przemknęła myśl, że najlepiej by było wyprowadzić się z Szopienic, ale nie mieli dokąd. Ci, którzy mogli się zatrzymać na dłużej u bliższej czy dalszej rodziny, byli na wygranej pozycji, jednak Helena przypuszczała, że takich osób nie ma wiele.

Ani jej rodzice, ani rodzice Staśka nie mieli już miejsca, aby przygarnąć siedmio-, a wkrótce ośmioosobową rodzinę. Z teściami w maleńkim dwupokojowym lokalu mieszkała przecież siostra Staśka z mężem i dziećmi. Z kolei u rodziców Heleny pomieszkiwał najstarszy z rodzeństwa Musiołów, wieczny kawaler, i młodszy od

niego o dwa lata brat z żoną i trzema córkami. Helena miała trochę żal do matki, bo wydawało jej się, że wnuczki od syna są dla niej ważniejsze od wnuków ze strony córki, którymi nigdy się nie zajmowała. Kościelniakowa tłumaczyła to sobie odległością, bo nie chciała przyznać sama przed sobą, że rodzice nigdy nie popierali jej życiowych wyborów i się z nimi nie pogodzili. Nie wyobrażała sobie powrotu do rodzinnego domu po tych wszystkich latach. Zresztą w Imielinie i tak najzwyczajniej w świecie nie było miejsca dla ośmiu kolejnych osób.

– Mamo, słyszałaś? – Karolinka próbowała zwrócić na siebie uwagę matki.

– Co mówiłaś?

– Nie chcę, żeby Hania się wyprowadziła.

Helena nie odpowiedziała. Po cichu zazdrościła Chojnackim, że mają takie miejsce, do którego mogą się przenieść.

Ona i jej dzieci były skazane na życie w familokach za murem huty, która jednocześnie ich żywiła i truła.

Rozdział 16. Jolanta

Październik 1974

Pierwszy autokar miał lada chwila podjechać pod główne wejście Pałacu Młodzieży imienia Bolesława Bieruta. Przy budynku w kształcie prostokątnego klocka, idealnie wpasowującym się w socrealistyczny krajobraz miasta, zgromadził się tłum rodziców żegnających dzieci. Zajęli cały, dość szeroki chodnik, część stała nawet na schodach prowadzących do pałacu. Przechodnie mieli nie lada problem, aby precyzyjnie się przemieszczać przez tłum, który z niezrozumiałych dla nich względów zebrał się przy Mikołowskiej. To właśnie ten punkt na mapie Katowic doktor Kajzerowa z Wojewódzkiego Ośrodka Matki i Dziecka wyznaczyła na miejsce zbiórki.

Pomysł profesor Hager-Małeckiej, aby zaangażować w działania Kajzerową, okazał się strzałem w dziesiątkę. Kierowniczka ośrodka od razu wykazała wolę pomocy i obiecała, że jak najszybciej zorganizuje miejsca w sanatorium i autokar dla szopienickich dzieci. Absolutnie wszystkie oddziały pediatryczne w okolicy były wypełnione do ostatniego łóżka, a z każdym kolejnym dniem Wadowska-Król wpisywała na swoją listę kolejne dzieci chore na ołowicę. Nie było dnia, w którym nie trafiałoby na nią co najmniej dwadzieścia nazwisk. Lekarka dotychczas przebadła wszystkie dzieci z Rzemieślniczej i te mieszkające w familokach pod wysokimi numerami Obrońców Westerplatte. Obecnie Wiesia była na Makarenki, gdzie dostarczała kolejne wezwania, tym razem w pojedynkę, bo Wadowska-Król nie wyobrażała sobie tego, że mogłoby jej zabraknąć dziś pod Pałacem Młodzieży, skąd pierwsze z jej dzieci miały wyruszyć do Istebnej.

– Doktórko, wiadomo już, jak długo oni będą w tym sanatorium?
– Lekarkę zaczepił mężczyzna, z którym kilka tygodni wcześniej rozmawiała na temat filtrów ściąganych na noc z kominów.

Tym razem był zupełnie trzeźwy i nawet się ogolił.

– Tyle, ile będzie trzeba – odpowiedziała wymijająco Jolanta, bo sama tego nie wiedziała.

– Ale na święta to chyba wróca, nie?

– Do świąt jeszcze ponad dwa miesiące, wszystko się może zdarzyć – stwierdziła.

Nie wyobrażała sobie jednak tego, że dzieci miałyby wrócić do familoków w sąsiedztwie huty. Nie po to pracowała od świtu do zmierzchu, zlecając setki badań, wystawiając stopy wezwań i przemierzając kolejne kilometry, aby pozwolić na powrót swoich małych pacjentów do miejsca, w którym byli regularnie podtruwani. Wadowska-Król nie miała pojęcia, jak tego dokona, ale musiała wyprowadzić dzieciaki z domów, w których dotychczas się wychowywały.

Zatrzymywali się przy niej kolejni rodzice z dziećmi. Niektórzy tylko po to, aby okazać wdzięczność, wyściskać ją, podać jej rękę. Jolanta nie oczekiwała podziękowań i laurek, robiła to wszystko, bo wymagała tego od niej zwykła przyzwoitość. Była medykem, przysięgała świadczyć pomoc i strzec godności lekarza – wykonywała więc tylko swoją pracę, ale musiała przyznać, że kiedy z ust tych prostych ludzi słyszała „dziękuję”, a w ich oczach szklily się łzy wzruszenia, mimo październikowego chłodu robiło jej się ciepło na sercu.

– Podobno na hucie już wiedzą, co się dzieje. – Słowa jednego z mężczyzn sprawiły, że przeszedł ją dreszcz. – Słyszałem, że radzą, co zrobić.

– Niech radzą, byle mądrze. – Pod maską pewności siebie Jolanta ukryła lęk.

– Jak będzie trzeba, my się za doktorką wstawimy – zadeklarował jej rozmówca. – Nie pozwolimy doktorce zrobić krzywdy!

Wadowska-Król dostrzegła w tłumie doktor Kajzerową, podziękowała więc ojcu jednego ze swoich pacjentów i ruszyła w stronę kobiety w długim, sięgającym niemal do ziemi płaszczu. Wymieniły uściski dłoni.

– Nie spodziewałam się, że tak szybko pani zadzwoni – powiedziała Wadowska-Król. – Kiedy się widziałyśmy, mówiła pani,

że nie ma żadnych wolnych miejsc w sanatoriach.

– Bo na tamtą chwilę tak było. Rozumiem, że sprawa jest priorytetowa i trzeba działać błyskawicznie. Dzisiaj sześćdziesięcioro dzieci wyjedzie do Istebnej, a w przyszłym tygodniu chciałabym zorganizować kolejny autokar, tylko proszę dać mi na to chwilę – zastrzegła doktor Kajzerowa.

– Oczywiście, jestem do zgonnie wdzięczna za to, co pani robi – uśmiechnęła się Jolanta.

– Profesor Hager-Małecka wspomniała też, że będziemy musiały zastanowić się, jak rozwiązać problem przepełnienia szpitali.

– Tak, moi pacjenci nie mogą w nieskończoność zajmować wszystkich łóżek.

– Pani zna te dzieci najlepiej i wie, które powinny zostać wysłane do sanatoriów w pierwszej kolejności – stwierdziła Kajzerowa. – System, który wdrożyliśmy przy organizacji tego wyjazdu, wymaga dopracowania, ale myślę, że najlepiej będzie, aby to pani przygotowywała listy z nazwiskami pacjentów do wyjazdu, tak jak teraz.

– Też tak myślę. Jestem w stałym kontakcie z kierownikami oddziałów, na których przebywają dzieci, i będę na bieżąco sporządzać listy do sanatoriów – zaoferowała Wadowska-Król.

Kierowniczką Wojewódzkiego Ośrodka Matki i Dziecka spojrzała na nią z nieukrywanym podziwem.

– Pani doba ma chyba czterdzieści osiem godzin.

– Chciałabym. – Kąciki ust Jolanty delikatnie drgnęły.

Kajzerowa była kolejną właściwą osobą na właściwym stanowisku, którą Wadowska-Król spotkała na swojej drodze w ciągu ostatnich kilku tygodni. Jolanta uważała, że w idealnym świecie takie funkcje jak kierownik przychodni, sanepidu, laboratorium czy innego ośrodka powiązanego ze środowiskiem medycznym winni pełnić wyłącznie lekarze, i to lekarze z powołania, ale idealny świat był utopią. Na szczęście czasem zdarzali się tacy ludzie jak doktor Kajzerowa czy doktor Urban kierujący placówką, w której pracowała Jolanta – on wprawdzie niewiele w tej sprawie zrobił, ale też nie przeszkadzał, a to już było naprawdę dużo.

Dalszą rozmowę dwóch lekarek uniemożliwił hałas, który zapanował po tym, jak jeden z chłopców wykrzyknął: „Jedzie!”. Rzeczywiście, jedną z głównych arterii miasta, łączących południowe dzielnice miasta ze znajdującym się na północy Śródmieściem, zjeżdżał właśnie w dół dość sfatygowany autokar, z pewnością pamiętający czasy poprzednich pierwszych sekretarzy. Pojazd skręcił z Mikołowskiej na niewielki parking znajdujący się tuż przy wejściu do budynku. Wąsaty kierowca zatrąbił, zatrzymując się przed Pałacem Młodzieży, na co wzniosły się pełne radości okrzyki dzieci. Szybko jednak euforia ustąpiła miejsca smutkowi, kiedy trzeba było się pożegnać z rodzicami.

Wadowska-Król uważnym wzrokiem przypatrywała się twarzom swoich małych pacjentów, na których odmalowywało się bogactwo emocji, od ciekawości i podekscytowania nowym miejscem, do którego mieli trafić, poprzez niepewność i obawę, aż po przerażenie spowodowane przymusową rozłąką z rodzicami. Najbardziej przestraszone były najmłodsze dzieci, nad którymi opiekę dotychczas sprawowała wyłącznie matka. W trochę lepszym położeniu były te, którym towarzyszyło starsze rodzeństwo, ale i w ich oczach lekarka widziała łzy. Powtarzała sobie, że tak trzeba, że innego wyjścia po prostu nie ma, ale sceny pożegnań i tak rozrywały jej serce. Spojrzała na stojącą tuż obok niej kobietę, trzymającą na rękach czteroletnią dziewczynkę, która głośno płakała. Matka tłumaczyła jej coś drżącym głosem. Widać było po tej kobiecie, że próbuje trzymać się w ryzach, ale przychodziło jej to z dużym trudem. Tuż obok stał mężczyzna. Jedną dłoń trzymał na ramieniu żony, drugą gładził główkę dziecka. Jolanta widziała jego nerwowo poruszające się jabłko Adama. Ten prawie dwumetrowy, potężny człowiek również prowadził nierówną walkę z ogarniającym go wzruszeniem. Wadowska-Król odwróciła wzrok. To była intymna chwila tej rodziny. Czuła się jak intruz, przypatrując się ich rozpaczy.

Starsze dzieci wsiadały do autokaru bez protestów i tylko przyklejone do szyb rączki świadczyły o tym, jak ciężko jest im się rozstać na dłuższy czas z rodzicami. Z młodszymi matki wchodziły do środka, sadzały je na fotelach i po raz kolejny zapewniały, że

wszystko będzie dobrze, a w sanatorium będą się świetnie bawić. W tym czasie ojcowie sprawnie pakowali torby i plecaki do bagażników znajdujących się po obydwu stronach autokaru. Kierowca ponaglał kobiety, najpewniej doszedłszy do wniosku, że pożegnania za bardzo się przeciągają. Kiedy wszyscy dorośli znaleźli się na zewnątrz, do autokaru weszła doktor Kajzerowa, aby przeliczyć dzieci.

– Wszyscy są – powiedziała, opuszczając pojazd. – Można odjeżdżać – zwróciła się do kierowcy.

Mężczyzna szybko zamknął drzwi, jakby tylko czekał na ten sygnał. Kajzerowa stanęła przy Wadowskiej-Król i przez chwilę obydwie kobiety w milczeniu przypatrywały się odjeżdżającemu autokarowi. Kierowca sprawnie włączył się do ruchu i zatrąbił, jakby rodzicom dzieci na pożegnanie. Przez chwilę przed pałacem panowała zupełna cisza. Przerwało ją głośnie chrząknięcie doktor Zofii Kajzerowej.

– To ja już się będę zbierać – zwróciła się do Wadowskiej-Król. – Jesteśmy w kontakcie. Zadzwońię do pani do przychodni, jak tylko zwolnią mi się kolejne miejsca i zorganizuję transport.

– Dobrze, będę już miała gotową listę, żeby później nie działać w pośpiechu. – Jolanta uścisnęła dłoń Kajzerowej. – Jeszcze raz dziękuję za tak błyskawiczną reakcję.

Zofia pożegnała się i szybkim krokiem odeszła w stronę znajdującego się tuż obok przystanku. Jolanta straciła ją z pola widzenia, kiedy wsiadła do autobusu, który szczęśliwie akurat przyjechał.

Wadowska-Król przeniosła wzrok na grupę rodziców, która wciąż się nie rozeszła. Lekarka dostrzegła w ich oczach oczekiwanie. Widać było po nich, że chcieliby usłyszeć odpowiedź na pytanie „Co dalej?“, ale Jolanta nie miała pojęcia, co miałyby im powiedzieć, bo sama jeszcze tego nie wiedziała. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie może tak po prostu odejść i zostawić tych ludzi z ich wątpliwościami. Część z nich właśnie pożegnała po kilkoro swoich dzieci, nie mając pojęcia, kiedy zobaczy je ponownie.

– Proszę państwa, tak jak powiedziałam każdemu z was z osobna: robimy wszystko, co w naszej mocy, aby wyleczyć dzieci, ale na to

potrzeba czasu. Mieszkają państwo przy hucie, część z was tam pracuje, doskonale wiecie, że ołów wypłukuje się z organizmu powoli. Proszę mi uwierzyć, że sanatorium w górach jest najlepszym miejscem, w którym wasze dzieci mogłyby się teraz znaleźć. – Kiedy skończyła, zdała sobie sprawę, że mówi samymi ogólnikami i powtarza to, co już im powiedziała, ale wydawało jej się, że właśnie to powinni wtedy usłyszeć.

– A jak wyzdrowieją, będą mogły wrócić normalnie do domów? – Niska, szczupła kobieta wypowiedziała na głos pytanie, nad którym wszyscy po cichu się zastanawiali.

Wadowska-Król się zawahała. Najważniejszą zasadą, jaką kierowała się zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym, była szczerość. Uważała, że prawda, nawet najbrutalniejsza, jest lepsza od kłamstwa, które daje złudną nadzieję i tylko odwleka w czasie ten moment, kiedy zaboli, a wówczas ból będzie silniejszy, bo spadnie się z wysokości. A jednak poczuła ochotę, aby właśnie teraz, chwilę po odjeździe do sanatorium pierwszych jej dzieci, pójść na skróty.

Nie zdążyła się odezwać, bo ubiegła ją Durczakowa, która właśnie wyprawiała w drogę dwoje swoich dzieci.

– Niektórzy ludzie szukają po rodzinach jakiegoś lokum dla siebie – podjęła temat – ale nie oszukujmy się, mało kto będzie mógł sobie pozwolić na to, żeby się wyprowadzić z Szopienic. Część z nas mieszka tam z dziada pradziada.

Jolanta poczuła do tej potężnej kobiety wdzięczność za to, że się odezwała, bo chęć, aby skłamać, rozmyła się.

– Jeśli dzieci wrócą do tego samego środowiska, historia się powtórzy – oznajmiła, przygotowując się na bunt. – Są dwie możliwości: albo działalność huty zostanie wstrzymana...

Nie pozwolono jej jednak skończyć.

– A z czego będziemy żyć? – wtrącił Durczak, na co inny mężczyzna błyskawicznie go poparł.

– ...ale mówmy o rzeczach realnych, więc skupmy się na drugiej możliwości – kontynuowała Wadowska-Król, zupełnie jakby nie usłyszała ostatniej uwagi. – Nie widzę szans, aby dzieci wróciły do

domów, w których mieszkały dotychczas. Potrzebujecie państwo nowych lokali, najlepiej z dala od szopienickiej huty.

Kiedy tylko skończyła mówić, natychmiast uświadomiła sobie, że to, co właśnie zasugerowała, to czyste szaleństwo, ale jednocześnie jedyny sposób, aby jej mali pacjenci przestali chorować i zyskali szansę na w miarę normalne życie. W miarę, bo Wadowska-Król wiedziała, że pewne zmiany w układzie nerwowym są nieodwracalne, a każdy organizm zachowuje się inaczej. Mocno jednak w tę względną normalność wierzyła, bo przecież chodziło o dzieci, a im człowiek młodszy, tym większe zdolności regeneracyjne wykazuje. Wszystko to jednak było tylko przypuszczeniem – na żywej tkance poznawała tę słabo znaną medycynie chorobę.

– Ale na mieszkanie czeka się kilka, nawet kilkanaście lat! – zaprotestował ktoś głośno, ale Jolanta nie widziała kto, bo stał z tyłu. – Poza tym my mamy przyznane lokale, więc nie możemy wpisać się do kolejki!

– Zastanowię się, jak mogę państwu pomóc, ale proszę o cierpliwość, tymczasem waszym dzieciom w sanatorium nie stanie się krzywda, zapewniam.

Rodzice nie wyglądali na przekonanych, ale więcej nie protestowali. Kiedy Jolanta po latach wspominała tamte wydarzenia, zadziwiała ją dyscyplina panująca wśród tych ludzi. Nikt nie podważał jej decyzji, nikt nie pytał o ich słuszność, wszyscy robili tak, jak powiedziała. W pełni jej ufali i choć ona nie do końca wiedziała, czym sobie na to zaufanie zasłużyła – przecież to była jej praca, wykonywała po prostu swoje obowiązki – doskonale wiedziała, że nie może zawieść tych ludzi.

Rozdział 17. Helena

Październik 1974

Helena nie mogła się skupić na kazaniu księdza, jej myśli cały czas krążyły wokół treści listu będącego jednocześnie zaproszeniem na niedzielny obiad. Rzadko odwiedzała rodzinę w Imielinie, bo po pierwsze w ferworze codziennych obowiązków trudno było znaleźć czas na wyprawę do centrum, skąd jeszcze ponad godzinę trzeba było jechać autobusem, a po drugie Kościelniakowie oszczędzali absolutnie na wszystkim, zaś zakup biletów dla dwojga dorosłych i pięciorga dzieci znacząco uszczupliły i tak skromny domowy budżet. Tym razem jednak zostali oficjalnie zaproszeni i trzeba było jechać.

Helena, choć od czasu wyprowadzki z Imielina miała raczej kiepski kontakt ze swoimi rodzicami, nie wyobrażała sobie, że miałyby nie poinformować matki o pobycie jej wnuków w szpitalu. Napisała więc lakoniczny list, w którym ani razu nie padło słowo „ołowica”, bo Helena nie była głupia; wiedziała, w jakich czasach żyje i że każdy może otworzyć kopertę i zapoznać się z treścią prywatnej korespondencji. Wykaligrafowana koślawym pismem odpowiedź przyszła po dwóch tygodniach.

Kochana Córko,

z niepokojem przeczytałam Twój list. Martwimy się z ojcem o to, co się u Was dzieje. Przyjedźcie w niedzielę na obiad, porozmawiamy.

Mama

Koniec. Helena przeczytała te trzy krótkie zdania setki razy, jakby spodziewała się, że w końcu treść listu ulegnie zmianie, ale on wciąż brzmiał tak samo. Cóż było więc robić, Helena zacerowała Karolinie jej jedyne białe, eleganckie rajstopki, które dziewczynka donosiła

po starszej siostrze, a w których wyszła dotychczas tylko raz, na rozpoczęcie roku szkolnego, i wróciła z dziurą na kolanie; dla siebie wybrała najładniejszą, choć zdecydowanie pamiętającą lepsze czasy spódnice, a Staśkowi nakazała włożyć koszulę, w której był na ich ślubie, chrzcinach i komuniach wszystkich dzieci.

Po wyjściu z kościoła od razu poszli na przystanek, skąd odjeżdżał tramwaj do centrum Katowic. W niedzielę komunikacja kursowała rzadziej, spędzili więc niemal pół godziny, czekając i niewiele przy tym rozmawiając. Cała trójka miała raczej kiepski humor – Karolinka tęskniła za rodzeństwem, brakowało jej kompanów do dziecięcych psot, Helena denerwowała się spotkaniem z dawno niewidzianymi rodzicami, a Stasiak wiedział, że teściowie za nim nie przepadają, więc spisał całe popołudnie na straty.

Dzień był chłodny nawet jak na październik, a mocne porywy wiatru obniżały temperaturę odczuwalną o dodatkowych kilka stopni. Helena trzęsa się z zimna w cienkich cielistych rajstopach, jedynych niezniszczonych, które znalazła, a które pasowały do eleganckiej spódnicy. Czowała się jak przebieraniec i zupełnie nie rozumiała, dlaczego wciąż tak bardzo stara się coś udowodnić rodzicom. Po co w ogóle przejmować się ich zdaniem?

– Dać ci swoją kurtkę? – zapytał Stasiak, posyłając żonie zatroskane spojrzenie.

Musiła przyznać, że w ich małżeństwie coś się zmieniło od tamtego dnia, kiedy go spoliczkowała i wykrzyczała mu, że wie o jego zdradach. Stasiak wracał do domu od razu po pracy, był bardziej zaangażowany w opiekę nad Karolinką, kilka razy pojechał też z żoną odwiedzić dzieci w szpitalu. Helena jednak nie dzieliła się z mężem swoimi spostrzeżeniami, bo minęło przecież tylko kilka tygodni, a ona była zdania, że nie warto chwalić dnia przed zachodem słońca.

– Nic to nie da, zimno mi w nogi – odpowiedziała i niemal natychmiast się zreflektowała. – Ale dziękuję.

Ostatnio doszła do wniosku, że może i ona nie była bez winy? Z obawy przed kolejnymi ciężkimi konsekwentnie odsuwała od siebie męża, na czym cierpiało nie tylko ich intymne pożycie. Helena postanowiła więc być dla męża miłsza, jeśli miało im się udać.

Rozwód, rzecz jasna, nie wchodził w grę, przysięgali przecież przed Bogiem, poza tym Helena nie miała środków do życia, a dzieci trzeba było wychować, ale może mogliby być nie tylko obok siebie, ale i ze sobą?

– Mógłby już przyjechać – bąknął Stasiek, wypatrując tramwaju.

Kilka minut później jego życzenie się spełniło i na przystanku zatrzymał się, robiąc przy tym mnóstwo hałasu, składający się z dwóch wagonów tramwaj. Karolinka jako pierwsza wbiegła do środka. Stasiek pomógł żonie wejść, podając jej rękę. Helena skrzywiła się, kiedy poczuła ból w odcinku lędźwiowym kręgosłupa. Wewnątrz wagonu rozejrzała się za córką, która już siedziała na pojedynczym miejscu przy oknie. Na szczęście tramwajem nie podróżowało zbyt wiele osób, więc Helena również mogła zająć miejsce siedzące tuż za córką. Stasiek stanął obok niej, przytrzymując się poręczy.

Do centrum dojechali w ciągu kilkunastu minut, jednak autobus uciekł im niemal sprzed nosa, a na następny musieli czekać godzinę, zaś kolejną spędzili w dalszej podróży. W rezultacie do Imielina dojechali spóźnieni, zziębnięci i mocno zirytowani. Kiedy Helena pukała do drzwi rodzinnego domu, marzyła już tylko o tym, aby znaleźć się w domu pod grubą kołdrą, a przecież musiała jeszcze jakoś przetrwać spotkanie z rodzicami.

– Jesteście nareszcie! – Drzwi otworzyły się szeroko i ukazała się w nich zmęczona twarz Genowefy.

Helena drgnęła na widok matki. Postarzała się od jej ostatniej wizyty. Wyglądała na chorą. Kiedy Helena sobie to uświadomiła, natychmiast odezwały się w niej wyrzuty sumienia.

– Cześć, mamó. – Pochyliła się nad matką, która była od niej sporo niższa, i cmoknęła powietrze obok jej policzka.

– Wchodźcie, wchodźcie, bo chłód leci do domu. – Genowefa pociągnęła wnuczkę w głąb przedpokoju. – Już się bałam, że list nie dotarł albo że przyjedziecie w przyszłą niedzielę, bo przecież nie napisałam, o którą chodzi, i nigdy nie wiadomo, jak ta poczta działa, niby niedaleko, ale... – Machnęła ręką. – Dobrze, że jesteście! Karolinko, jak ty wyrosłaś!

Kiedy jej matka obściskiwiała wnuczkę, Helena dyskretnie uśmiechnęła się do męża, jakby chciała mu w ten sposób powiedzieć: „Widzisz, mówiłam, że będzie miło”.

Niemal natychmiast przy Genowefie pojawił się jej mąż, Roman, wyraźnie zadowolony z wizyty najstarszej córki, która kiedyś była jego oczkiem w głowie i która chyba nadal, mimo upływu lat, pozostawała jego ulubienicą. Ojciec był zdecydowanie łaskawszy niż matka wobec wyborów Heleny.

– Cześć, tato. Jak zdrowie? – Helena mocno wtuliła się w ojca.

– Cześć. A jakoś, córca, wiesz, jak to ze mną jest, raz lepiej, raz gorzej.

Roman przywitał się z zięciem uściskiem dłoni, po czym poklepał Staśka po plecach.

– Dobrze was widzieć – powiedział.

Helena ze zdumieniem odkryła, że również cieszy się z tej wizyty, choć jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że najchętniej znalazłaby się z powrotem w domu. Dawno nie widziała się ze swoją rodziną i zdążyła się za nimi wszystkim solidnie stęsknić, szczególnie za Jurkiem, swoim najstarszym bratem, do którego już na dobre przyłgnęła łatka czarnej owcy w rodzinie.

– A gdzie Jurek? – Rozejrzała się przekonana, że zaraz zobaczy swojego ulubieńca.

Rodzice właściwie od zawsze narzekali na Jurka, który w dzieciństwie był skory do psot, a później, już w zawodówce, narobił sobie i rodzinie sporo problemów, napadając z kumplami na nielubianego kolegę z klasy, który przy okazji był synem jakiegoś ważniaka, ale to właśnie z tym bratem Helena najbardziej lubiła spędzać czas.

– Kto to wie? Włóczy się gdzieś, jak zawsze. – Genowefa wzruszyła ramionami, a jej mina świadczyła o tym, że już dawno spisała najstarszego syna na straty.

Helenie zrobiło się przykro, kiedy sobie uświadomiła, że nawet perspektywa jej wizyty nie zatrzymała Jurka w domu, ale nie dała po sobie tego poznać. Weszła za matką do dużego pokoju, czując na karku oddech męża.

– A Lucek i Bożenka? – zapytała o młodszego z braci i jego żonę, którzy zajmowali dwa pokoje na piętrze.

– Pojechali do teściów.

Helena nagle zdała sobie sprawę z tego, jak niewiele znaczy dla swoich bliskich, skoro żaden z jej braci nie przejął się jej przyjazdem. Miała nadzieję, że znów usiądą razem do stołu i że... Właściwie to, co sobie myślała, nie było istotne. Już nie, a może nigdy nie było? Helena poszła swoją drogą, której jej rodzina nie popierała, i chyba do tej pory mieli do niej żal, zwłaszcza matka.

– Zaraz przyniosę rosół, gotuje się od kilku godzin, ale najpierw siadajcie i opowiadajcie, co to się u was podziało – zakomenderowała Genowefa.

Helena znów była małą dziewczynką, która bez słowa wykonuje polecenia mamy. Genowefa była chłodną i wymagającą matką, a mała Helenka wyspecjalizowała się w jej zadowalaniu. Zbuntowała się dopiero, podejmując pracę na hucie. Drugim aktem odwagi było małżeństwo ze Staśkiem, którego Genowefa nie zaakceptowała. Helena powiedziała sobie wtedy, że nigdy nie będzie taka jak jej matka, choć nie do końca rozumiała, co oznacza owo „taka”. Zamierzała pozostać w kontrze, bo przez całe życie nie miała prawa głosu. Genowefa decydowała za całą rodzinę i teraz, kiedy Helena sama miała dzieci, jakby bardziej rozumiała mamę. Czasy były ciężkie, nawet teraz, a co dopiero mówić o tych, w których dzieci rodziła i wychowywała Genowefa.

Helena usiadła więc na wskazanym przez matkę miejscu przy stole i w ślad za nią zrobili to Stasiak i Karolinka. Spojrzała na męża, jakby szukała u niego ratunku, ale Stasiak wzrokiem przekazał jej, aby to ona zaczęła.

– Doktórka od nas z przychodni wykryła ołowicę u dzieci mieszkających przy hucie i wysłała je do szpitali i sanatoriów – powiedziała, możliwie jak najbardziej streszczając całą historię.

Nie patrzyła na matkę, ale była pewna, że kiedy wspomniała o hucie, w oczach Genowefy pojawiła się satysfakcja, bo jej ulubionym stwierdzeniem było „A nie mówiłam?”.

Helena wyobrażała sobie, co matka zaraz powie: trzeba było znaleźć sobie chłopca bliżej, po co wyjeżdżałaś do tych Szopienic, to

twoja wina, że dzieci są teraz chore, kto to widział, żeby dziółcha wyrwała się do pracy na hucie, to przez ciebie, ale Genowefa, ku jej zdumieniu, milczała. To Roman odezwał się jako pierwszy, dzięki Bogu, bo Helena i bez komentarzy matki miała głęboko zakorzenione poczucie winy, jakby podejmując decyzję o rozpoczęciu pracy w Szopienicach, a później ślubując Staśkowi przed ołtarzem, przypieczętowała los swoich dzieci. Ci, którzy mieszkali przy hucie od pokoleń, byli na nią skazani, mieli ją w swoim DNA, ale przecież Helena nie była stamtąd, mogła inaczej pokierować swoim życiem, a jej dzieci byłyby teraz zdrowe.

Tylko że wówczas to nie byłoby jej życie, to nie byłyby jej dzieci.

– Ołowicę u dzieci? – zdziwił się Roman. – Przecież to choroba zawodowa.

– To samo z początku pomyślałam, ale wygląda na to, że dzieci mieszkające w sąsiedztwie huty też w jakiś sposób zatruty się ołowiem.

– No ale to chyba nie jest jakaś groźna choroba?

– Tego tak naprawdę nie wiemy – odpowiedziała Helena, słysząc, ku swojemu zaskoczeniu, głośne chrząknięcie, które stanowiło jasny sygnał, że Stasiak szykuje się do przemowy.

– Musi tata wiedzieć, że huta ołowiu działa w Szopienicach od stu dziesięciu lat i przez ten czas wielu pracowników, silnych i, wydawałoby się, zdrowych mężczyzn umarło nagle z niewiadomych powodów. Lekarze stwierdzali, że to zawał serca czy niewydolność krążeniowa i nikt nie dociekał. Teraz, kiedy mówi się o szkodliwości ołowiu, kiedy robią nam na hucie badania przesiewowe, coraz więcej osób zastanawia się, czy to nie przez pracę przy ołowiu oni tak szybko zeszli z tego świata. – Z każdym kolejnym wypowiedzianym słowem brzmiał coraz pewniej. – Mnie samemu przodownicy z walcowni mówili, żebym się tak nie rwał do pracy na hucie ołowiu, bo stracę zdrowie, ale nie słuchałem, bo już wtedy chciałem się żenić z Heleną i żeby nam się dobrze żyło. Co jakiś czas przesuwają mnie do innego wydziału, bo mam za wysokie stężenie ołowiu w moczu, ale nic mi nie dolega, silny chłop ze mnie, dam sobie radę. Kiedy Helena mi powiedziała, że dzieci też chorują, nie mogłem w to uwierzyć. Bo widzi tata – zwracał się tylko do teścia,

jakby czuł, że cokolwiek powie, teściowa i tak będzie zawsze nastawiona przeciwko niemu – z tym ołowiem jest różnie. Znam ludzi, którzy całe życie przepracowali na hucie, od dwudziestu lat są na emeryturze i mają się dobrze, ale większość jednak tej emerytury w ogóle nie dożywa. Doktorka powiedziała, że nie wie, jakie będą konsekwencje ołowicy u bajtli, bo nigdy wcześniej, nigdy na taką skalę nie doszło do zatrucia ołowiem wśród dzieci. One mają ten ołów we krwi od urodzenia, tak jak i ja, rozumie tata?

Helena z trudem opanowała łzy. Znała Staśka od dwunastu lat i nigdy nie słyszała, żeby za jednym razem wypowiedział tyle słów. Tyle ważnych słów. Jej rodzice mogli odebrać jego wypowiedź po prostu jako próbę wyjaśnienia sytuacji, ale ona doskonale rozumiała, że Stasiak starał się przede wszystkim wytłumaczyć siebie. Żadne z nich dotychczas nie powiedziało wprost drugiemu, że w jakiś sposób czuje się winne tej sytuacji, ale kiedy Helena słuchała Staśka, rozumiała, że i on obwinia się za to nieszczęście, które ich spotkało. Nabrała ochoty, aby uderzyć mocno pięścią w stół. Była zmęczona szukaniem odpowiedzialności w sobie, nie chciała, żeby Staszek też wpadł w tę pułapkę, bo wiedziała, jak trudno z niej wyjść. Winna była wyłącznie ich żywicielka, mateczka huta, i ludzie, którzy wydali pozwolenia na budowę domów tuż za jej murem.

– Rozumiem – przyznał Roman, choć jego mina dobitnie świadczyła o czymś zgoła odmiennym. – Ale to się leczy, prawda?

– Doktorka powiedziała, że ołów po jakimś czasie wypłucze się z organizmów dzieci – wtrąciła Helena. – Dostają leki, które to przyspieszają.– Ale nie wiadomo, co po sobie zostawi w ich ciałach. – Stasiak z jakiegoś powodu nagle uznał, że musi być w pełni szczery, za co Helena miała ochotę kopnąć go w kostkę pod stołem.

Wystarczyło, że oni się zamartwiali dniami i nocami, po co dodatkowo obciążać problemami starszych, schorowanych ludzi?

– Trzeba być dobrej myśli – wtrąciła nieśmiało. – Dzieci są w dobrych rękach, opiekują się nimi najlepsi pediatrzy. Doktorka załatwia sanatoria bajtlom, może nasze też pojedają, jak już wyjdą ze szpitala.

– A moja koleżanka wyprowadza się z Szopienic – odezwała się niespodziewanie Karolinka, zerkając niepewnie na babcię, która wydawała jej się dziwnie milcząca.

– Wyprowadza się? Dokąd? – Genowefa nie nadążała za tokiem rozumowania dziecka.

– Do cioci do Siemianowic – wyjaśniła dziewczynka.

– Karolinko, nieładnie jest tak przerywać dorosłym, kiedy rozmawiają na ważne tematy – zwróciła wnuczce uwagę kobieta.

– Ale ona się wyprowadza właśnie przez tę chorobę! – upierało się dziecko.

– No tak – bąknął Roman. – Zmiana otoczenia. A wy co zamierzacie zrobić? – Prześlizgnął się wzrokiem po napiętych twarzach córki i zięcia.

– Porozmawiam z kierownikiem, może huta da nam zastępcze mieszkanie, ale na pewno nie tak od razu... – Staszek podrapał się z zakłopotaniem po głowie. – Na razie dzieci są w szpitalu, potem pewnie pojedą do sanatorium, a później się zobaczy.

Helena ochoczo zaczęła przytakiwać mężowi, że tak, huta na pewno ich przesiedli, to tylko kwestia czasu, ale chyba sama w to do końca nie wierzyła.

– A co z Karolinką? Dzisiaj jest zdrowa, a jutro może zachorować – zauważył całkiem słusznie Roman. – Śpicie na tykającej bombie.

– Jakby za bardzo nie mamy innego wyjścia – bąknęła Helena, nerwowo zaciskając dłonie na materiale spódnicy.

– Możesz na razie zamieszkać z dziećmi u nas – zaproponowała Genowefa, szukając wzrokiem potwierdzenia u męża. – Wprawdzie tutaj dość ciasno, ale się pomieścimy.

Helena nie dała po sobie poznać, jak bardzo zabolą ją ta propozycja. „Możesz na razie zamieszkać z dziećmi u nas”. Oferta nie obejmowała Staszka. Do licha, minęło jedenaście lat od ich ślubu – wystarczająco dużo, aby Genowefa zaakceptowała go w roli zięcia. Nie musiała pałać do niego sympatią, ba, nie musiała go nawet akceptować, wystarczyło, aby go tolerowała. Tak niewiele i tak dużo. Tymczasem Helena miała wrażenie, że matka tylko czeka, aż Staśkowi powinie się noga. I to właśnie dlatego, chyba trochę jej na przekór, Kościelniakowa nigdy nie powiedziała Genowefie

o mężowskich zdradach, pijaństwie, problemach finansowych czy awanturach, jakie od czasu do czasu wybuchają na Rzemieślniczej – bo chciała dać sobie i Staszce prawo do błędu, którego matka nie udzielała nikomu.

– Może to nie jest zły pomysł? – Stasiek spojrzał na Helenę i natychmiast pożałował swoich słów.

– Karolinka ma szkołę – stwierdziła Kościelniakowa.

– Tutaj też jest podstawówka – przypomniała jej matka.

– Tak naprawdę nie wiemy, czy dzieci ze szpitala pojedą do sanatorium, czy wrócą do domu. Nie zmieszczę się tu z szóstką.

– Z szóstką? – Genowefa pobladła.

– Jestem w ciąży – powiedziała Helena, uciekając wzrokiem.

Na chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana tylko głośnym biciem zegara, który pamiętał jeszcze czasy przedwojenne.

– W ciąży? W tej sytuacji to chyba nie jest...

– Zaszłam w ciążę, zanim dowiedzieliśmy się, że dzieci chorują.

Jakże wymowne było to milczenie, które ponownie zapanowało po jej słowach. Rodzice nie wyglądali na uszczęśliwionych, nie gratulowali Helenie i Staśce, nie zapytali, jak ona się czuje i kiedy rodzina się powiększy. I właśnie w tamtej chwili Helena postanowiła na przekór wszystkim cieszyć się z tej ciąży i zrobić wszystko, żeby jej najmłodsze dziecko dostało szansę, jakiej nie mieli jego starsi bracia i siostry.

Żeby choć w jego żyłach nie płynął ten cholerny ołów.

Rozdział 18. Jolanta

Grudzień 1974

Jolanta Wadowska-Król ze zdziwieniem odkryła, że właśnie rozpoczął się czwarty miesiąc jej pracy związanej z epidemią ołowicy wśród szopienickich dzieci. Wydawało jej się, że profesor Bożena Hager-Małecka ledwie tydzień temu po raz pierwszy stanęła w drzwiach jej gabinetu. Od tamtego dnia czas gwałtownie przyspieszył. Jolanta konsekwentnie wysyłała kolejne dzieci na badania, do szpitali i sanatoriów. O ołowicy mówili już wszyscy, w hucie i poza nią. Wadowska-Król była święcie przekonana, że władze już wiedzą, ale dotychczas nikt po nią nie przyszedł. Czy było tak, jak sugerowała profesor Hager-Małecka? Czyżby bali się społecznego buntu? Lekarka zdawała sobie sprawę, że stoją za nią wszyscy rodzice jej „ołowików”, jak nazywała w myślach swoje dzieci, ale nie miała pojęcia, czy to wystarczy. Na razie w spokoju prowadziła badania, z dnia na dzień coraz więcej wiedząc o swoim przeciwniku – była w stałym kontakcie z lekarzami zajmującymi się jej dziećmi na oddziałach szpitalnych i w sanatoriach. Cieszyła ją każda pojedyncza informacja o poprawie wyników krwi czy pożegnaniu z przewlekłymi bólami brzucha i zaparciami. Pieczołowicie uzupełniała stworzone przez siebie listy, mając w ten sposób wiedzę o losach każdego swojego małego pacjenta.

Jolanta złożyła kitel lekarski w równiutką kosteczkę i schowała do reklamówki, bo wymagał prania i zamierzała go zabrać do domu. Skończyła pracę na dziś, więc mogłaby wracać, ale z wizytą zapowiedziała się Hager-Małecka. Wadowska-Król odczuwała jednocześnie ciekawość i zaniepokojenie, bo przez minione trzy miesiące zdążyła się przekonać, że niemal każda wizyta profesor w tym miejscu rozpoczyna rewolucję.

Wyrzwała przez niewielkie okno wychodzące na ulicę. Szary śnieg zalegał na poboczu i chodnikach. Może gdyby dosypało trochę

nowego, krajobraz stałby się bardziej przyjazny dla oka, jednak od kilku dni nie padało, a biel tutaj bardzo szybko przestawała być bielą. Odeszła od okna i zarzuciła na ramiona gruby zielony sweter, dotychczas przewieszony przez fotel przy biurku. Doktor Urban prosił, aby po godzinach przyjęć pacjentów nie dokładać do pieców. Wiadomo, oszczędności. Pomieszczenia bardzo szybko się wychładzały, bo okna były nieszczelne.

Jolanta spojrzała na zegarek. Profesor Hager-Małecka powinna była przybyć dwadzieścia minut temu, coś musiało ją zatrzymać. Lekarka podeszła do drzwi, szarpnęła za klamkę i wychyliła głowę na korytarz.

– Był do mnie jakiś telefon? – zawołała do Wiesi.

– Nie, nikt nie dzwonił! – odkrzyknęła Wilczek.

Wadowska-Król wróciła więc do gabinetu, postanawiając cierpliwie czekać. Zimą zawsze ruch na drogach przebiega mniej sprawnie niż w ciepłe miesiące. Wyjęła więc z szuflady książkę, którą zaczęła jeszcze w sierpniu i od tej pory nie znalazła ani chwili, aby do niej zajrzeć, jednak poddała się po kilku stronach, bo nie miała pojęcia, o czym czyta. Kiedy chowała powieść z powrotem do szafki, w pustym korytarzu rozległo się echo pewnie stawianych kroków, a po chwili ktoś zapukał do drzwi. Profesor Hager-Małecka nie czekała na odpowiedź, tylko energicznie otworzyła drzwi i weszła do środka, jak zawsze elegancka w idealnie skrojonej garsonce, na którą niedbale zarzuciła płaszcz, butach na obcasach i z fryzurą, z której nie wydostawał się nawet najdrobniejszy kosmyk.

– Dzień dobry. Przepraszam za spóźnienie. – Profesor zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku stojącym w rogu pomieszczenia. Widać było, że czuje się tu już jak u siebie.

– Dzień dobry. Nic się nie stało – zapewniła Wadowska-Król, która przecież jeszcze przed chwilą irytowała się z tego powodu, ale Hager-Małecka miała w sobie coś takiego, że Jolanta w życiu nie ośmieliłaby się zwrócić jej uwagi.

Może po prostu chodziło o pozycję, którą zajmowała?

– Jadę prosto ze spotkania – wyjaśniła profesor, siadając na krześle po drugiej stronie biurka. Założyła nogę na nogę

i kontynuowała: – Zresztą dlatego chciałam się z panią spotkać. Uznałam, że skoro i tak będę w Katowicach, podjadę do pani, bo musimy porozmawiać.

To „musimy porozmawiać” nie zabrzmiało zbyt optymistycznie, mimo to Jolanta nie zapomniała o dobrych manierach i w pierwszej kolejności zaproponowała Hager-Małeckiej coś do picia.

– Nie, dziękuję, wypiałam już dziś morze kawy. – Bożena machnęła ręką, postanawiając natychmiast przejść do rzeczy. – Mówiłam pani już, że nie wszyscy z naszego instytutu pediatrii mi sprzyjają.

– Mówiła pani – potwierdziła Wadowska-Król, kiwając głową.

– No właśnie. Dyrektor instytutu zażądał ode mnie całej dokumentacji dotyczącej ołowicy wśród szopienickich dzieci, co dowodzi, że w środowisku medycznym jest bardzo głośno o pani i tej sprawie.

Jolantę zdziwiła satysfakcja w głosie profesor, która przecież jeszcze niedawno prosiła ją, aby działać w absolutnej dyskrecji.

– I co teraz? – zapytała Wadowska-Król, czując, że z jej twarzy odpływają wszystkie kolory, czyniąc ją trupio bladą.

– Spokojnie, to już było jakiś czas temu, nie chciałam pani martwić. Oczywiście nie oddałam dokumentacji – oświadczyła Hager-Małecka. – Powiedziałam mu, że zajmuję się ołowicą jako konsultant wojewódzki, i od razu poszłam do Ziętka.

– Pomoże nam? – dopytywała Jolanta, mając już przed oczami wizję swojego aresztowania i dzieci wychowujących się bez matki, choć ostatnio była o wiele mniej obecna w ich życiu, bez reszty poświęcając się sprawie swoich małych pacjentów, co wywoływało u niej paskudne wyrzuty sumienia.

To prawda, mogła liczyć na swoją mamę, która opiekowała się wnukami, kiedy ona walczyła o lepsze życie dla szopienickich „ołowików”, ale w głębi serca wiedziała, że dzieci potrzebują przede wszystkim matki, nie babki.

– Powoli, zaraz do tego dojdę. – Spokój na twarzy profesor powoli udzielał się Jolancie. – Ziętek był akurat na urlopie, ale poprosiłam o telefon, kiedy tylko wróci. Spotkałam się z nim, wyjaśniłam, w czym rzecz, i dostałam solidny opiernicz. Zapytał, co myśmy

narobiły, i zasugerował, że teraz to już tylko pisać do Grudnia¹⁵, nie ma innego wyjścia. Wysmarowałam raport, pokazałam go Ziętkowi, przeczytał i stwierdził, że źle, trzeba pokorniej, z zachowaniem wszystkich tytułów Pierwszego.

– I co? – Wadowską-Król irytowały pauzy, które co jakiś czas przerywały tę rozmowę.

– Poprawiłam, pokazałam mu to pismo, powiedział, że można słać.

– Co tam pani napisała?

– Och, zaczęłam od krótkiego wprowadzenia, wyjaśniłam, dlaczego ołów i jego związki są wysoce toksyczne, szczególnie dla dziecka. Zaznaczyłam, że przekroczenie dopuszczalnej normy zawartości ołowiu w powietrzu występuje nie tylko w Katowicach, ale również na Zachodzie, co powinno ich trochę udobruchać, jako przykład podałam Detroit, Los Angeles i Mediolan – wyliczała Hager-Małecka. – Wspomniałam o toksycznym działaniu ołowiu na krew, nerki, wątrobę, mięśnie, podkreślając, że najpoważniejsze jest uszkodzenie układu nerwowego, co u wielu dzieci jest przyczyną kalectwa, najczęściej pod postacią niedorozwoju umysłowego. Napisałam, że warunkiem powodzenia jest szybkie rozpoznanie i wdrożenie leczenia oraz że dzieci nie mogą wrócić do środowiska skażonego ołowiem. Nasze działania opisałam jako wyjątkowo dyskretne, ale zaznaczyłam, że dalsze utrzymywanie tajemnicy jest niemożliwe w sytuacji, kiedy intensywnie leczymy dzieci¹⁶.

– Boże. – Z gardła Jolanty wyrwał się głośny jęk. – Wysłała to pani?

– Nie zdążyłam. Miałam to zrobić, kiedy odebrałam telefon z informacją, że Gierek jest w Katowicach. Udałam się z raportem prosto do niego. – Po raz pierwszy od początku tej rozmowy Wadowska-Król usłyszała wahanie w głosie Hager-Małeckiej.

– I co, przyjął panią?

– Przyjął, przekazałam mu sprawę. Obradują. – Profesor spojrzała Jolancie w oczy z nieodgadzionym wyrazem twarzy.

Wadowska-Król tylko skinęła głową. Zrozumiała. Ważyły się losy jej i wszystkich osób związanych z tą sprawą.

– Musimy być gotowe na każdą ewentualność, również na taką, że pójdziemy siedzieć za podburzanie ludzi, podawanie nieprawdziwych informacji i działalność na szkodę socjalistycznej gospodarki, choć zaznaczyłam, że nie widzę potrzeby, aby zamykać hutę, gdyż znaczne skażenie dotyczy ziemi. Huta działa tu przecież od ponad stu lat, a metale się nie rozkładają, uważam, że to przede wszystkim gleba jest problemem – powiedziała Hager-Małecka.

– Też tak myślę. Dzieci bawią się na tej skażonej ziemi, dotykają jej, a później jedzą tymi brudnymi rękami – przyznała Jolanta. – Ci ludzie nie mają pojęcia o podstawowych zasadach higieny. Żyją bez łazienek, bez bieżącej wody, w ciasnych, zagrzebionych mieszkaniach, nawet nie jest pani w stanie sobie tego wyobrazić. Ja bym nie była, gdybym tego wszystkiego nie zobaczyła na własne oczy. – Odchrząknęła. – Kiedy poznamy rezultaty obrad?

– A któż to wie? – Hager-Małecka uśmiechnęła się smutno. – Jeśli postanowią nas zamknąć, dowiemy się o tym dość szybko. Na szczęście w środowisku medycznym są ludzie, którzy stoją za nami murem. Karol Grzybowski, dyrektor Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Katowicach, sam jest lekarzem i stara się jakoś łagodzić sytuację. Kupił nawet dodatkowy spektrofotometr i wysłał najlepsze laborantki na szkolenie z zakresu badań diagnostycznych ołowicy do Instytutu Medycyny Pracy w Sosnowcu. Byłam z nim w tym instytucie, otrzymałam rady od najlepszych specjalistów.

Wadowska-Król przysłuchiwała się temu z narastającym zdumieniem i ukłuciem żalu w sercu. Nie mogła pozbyć się myśli, że ona też powinna była zostać zaproszona, bo przecież to o jej pacjentów chodziło, to ona przebadła niemal pięć tysięcy dzieci, z których u tysiąca stwierdziła ciężkie zatrucie ołowiem, a u setek kolejnych podwyższone stężenie obecności tego metalu we krwi, co wymagało dalszej szczegółowej diagnostyki! Niby wszystko odbywało się tak, jak powinno – sanepid organizował sprzęt i ludzi do pracy, ale Jolanta nie chciała się teraz wycofywać. Była wojowniczką. Niepokorną wojowniczką.

– Co ja mam właściwie dalej robić? – zapytała.

Nie wyobrażała sobie, że miałaby teraz po prostu wrócić do domu i lepić pierogi na święta, bo to nie było jej życie.

Nie była kobietą, która czerpie radość i satysfakcję wyłącznie z udanego życia rodzinnego. Oczywiście mąż i dzieci byli dla niej najważniejszymi osobami na świecie, kochała ich i cieszyła się z tego, że ich ma, ale zwariowałaby, gdyby jej codzienność wypełniało tylko życie rodzinne. Jolanta od zawsze była zwolenniczką zachowywania równowagi pomiędzy życiem prywatnym a zawodowym. Nie potrafiłaby wybrać żadnego z nich, bo obydwa były dla niej równie ważne.

– To, co zawsze, proszę pracować – podsumowała profesor. – Sanepid będzie przeprowadzał badania u kolejnych dzieci, mieszkających nieco dalej od huty, a na pani biurko będą trafiały wszystkie wyniki, jak dotychczas, tutaj nic się nie zmienia, po prostu nie będzie pani musiała organizować na własną rękę badań i roznosić wezwań. – Hager-Małecka najwyraźniej bezbłędnie rozszyfrowała wątpliwości Wadowskiej-Król. – Grzybowski chciałby wysłać laborantki do szkół, tak byłoby najprościej, ale zobaczymy, co z tego wyjdzie, dużo zależy od rezultatów obrad w Komitecie partii. A tak poza tym... – Zawiesiła głos.

– Tak?

– Nie myślała pani o doktoracie? – zapytała Hager-Małecka z tajemniczym wyrazem twarzy. – Wyniki już pani ma, trzeba by tylko zrobić statystykę i zorganizować sobie jakąś grupę badawczą. Proszę o tym pomyśleć, oczywiście, jeśli nas nie zamkną.

Rozdział 19. Helena

Grudzień 1974

Śnieg padał nieprzerwanie od dwóch dni. Kiedy spojrzano się w górę, odnosiło się wrażenie, że ktoś wysypuje z nieba tony białego pierza, tak gęste i duże były płatki śniegu. Tylko w ciągu ostatniej nocy spadło ponad trzydzieści centymetrów puchu, który szybko pokrywał się grubą warstwą kurzu i pyłu. Natężenie opadu sprawiało jednak, że Szopienice pierwszy raz od dawna mieniły się odcieniami najjaśniejszej bieli. Huta i okoliczne zakłady chemiczne nie nadążały z produkcją dymu – tym razem natura odniosła chwilowe zwycięstwo.

Helena Kościelniak i Maria Tkacz przedzierały się przez kilkudziesięciocentymetrowe zaspy, wysoko podnosząc nogi. W rezultacie już po przejściu dwustu metrów odwiązywały grube szaliki, którymi owinęły się przed wyjściem, i ściągały czapki, narażając się na przeziębienie. Mróz szczypał w policzki, ale energiczny marsz przez zaspy sprawiał, że w grubych warstwach ubrań było im gorąco.

Kobiety co jakiś czas upewniały siebie nawzajem o słuszności swojego planu. Marysia stwierdziła, że przecież muszą zostać wysłuchane, a Helena ochoczo ją poparła, choć w głębi duszy nie była wcale tego taka pewna. Robiła to jednak dla dzieci, których nie widziała już od ponad dwóch miesięcy, bo natychmiast ze szpitala pojechały do sanatorium, najpierw Adaś i Miecio, dzięki Bogu razem, a potem kolejno Heniek i Iwonka. Każdy dzień był dla Heleny i podobnych jej szopienickich matek prawdziwą udręką. Łatwiej było tym, co pracowały, bo miały zajęcie, które choć na chwilę pozwalało zapomnieć o przymusowej rozłące i nie zastanawiać się, jak te małe nieboraki sobie tam radzą same, zdane na łaskę i niełaskę obcych ludzi, którzy przecież mają pod opieką więcej takich szkrabów.

Helena ze zgrozą myślała o problemach, którymi żyła jeszcze na początku września. Jak mogło jej wtedy w ogóle przyjść do głowy, że jest ciężko?! Jak mogła odczuwać zmęczenie kolejnymi obowiązkami, wynikającymi z konieczności prowadzenia domu i opieki nad dziećmi? Teraz oddałaby wszystko za tę bez troskę, bo tak, Helena uważała, że wówczas żyła bez trosko. Jej serce wyrывało się do jej maleństw, bo nawet dziesięcioletni Henio nagle wydał jej się taki maluchny i bezbronny.

– Mój Artur popukał się w czoło, jak mu powiedziałam, co planujemy – powiedziała Marysia, ostrożnie wyciągając stopę ze śniegu.

Włożyła czarne skórzane kozaki, które dostała od swojej kuzynki. Tamta podobno już w nich nie chodziła, bo w ciąży urosły jej stopy i nie wróciły do poprzedniego rozmiaru. Problem polegał na tym, że Marysia nosiła trzydziestki siódemki, a to były trzydziestki dziewiątki, ale podziękowała krewnej, rada, że w ten sposób zaoszczędzi i przez kilka sezonów nie będzie musiała kupować nowych butów.

– Stasiek też nie był do końca przekonany. – Helena zatrzymała się, aby wyrównać oddech. W żadnej ciąży nie przytyła aż tak dużo jak w tej, a przecież w każdej tyła na potęgę! Zmęczyłoby ją przejście tej drogi, nawet gdyby nie musiała przedzierać się przez zasy śniegu. – Ale raczej dlatego, że nie jesteśmy jedyne, które wpadły na ten pomysł. Stasiek uważa, że nic nie wskóramy, skoro inni już próbowali, ale ja uważam, że kropla drąży skałę i trzeba naciskać – ciągnęła z przekonaniem w głosie.

– Muszą nas wysłuchać – stwierdziła Marysia, ale im bardziej zbliżały się do budynku, w którym mieściło się kierownictwo huty, tym bardziej sprawiała wrażenie wystraszonej i wycofanej.

– Nie wyobrażam sobie świąt bez dzieci – powiedziała Helena, wyrażając obawy wielu szopienickich matek. – Chciałabym, żeby chociaż Karolinka miała dobre wspomnienia z tych dni, i tylko dla niej w ogóle chce mi się cokolwiek robić, ale jak tu się cieszyć z narodzin Dzieciątka, skoro w sercu tyle smutku? – Głośno wypuściła powietrze z płuc i ruszyła w dalszą drogę.

– Mnie też się nie chce. – Tkaczowa dotrzymywała sąsiadce kroku. – Nie mam powodu, żeby rano wstawać z łóżka. To już tak długo trwa!

Helena uświadomiła sobie, jak bardzo oczekiwanie na te święta różni się od tego ubiegłorocznego. Rok temu o tej porze rozmawiała z Marysią o tym, gdzie można dostać karpia, i umawiały się na wspólne wyjście z dziećmi i mężami na pasterkę. Teraz żadna z nich nie zajmowała się tym, co postawi na wigilijnym stole, ani nie zastanawiała, czy zdąży z gruntownymi porządkami przed dwudziestym czwartym grudnia. Dom mógł być nieposprzątany, a na stole mógł leżeć choćby tylko suchy chleb. Byłe dzieci były z nimi.

Helena podejrzewała, że to czysty przypadek, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że przy budynku będącym siedzibą dyrekcji huty oddycha się łatwiej. Zupełnie jakby celowo ulokowano ją tam, gdzie wraz z wiatrem nie docierają pył i dym z kominów. Spojrzała przez ramię. Z tej odległości było widać, że cały brud zawisł bezpośrednio za murem huty. Pokręciła z niedowierzaniem głową, mamrocząc do siebie pod nosem, że zwariowała. Przecież kierownictwo huty nie miało władzy nad wiatrem!

Weszły do budynku, dziwiąc się hałasowi, jaki panował w środku. Już na parterze było słycać prowadzone podniesionymi głosami rozmowy na piętrze.

– Co się tam dzieje? – mruknęła Marysia, rozpinając płaszcz.

Helena ostrożnie postawiła stopę na zabłoconym stopniu. Tkaczowa ruszyła za nią z zaciekawieniem wypisanym na twarzy.

Na piętrze okazało się, że nie tylko one wpadły na pomysł, aby porozmawiać z dyrekcją huty. W korytarzu kotłowali się ludzie, głównie kobiety, młode i w średnim wieku, ale wśród nich można było dostrzec i pojedynczych mężczyzn, zachowujących się znacznie ciszej niż panie. Helena i Marysia zatrzymały się z boku nieopodal tej zbieraniny. Tkaczowa, która była zdecydowanie niższa od swojej towarzyszki, musiała stanąć na palcach, aby cokolwiek zobaczyć.

W samym środku zamieszania dostrzegły szpakowatego mężczyznę w dopasowanej garniturze. Helena rozpoznała w nim Ryszarda Luckę, dyrektora do spraw socjalnych huty. Wyglądał na

przerażonego, wodził wzrokiem po twarzach ludzi i co chwilę przecierał dłonią spocone czoło.

– Drodzy państwo, mówiłem już, że sprawa jest nam znana i na pewno wkrótce zostaną podjęte pierwsze decyzje – przemawiał uspokajającym tonem, ale nikogo to nie przekonało.

– Kiedy?! Od października nie widzieliśmy swoich dzieci! – Niska blondynka stojąca najbliżej dyrektora zażądała konkretów, a przez korytarz przetoczył się pomruk zbiorowego poparcia.

– Nie potrafię w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie, ale zapewniam, że... – Dyrektor podjął kolejną próbę, z góry skazaną na porażkę.

– My mamy w dupie pana zapewnienia! – Inną kobietę, którą Helena kojarzyła z widzenia, poniosły emocje. – Doktórka powiedziała, że dzieci nie mogą wrócić do domów, dopóki nie dostaniemy nowych mieszkań!

Helena błyskawicznie podjęła decyzję. Zaczęła się przeciskać przez tłum, ochraniając dłońmi brzuch i nie bacząc na nawoływania Marysi, która po chwili wahania ruszyła za nią.

– Przepraszam, przepraszam. – Kościelniakowa parła do przodu, nie oglądając się za siebie. Po chwili znalazła się przy Ryszardzie Luce. – Panie dyrektorze, może mógłby pan pomóc w zorganizowaniu wyjazdu do naszych dzieci? Mało kto może sobie pozwolić na to, żeby pojechać pociągiem czy PKS-em.

Dyrektor spojrzał na nią zaskoczony. Chyba nie spodziewał się, że ktokolwiek zwróci się do niego w tak kulturalny sposób. Codziennie przed jego gabinetem pojawiała się coraz więcej osób, które z narastającą złością domagały się przyznania im mieszkań. Lucka doskonale rozumiał tych ludzi: ich dzieci z dnia na dzień zostały wywiezione z dala od domów, ale przecież to nie były jego mieszkania i nie mógł ich tak po prostu rozdać! Obowiązywały go procedury. Owszem, huta stawiała coraz więcej wielorodzinnych domów mieszkalnych, ale nie dysponowała aż takimi zasobami! Była kolejka oczekujących, a Lucka nie mógł ot tak przesunąć na jej początek kilkuset rodzin. I może właśnie prośba, z jaką zwróciła się do niego ta zmęczona i opuchnięta na twarzy kobieta, wydała mu się niczym w porównaniu z tym, czego od niego oczekiwano?

– Myślę, że to się da załatwić. Możemy podstawić autokary, którymi pojedą państwo w odwiedziny do dzieci – odezwał się po dłuższym zawahaniu.

To choć trochę pokrzepiło serca zgromadzonych. Perspektywa rychłego spotkania z dziećmi nieco ostudziła zapędy co poniektórych, którzy dotychczas głośno domagali się swojego. Po korytarzu poniósł się pomruk zadowolenia, odbijając się głośnym echem od ścian. Helena jednak nie dała się tak szybko zwieść.

– Kiedy? – Zmrużyła oczy.

– W którąś z niedziel, postaram się zorganizować pierwsze autokary w najbliższą, a kolejna tura rodziców pojedzie za tydzień – postanowił Lucka. – Wywieszę listy, na które będzie można się wpisywać.

– No! W końcu konkrety! – krzyknął ktoś z tłumu, co skutecznie odwróciło uwagę zebranych od głównego postulatu.

Ludzie znów zaczęli przekrzykiwać się nawzajem.

Helena w nietypowym dla siebie geście otwartości złapała dyrektora mocno za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Błagam, niech pan nam pomoże. Tak bardzo tęsknimy za swoimi dziećmi...

Mężczyzna ledwie dostrzegalnie skinął głową i szybko odwrócił wzrok. Później Helena wiele razy zastanawiała się, czy to skinienie jej się nie przywidziało.

Rozdział 20. Jolanta

Grudzień 1974

Do Wigilii zostały trzy dni. Jolanta powinna spędzić tę sobotę w domu, przygotowując świąteczne potrawy, sprząając mieszkanie, pakując prezenty, wyciągając z pawlacza ozdoby choinkowe i przy okazji modląc się o to, aby to nie było jej ostatnie Boże Narodzenie z rodziną, bo wciąż nie wiadomo było, jak zakończyły się obrady komitetu partii. Była jednak tutaj, w wąskim korytarzu w siedzibie kierownictwa huty, i stała przed drzwiami, wpatrując się w wiszącą na nich tabliczkę z nazwiskami urzędującego tu dyrektora. Nie mogła postąpić inaczej. Nie chodziło nawet o to, że niepewność nie pozwoliłaby jej zmrużyć oka. Właściwie nie miała pojęcia, dlaczego ją i doktora Urbana zaproszono na spotkanie z dyrektorami huty, ale z tą niewiedzą mogłaby żyć. Nie potrafiłaby jednak funkcjonować ze świadomością, że pojawił się choćby cień szansy na zorganizowanie pomocy dla jej małych pacjentów i ich rodzin, a ona z niego zrezygnowała.

W domu nikt nie robił jej z tego powodu problemów, na pewno nie mąż. Ich związek był bardzo nowoczesny, bo nie funkcjonował w nim tradycyjny podział ról. Każde z nich miało swoje obowiązki, a Jolanta nigdy nie usłyszała od męża, że jego praca jest ważniejsza. Zresztą to działało w dwie strony. Kiedyś on zostawił ją samą z małymi dziećmi i remontem na głowie, bo musiał wygłosić ważny referat. Jolanta nie robiła mu z tego powodu żadnych wymówek, po prostu sama dokończyła remont, i dlatego on dziś rozumiał, że żona musi pojechać do huty. Siemieniotka¹⁷ mogła poczekać. Zresztą na posterunku wiernie trwała matka Jolanty. To ona podtrzymywała ciepło domowego ogniska, kiedy lekarka ratowała dzieci z Szopienic.

Dyskretnie spojrzała na zegarek. Powinni byli wejść do środka kilka minut temu. Zacisnęła mocniej dłonie na torebce,

zastanawiając się, czy ten pokaz się da oczekiwany rezultat. Przez głowę przemknęła jej myśl, że za zamkniętymi drzwiami czeka już milicja. Wypuściła głośno powietrze z płuc. Nie, nie może wszędzie wietrzyć podstęp, bo w ten sposób zwariuje. Zerknęła na stojącego obok niej doktora Urbana. Jej przełożony wydawał się mocno zniecierpliwiony jej zachowaniem. Chciał już w końcu wejść do środka, bo w domu czekały na niego obowiązki, ale nie ponaglał Wadowskiej-Król. Mruknął tylko coś pod nosem o wyjątkowej krnąbrności i upartości, a Jolanta doskonale zdawała sobie sprawę z tego, komu przypisuje te cechy, ale w ogóle się tym nie przejmowała.

Cisza, która zapanowała w korytarzu, mocno jej doskwierała. Chyba wolałaby, żeby Urban zezłościł się na nią, powiedział coś w stylu „A mówiłem, żebyś mnie do tego nie mieszała”. W końcu nie wytrzymała.

– Jesteś na mnie wściekły, prawda? – zapytała.

Doktor Urban zamrugnął kilkakrotnie, jakby próbował połączyć wątki.

– Niby dlaczego?

– Bo przeze mnie cię tutaj wezwali.

– A, to. – Machnął ręką. – Zawsze mogłaś ściągnąć mi na głowę większe kłopoty.

Jolanta mogłaby przysiąc, że przez jego usta przemknął blady uśmiech.

– Powiedziałeś, żebym robiła te badania, jeśli chcę – przypomniała mu.

Kierownik przychodni westchnął ze zniecierpliwieniem.

– Jola, nie mam do ciebie pretensji. Mało tego, uważam, że postąpiłaś słusznie.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Zachowałaś się tak, jak powinien zachować się lekarz.

Prowadzenie dalszej dyskusji okazało się niemożliwe, bo drzwi znajdujące się dokładnie naprzeciwko Wadowskiej-Król gwałtownie się otworzyły. Stał w nich siwiejący mężczyzna, na którego twarzy malowało się zmęczenie. Jemu też sprawa ołowicy

w sąsiedztwie huty musiała spędzać sen z powiek, choć z zupełnie innego powodu niż Jolancie.

– O, jesteście już państwo – odezwał się zniecierpliwionym tonem.

– Dlaczego nie wchodzicie? Czekamy na was.

Jolanta próbowała cokolwiek wyczytać z jego twarzy, ale zachował pełen profesjonalizm, zupełnie jakby założył maskę obojętności. Urban gestem zachęcił Wadowską-Król, aby poszła przodem.

– Ryszard Lucka, dyrektor do spraw socjalnych – przedstawił się mężczyzna i wyciągnął otwartą dłoń do lekarki.

– Jolanta Wadowska-Król. – Odpowiedziała mocnym uściskiem.

– A to Bogusław Górnik, dyrektor działu nieruchomości huty – przedstawił młodszego kolegę Lucka.

– Kazimierz Urban, kierownik przychodni numer dwa. – Doktor również dochował formalności, po czym cała czwórka usiadła przy długim lakierowanym stole, który spokojnie pomieściłby ze dwadzieścia osób.

Wadowska-Król zajęła miejsce przy swoim przełożonym, Lucka i Górnik – po drugiej stronie stołu, co tylko potęgowało wrażenie, że znajdują się po przeciwnej stronie barykady. Jolanta wciąż nie potrafiła rozgryźć, z jakim nastawieniem przedstawiciele huty ich tutaj zaprosili. Nie wyglądali na wrogo nastawionych, ale przyjaźnie też nie. Wzrok lekarki napotkał spojrzenie Bogusława Górnika, na co odruchowo odwróciła głowę. Rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu z wysokimi oknami. Jej uwagę przykuła duża biblioteczka.

Ryszard Lucka odchrząknął i poprawił piętrzący się przed nim stos papierów. Wadowska-Król odebrała to jako sygnał do rozpoczęcia spotkania i przeniosła wzrok na dyrektora.

– Na pewno wiedzą państwo, w jakiej sprawie się tutaj zebraliśmy – powiedział Lucka. – Oczywiście chodzi o przeprowadzone przez panią badania, których wyniki wskazują na to, że dzieci mieszkające w sąsiedztwie huty mogły zatruć się ołowiem.

– Nie, nie mogły zatruć się ołowiem, tylko zatręły się ołowiem! – wtrąciła Jolanta, czując na sobie świdrujące spojrzenie swojego

przełożonego. Zignorowała je. – Bezsownie mamy tysiąc dzieci ze stwierdzoną ołowicą.

– Z tego, co zdążyłem się zorientować, w żadnych dokumentach nie pojawia się jednoznaczne stwierdzenie, że... – zaczął dyrektor.

– Bo nie może się pojawić! – przerwała mu Wadowska-Król, podnosząc głos. – Doskonale zdaje pan sobie z tego sprawę. Niemniej jednak mamy pewność, że dzieci mieszkające przy hucie ołowiu chorują na ołowicę. Wniosek jest prosty, i chyba nie muszę tłumaczyć, skąd podwyższony poziom stężenia tego metalu we krwi i w moczu moich pacjentów. – Prychnęła ze złością.

Przez cały czas patrzyła na niego z wysoko podniesioną głową, choć bynajmniej nie czuła się taka pewna siebie. Uważała jednak, że tylko w ten sposób, otwarcie wojując z hutą, jest w stanie pomóc szopienickim dzieciom i ich rodzinom.

– Nie musi pani. – Lucka spuścił wzrok, co dało Jolancie satysfakcję. – Nie jestem pani wrogiem. Wezwaliśmy tu państwa, aby wspólnie temu zaradzić. Musimy jakoś opanować sytuację. Połowa, o ile nie większość rodziców tych dzieci od wielu lat pracuje na hucie. Dbamy o swoich pracowników, nasz dział socjalny pracuje równie prędko, jak jego odpowiedniki na kopalni, robotnicy dostają posiłki regeneracyjne, mleko, co jakiś czas przeprowadzane są badania przesiewowe, przecież pani o tym wie. – Zwracał się bezpośrednio do Wadowskiej-Król, bo szybko zrozumiał, że to ona, a nie kierownik przychodni, ma w tej sprawie najwięcej do powiedzenia. – Sprowadziliśmy nawet z Anglii maseczki ochronne, ale pracownicy jakoś nie kwapią się do tego, aby w nich pracować.

– I jednocześnie wyrzucacie do atmosfery osiem tysięcy ton pyłów rocznie! – wtrąciła Jolanta, czym zaskoczyła mężczyznę, bo nie spodziewał się, że lekarka jest tak rzetelnie przygotowana do tego spotkania. – W nocy filtry z kominów są ściągane, a coraz więcej osób uważa, że te filtry to atropa¹⁸.

– Huta ma ponad trzy tysiące mieszkań – kontynuował Ryszard Lucka, jakby nie dotarła do niego jej uwaga.

– Oczywiście zdecydowana większość jest zajęta – wtrącił Bogusław Górnik – ale na już przygotowaliśmy listę czterdziestu

sześciu mieszkań wolnych właściwie od zaraz.

Wadowska-Król z niedowierzaniem zamrugła oczami. Nie udało jej się ukryć szerokiego uśmiechu, który cisnął jej się na usta. Miała ochotę podskoczyć z radości pod sam sufit. Oczywiście to była kropla w morzu potrzeb, ponieważ pomocy potrzebowało znacznie więcej rodzin, ale w końcu coś drgnęło. Sprawy przybrały zaskakująco dobry obrót dla lekarki i jej małych pacjentów. Niedawno przecież z profesor Hager-Małecką obawiały się, że zostaną aresztowane za podburzanie ludu i niszczenie socjalistycznej gospodarki, a tu proszę, huta sama wyszła z inicjatywą przyznania mieszkań!

– Ze swojej strony gwarantuję pełną wolę współpracy – powiedział Lucka. – Oszaleję z tymi ludźmi, przychodzą się tutaj do mnie awanturować i nie pozwalają normalnie pracować. Dlatego też państwa tutaj zaprosiliśmy. Rzecz jasna będziemy organizować kolejne lokale, to nie jest tak, że skończymy na tych czterdziestu sześciu mieszkaniach, ale potrzebujemy na to trochę więcej czasu. Zastanawiamy się, na jakich zasadach je przyznawać.

– Ja panu pomogę – zadeklarowała Wadowska-Król. – Wiem, które dzieci są najciężej chore i które rodziny powinny w pierwszej kolejności zostać stąd wyprowadzone. Trzeba wziąć pod uwagę też to, ile dzieci w danej rodzinie choruje i jak długo przebywają w sanatorium.

– Mogłaby pani przygotować dla nas taką listę? Będę zobowiązany.

Jolanta już otworzyła usta, ale wówczas, po raz pierwszy, odkąd zaczęło się spotkanie, odezwał się doktor Urban:

– Wiedzieli panowie, do kogo się zwrócić. Nie znam drugiego lekarza, który posiadałby taki porządek w papierach. Jola prowadzi na bieżąco całą dokumentację.

– Dziękuję – bąknęła pod nosem Wadowska-Król, która nigdy za bardzo nie potrafiła się odnaleźć w sytuacji, kiedy ktoś publicznie ją chwalił. Nie była do tego przyzwyczajona. – W porządku, przygotuję listę czterdziestu sześciu rodzin. Jestem bardzo mile zaskoczona tą propozycją, naprawdę. Bardzo dziękuję i liczę, że nasza współpraca nie zakończy się na tym jednym spotkaniu – podkreśliła.

– Mówiłem przecież, że huta bardzo dba o swoich pracowników –
przypomniał Lucka.

Szkoda tylko, że przy okazji truje ich i ich dzieci, dodała
w myślach Jolanta.

Rozdział 21. Helena

Grudzień 1974

Niewysokie, płaskie szczyty Beskidu Śląskiego wyłoniły się nagle zza gęstej mgły. Helena siedziała z głową opartą o szybę i chłonęła całą sobą tak niecodzienny dla niej widok. Raz w życiu, dobrych dwadzieścia lat temu, była w Wiśle na wycieczce szkolnej. To niby nie było daleko, osiemdziesiąt kilometrów, ale kogo było stać na takie wyjazdy? Helena cieszyła się, gdy mogli wystać dzieci na kolonie. Ich potrzeby schodziły na dalszy plan. To dzieci były najważniejsze, a jej żadne wakacje nie były do szczęścia potrzebne.

A mimo to jadąc przepełnionym autokarem, w którym nawet wszystkie miejsca stojące były zajęte, uświadomiła sobie, jak wiele traci, podróżując co najwyżej do centrum Katowic i jeszcze niedawno do Zabrza, do kliniki pediatrii.

Podniosła wzrok na Staszka, który swoje miejsce odstąpił kobiecie z ciężowym brzuchem, tylko trochę większym od tego Helenowego.

– Chyba już niedaleko – powiedziała, na co Stasiak skinął głową.

Z każdym kolejnym pokonanym przez autokar kilometrem Helena odczuwała narastające napięcie. Nie widziała dzieci od początku listopada, kiedy zostały przeniesione do sanatorium! Była i tak w lepszym położeniu, bo te matki, których bajtle pojechały do ośrodków prosto z domu, nie miały z dziećmi żadnego kontaktu od prawie trzech miesięcy, ale ten czas spędzony bez Iwonki, Henia, Adasia i Miecia wydawał jej się wiecznością. Żałowała, że Karolinka nie mogła z nimi pojechać odwiedzić siostry i braci, ale kierownictwo huty wyraziło się jasno: tylko rodzice, co w sumie było zrozumiałe, bo gdyby z wizytą wybrały się całe rodziny, trzeba by zorganizować kilkadziesiąt autokarów. Dziewczynka została więc z siostrą Staszka. Nie powinna się nudzić z kuzynostwem.

Dzięki Bogu doktorka nad wszystkim czuwała i rodzeństwo trafiło do jednego sanatorium. Tę kobietę powinni ozłocić! Tyle dla nich

zrobiła, tak zawzięcie walczyła najpierw o badania, później o miejsca w szpitalach i sanatoriach, a teraz o mieszkania... Helena po raz pierwszy od kilku miesięcy patrzyła w przyszłość z nadzieją. Jeszcze nieśmiała, bo żyła w takich, a nie innych czasach i nie miała za grosz zaufania do partyjniaków i kierownictwa, ale kiedy doktorka w sobotnie popołudnie zapukała do ich drzwi, oświadczyła, że sprawa przyznawania nowych lokali jest w toku, a potem szybko pobiegła do kolejnej rodziny, Helena pomyślała, że wszystko się jakoś ułoży.

Autokar sunął właśnie ulicą Skoczowa. Nastrój wyczekiwania udzielił się pozostałym podróżnym. Ci, co stali w przejściu między fotelami, wyjrzeni przez okna, aby się zorientować, gdzie się znajdują. Z tylnej kanapy dobiegały odgłosy małżeńskiej sprzeczki – z tego, co Helena się zorientowała, mężczyzna nie zabrał reklamówki ze słodyczami dla dzieci, o co prosiła go żona. Z przodu autokaru głośno płakało niemowlę, którego matka najwyraźniej nie miała z kim zostawić. Od tego harmidru i zaduchu Helenę rozboleła głowa. Kiedy więc autokar minął tabliczkę z napisem „Istebna”, głośno odetchnęła z ulgą, a jej usta same ułożyły się w uśmiech. Podziwiała krajobrazy, ciesząc się, że dzieci spędzają czas w tak malowniczym miejscu. Tutaj powinny szybko wrócić do dobrego zdrowia.

Ostatni odcinek okazał się dla Heleny wyjątkowo męczący. Sanatorium „Kubalonka” położone było na wysokości ponad siedmiuset metrów nad poziomem morza, a prowadzące do niego kręte serpentyny przyprawiły Kościelniakową o mdłości. Przymknęła oczy i się pochyliła, ale to niewiele pomogło.

Kierowca autokaru gwałtownie zahamował, a pasażerowie, którzy się tego nie spodziewali, polecili do przodu. Po wnętrzu pojazdu przetoczył się pomruk oburzenia, szybko stłamszony przez ponagląjące okrzyki kobiet. Każda z nich nie mogła się doczekać tego momentu, kiedy przytuli do piersi swoje dzieci! Helena poderwała się z miejsca, ignorując ból w lędźwiach. Odczekała, aż jej sąsiadka wejdzie w przepychający się do wyjścia tłum, po czym sama wcisnęła się pomiędzy dwóch mężczyzn. Staszek był już gdzieś z przodu, niesiony przez podekscytowaną gromadę.

Czekał na nią przy wyjściu z autokaru. Wyciągnął rękę, aby pomóc jej wysiąść, po czym ruszyli w stronę trzypiętrowego budynku, którego fasada miała kształt prostokąta.

– Zobacz, w każdym pokoju jest balkon – powiedziała Helena.

– Z których zimą raczej nikt nie korzysta – zauważył.

Helena stanęła na palcach i rozejrzała się, próbując odszukać Marysię i Artura Tkaczów, którzy podróżowali tym samym autokarem, co Kościelniakowie, ale nigdzie ich nie widziała. Uznała więc, że weszli już do środka.

Zlokalizowane na Kubalonce sanatorium zapewniało nieziemskie widoki z góry. Przyprószone śniegiem drzewa sprawiały iście bajeczne wrażenie. Gdyby tylko okoliczności były inne... Helena mocniej złapała męża za rękę, bo chodnik prowadzący do budynku był śliski, a przez już sporawy ciężowy brzuch nie widziała swoich stóp. Ostatnio Helena rozmawiała z sąsiadką z familoka naprzeciwko i ta nie chciała wierzyć, że Kościelniakowa spodziewa się dziecka dopiero w kwietniu. Rzeczywiście, wyglądała tak, jak gdyby rozwiązanie miało nastąpić w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Sąsiadka zasugerowała, że urodzi bliźniaki, co przerażyło Helenę, ale czuła ruchy dziecka w taki sam sposób, jak w przypadku poprzednich pięciu ciąż. Wydawało jej się więc mało prawdopodobne to, że miałyby nosić pod sercem nie jedno, ale dwa maleństwa. I tej myśli się trzymała.

W przeszklonych drzwiach wejściowych stała kobieta w futrze z norek. Helena zerknęła tęsknie na jej odzienie. Musiałaby odkładać z dziesięć lat na takie futro!

– Proszę najpierw do szatni, na prawo, a potem długim korytarzem prosto, do świetlicy. Dzieci już tam czekają – tłumaczyła kolejnym przybyłym.

Kościelniakowie wykonali jej polecenie. Oddali kurtki do szatni i zostali poproszeni o zdjęcie butów. Jakaś kobieta tuż obok strofowała męża, że założył w gości dziurawe skarpetki, na co on się odciął, że przecież sama mu takie naszykowała. Helena ledwie powstrzymała uśmiech, który cisnął jej się na usta. Była przekonana, że ludzkość bez kobiet błyskawicznie by wyginęła, i to wcale nie tylko dlatego, że nie byłoby komu rodzić dzieci.

– Jest choinka – zauważyła Helena, kiedy ruszyli wskazanym im korytarzem. – Namiastka domu.

Obiecała sobie, że nie będzie płakać, bo przecież to był w gruncie rzeczy radosny dzień, ale widok przystrojonego świątecznego drzewka ścisnął ją mocno za gardło. Przecież za kilka godzin stąd wyjadą, wrócą do pustych mieszkań, a dzieci spędzą jutrzejszą Wigilię z dala od najbliższych.

– A tobie co? – zdziwił się Stasiek, widząc łzę spływającą po policzku żony.

– Tak bardzo bym chciała, żeby dzieciaki wróciły do domu chociaż na święta...

– Pobeczysz sobie wieczorem w domu – powiedział. – Nie przy dzieciach, bo one to też na pewno przeżywają.

Skinęła głową. Miał rację. Musi wziąć się w garść! Otarła więc łzę i weszła za swoim mężem do świetlicy, w której część rodziców tuliła już swoje pociechy. Zmrużyła oczy, bo uporczywe bóle kręgosłupa nie były jedyną przypadłością, z którą powinna zgłosić się do lekarza, ale wizytę u okulisty również odkładała na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nagle doleciało do niej to słowo, które jeszcze kilka miesięcy temu ją irytowało, bo miała wrażenie, że słyszy je setki razy w ciągu dnia, i za każdym razem ktoś coś od niej chciał, a na które teraz tak bardzo czekała.

– Mama!

Sekundę później Miecio był już w matczynych ramionach. Zacisnął mocno rączki na jej szyi i wtulił się w jej klatkę piersiową, wciągając przez nozdrza znajomy zapach. Jego drobnym ciałkiem wstrząsnął szloch.

– Jestem tu, kochanie, jestem – szeptała mu do ucha uspokajającym tonem Helena.

Chwilę później w kobietę wtulała się też pozostała trójka, nawet Henio, który unikał czułości, bo twierdził, że jest już na to za duży. Helenie brakowało rąk, aby wygłaskać i uściskać wszystkie dzieci, więc po prostu usiadła na podłodze i pozwoliła wejść im sobie na kolana. Stasiek przykucnął obok nieśmiało, bo przecież to nie była rola mężczyzny, aby okazywać uczucia, mężczyzna powinien pracować i przynosić do domu pieniądze, ale i on stęsknił się za

swoimi łobuzami. Poczł rozlewajęc się po klatce piersiowej ciepłó, kiedy Adaś zarzucił mu ręczi na szyję.

– Wracamy do domu? – Miecio wbił w matkę wyczekujęc spojrzeńie.

– Juź niedługo. Aleście urosli! – Helena szybko odwróciła uwagę najmłodszeo synka. – Pokażcie mi się tu! – Poczochrąła chłopca po bujnej, ciemnej czupryńie, kiedy wstał i dumńie wypiął pierś.

– Dlaczego Karolina nie przyjechała? – W głosie Iwonki słycharć było zawód.

– Nie mogła, w autokarze nie było juź miejsca – wyjaśniła Helena.
– Dobrze was tutaj karmią? Jak wam mija czas? Macie tutaj lekcje, prawda?

Dziewczyńka skinęła głową.

– Tak, Adaś i Miecio też mają zajęcía, takie dla młodszycz dzieci.
Mamo, a widziałaś powietrze?

– Powietrze? – Helenie ciężko było nadażyć za tą nagłą zmianą tematu rozmowy. – Ale przecież powietrza nie widać.

– No właśńie! – Iwonka wyglądała na podekscytowaną. – Wiedziałaś o tym?

Helena posłała mężowi błagalne spojrzeńie, licząc, że ten zrozumie, o co chodzi ich córce, i pospieszy jej z pomocą, ale tak się nie stało. Staszek był równie zdeorientowany, co ona.

– Nooo, wiedziałam – przeciągnęła samogłoskę Kościelńiakowa. – A ty nie?

– Nie miałam pojęcia! Przecież u nas w Szopienicach widać powietrze!

– Co ty opowiadasz? – oburzyła się Helena. – Nigdzie nie widać powietrza.

– Widać – upierała się dziewczynka – ale tylko w Szopienicach.

– Nieprawda.

– Nie? – Dziewczyńka spojrzeła buńczuczńie na matkę. – To niby dlaczego u nas powietrze jest kolorowe, a tutaj przezroczyste?

Helena głośńo przełknęła ślinę, kiedy uświadomiła sobie, że krajobraz Szopienic odcisnął na jej córce piętno. Dziecko dorastało w przekonaniu, że kolorowe dymy z kominów huty to

w rzeczywistości powietrze. I nic dziwnego. Tym przecież oddychało.

– Kochanie, to nie do końca tak... – zaczęła, ale widząc minę Staszka, uznała, że to nie najlepszy czas na tłumaczenie Iwonce, że ta przez lata żyła na ekologicznej bombie.

– Pani Grażynka gotuje najlepszą pomidorówkę. Nawet lepszą od twojej! – wtrącił Adaś.

– Pani Grażynka?

– Kucharka – wyjaśniła Iwonka.

– Mamo, a widziałaś choinkę? – Najmłodszy synek Kościelniaków podskakiwał z emocji.

Helena zatrzymała na dłużej wzrok na jego twarzy. Micio wyglądał zupełnie inaczej niż jeszcze kilka miesięcy temu. Po raz pierwszy w życiu miał rumieńce i nabrał trochę ciała. Kiedy sobie to uświadomiła, udreka rozłąki wydała jej się jakby mniejsza. Górskie powietrze zdecydowanie dzieciom służyło. Helena na chwilę zapomniała o rzeczywistości i pomyślała, jak by to było, gdyby zamieszkali w niewielkim drewnianym domku na skraju lasu u podnóża góry, z dala od huty truciicielki. Szybko jednak otrząsnęła się z tych marzeń. Korzenie jej i jej najbliższych wrosły mocno w śląską ziemię. Perspektywa przeprowadzki może i była kusząca, ale niemożliwa do zrealizowania.

– Widziałam, jest naprawdę piękna – przyznała, uśmiechając się do Micia.

– Sami ją ubieraliśmy!

– Naprawdę? No, to chyba nieźle się napracowaliście. Choinka jest przecież ogromna!

Chłopiec złapał matkę za rękę i pociągnął ją najmocniej, jak potrafił.

– Mamo, wstań! Pokażę ci, który łańcuch zrobiliśmy z Adasiem!

Helena powoli się pozbierała z podłogi i pozwoliła synkowi zaprowadzić się z powrotem do korytarza. Za nimi ruszyli Stasiak i pozostała trójka. Mężczyzna niósł Adasia na rękach, ten widok rozczulił Helenę. Dopiero kiedy groził im rozpad rodziny, zrozumieli, jak wielkie mieli w życiu szczęście. Dopóki w mieszkaniu rozbrzmiewały dziecięce głosy, a obecność całej piątki

była czymś oczywistym, Helena nie zajmowała sobie głowy tym, że powinna podziękować Bogu za potomstwo, którym ją tak licznie obdarzył. Wręcz przeciwnie, w myślach błagała go, żeby nie zsyłał jej kolejnego dziecka. Ze wstydem myślała o sprawach, którymi wcześniej żyła. Bo czy było na świecie coś ważniejszego od zdrowych, szczęśliwych dzieci?

Rodzina Kościelniaków zatrzymała się przy wysokim, rozłożystym drzewku. Helena patrzyła w zachwycone oczy dzieci, w których odbijały się choinkowe lampki. U nich w mieszkaniu każdego roku w rogu większej izby stawała mała, licha choinka z pięcioma bombkami na krzyż. W tym roku tylko obecność Karolinki zmotywowała Helenę do tego, aby wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu i przystroić świąteczne drzewko. Chciała, aby córka miała choć namiastkę normalności. Ubierała tę choinkę, zastanawiając się, jak to w ogóle możliwe – ich codzienność stanęła na głowie, a świat nie zatrzymał się nawet na moment.

– Zobacz, mamó! – niecierpliwił się Miecio. – Ten najdłuższy łańcuch z kolorowego papieru jest nasz.

– Postaraliście się – pochwaliła chłopców matka. – A ty pomagałeś w ubieraniu choinki? – zapytała Henia, który był dziwnie milczący.

– Wieszale bombki. – Wzruszył ramionami. – Jestem za duży na robienie łańcuchów z kolorowego papieru.

Helena spojrzała na męża zaniepokojona. Henio zachowywał się dziwnie. Zazwyczaj buzia mu się nie zamykała i biegał po podwórku od rana do zmierzchu, a teraz jakby uleciała z niego cała energia.

– Co się stało? – Helena pochyliła się nad najstarszym synem.

– Nic. – Chłopiec uciekł wzrokiem.

– Odpowiadaj, jak mama pyta! – zdenerwował się Staszek, na co żona skarciła go wzrokiem.

– Mnie możesz powiedzieć – zapewniła Kościelniakowa łagodnie.

– Mówiłem przecież, że nic się nie stało! – krzyknął Henio i puścił się biegiem wzdłuż korytarza, zostawiając oniemiałych rodziców.

Helena odchrząknęła zakłopotana. Staszek stał osłupiały, nie rozumiejąc zachowania syna, do którego przecież przyjechali w odwiedzinach.

Ciszę przerwał wysoki głos kobiety, która wcześniej witała gości. Zniknęło gdzieś futro – teraz miała na sobie dziergany ciemnozielony sweter i kraciastą ołówkową spódnicę.

– Proszę się nie przejmować. Zauważyłam, że Henio tęskni bardziej, niż jest w stanie to wyrazić. Nie radzi sobie z rozłąką z państwem, pewnie stąd u niego takie zachowanie.

Pojawiła się jakby znikąd, a jednak z tego, co mówiła, wynikało, że była świadkiem całego zajścia. Helena spojrzała na nią z dezorientacją.

– Przepraszam, nie powinnam była się wtrącać – wycofała się nagle nieznajoma.

– W porządku. – Helena zrobiła krok w jej stronę. – Pani jest...

– Och, proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłam się – zreflektowała się tamta. – Ewa Stelmaszyk, jestem kierowniczką sanatorium.

– Helena Kościelniak.

– Henio jest bardzo wrażliwym dzieckiem – ciągnęła Stelmaszyk.

– To chyba nie jest dobra cecha u chłopaka – mruknął pod nosem Stasiek.

– Nie, dlaczego? – zdziwiła się kierowniczką. – Nie jest nadwrażliwy. Uważam, że niejeden dorosły miałby problem z odnalezieniem się w sytuacji, w jakiej znalazł się on. Dzieci tęsknią za domem i różnie reagują.

– Poczekacie na mnie w świetlicy? – zwróciła się do męża Helena.

– Chwilę porozmawiam z panią.

Staszek dość niechętnie oddalił się z Iwonką, Adasiem i Mieciem. Najwyraźniej odebrał prośbę żony jako reakcję na komentarz, który mu się wymknął.

– Jest pani lekarzem? – zapytała Helena, kiedy jej mąż i dzieci oddalili się na tyle, że nie mogli ich słyszeć.

– Tak, pediatrą – potwierdziła Stelmaszyk.

– Dzieciom chyba służy zmiana klimatu.

– Zdecydowanie, ich wyniki się poprawiły – potwierdziła lekarka.

– Choć i tak są słabsze niż dzieci z innych regionów kraju.

– To znaczy?

– Krótco po ich przyjeździe organizowaliśmy zabawę, w której uczestniczyły wszystkie dzieci z sanatorium. To, co mnie uderzyło,

to fakt, że pacjenci z Szopienic są zdecydowanie mniejsi, chudsi i słabsi od swoich rówieśników z innych stron. Trudno będzie im to nadgonić – stwierdziła Stelmaszyk.

– Ale wyzdrowieją, prawda? – Helena nie odpuszczała. – Nie wiem, ile razy zadawałam to pytanie, ale nikt nie udzielił mi na nie odpowiedzi.

– Bo tego nikt nie wie – przyznała z rozbrajającą szczerością doktor Ewa. – Obawiam się, że te najbardziej chore dzieci będą ponosiły konsekwencje choroby przez długie lata, ale nie potrafię przewidzieć, w jaki sposób ołowica ich naznaczy. Tych uszkodzeń w układzie nerwowym, które już są, niestety nie da się cofnąć, ale...

– Jak duże są te uszkodzenia? – Kościelniakowa przyparła lekarkę do muru, bo była matką i chciała w końcu poznać całą prawdę, jakkolwiek okrutna by ona była.

Stelmaszyk posłała jej smutne spojrzenie.

– Starsze dzieci chodzą do szkoły specjalnej, prawda?

– Tak.

– Nie bez powodu mają problemy z nauką, koncentracją i pamięcią. Mówimy o ogromnej utracie kapitału intelektualnego – doprecyzowała Stelmaszyk.

– O debilizmie, tak?

Lekarka się skrzywiła.

– O upośledzeniu intelektualnym. Nie lubię określenia, którego pani użyła, bo jest nadużywane, i to niekoniecznie w celu nazywania jednostki chorobowej.

– A Adaś i Miecio? – Helena zorientowała się, że głos jej drży.

– Ich rozwój intelektualny również jest spowolniony, ale może ołów nie zdążył jeszcze wyrządzić w ich układach nerwowych tak dużego spustoszenia. Tego nie wiemy. Z drugiej strony u najmłodszych dzieci występuje najwyższe stężenie ołowiu we krwi.

– Dlaczego?

– Cóż, mam swoją teorię na ten temat – przyznała Stelmaszyk. – Uważam, że najprostsze wytłumaczenia są najlepsze: małe dzieci są najbardziej zatrute ze względu na swój wzrost.

– Wzrost? – zdziwiła się Helena, nie rozumiejąc, do czego lekarka zmierza.

– Tak, przebywają najbliżej skażonej gleby.

– Czyli ich też czeka szkoła specjalna?

– Tego nie powiedziałam – zastrzegła doktor Ewa – ale też nie mogę tego wykluczyć. Dzieci są odpowiednio leczone, ołów wypłukuje się z ich krwi i to jest bardzo dobra wiadomość, ale o konsekwencjach będziemy mówić za jakiś czas.

– Mam jeszcze jedną córkę, Karolinę. – Z niezrozumiałego dla siebie powodu Helena uczepliła się tej myśli. – Jest w domu, wie pani? Nasza doktorka uznała, że jej wyniki są na tyle dobre, że nie wymaga żadnego leczenia.

Stelmaszyk czekała na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił.

– Tylko się cieszyć – skomentowała, nie wiedząc, co mogłaby dodać.

– Dlaczego tak się stało? Dlaczego czwórka dzieci zachorowała, a jedno nie? – Helena w końcu na głos wypowiedziała pytanie, które zastanawiało ją od kilkunastu tygodni.

– Kto to wie? Może ma szybszą przemianę materii albo po prostu nie miała aż tak częstego kontaktu ze skażoną ziemią, jak jej rodzeństwo, albo... możliwości jest naprawdę sporo. Proszę jednak pamiętać, że to, że jeszcze nie zachorowała, nie oznacza, że to nie nastąpi. Czytałam sprawozdania i raporty. Mieszkacie na tykającej bombie – dodała ciszej. – Proszę jak najszybciej się stamtąd wyprowadzić. Dla dobra własnego i dzieci. Wszystkich. – Spojrzała wymownie na brzuch Heleny, po czym obróciła się na pięcie i odeszła.

Helena odprowadziła ją wzrokiem. Świadomość, że będzie musiała wrócić po tej rozmowie do świetlicy, spojrzeć w oczy swoim pociechom, uśmiechać się i udawać, że wszystko jest w porządku, była nie do zniesienia. Zrozumiała, że choroba zaatakowała organizmy dzieci w najokrutniejszy sposób – upośledzając je intelektualnie. Myślami wybiegała w przyszłość o kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt lat. Jakie jej dzieci będą jako dorośli ludzie? Czy będą w stanie normalnie funkcjonować, pracować, założyć rodziny? Jako osoba z zewnątrz, która w Szopienicach pojawiła się już jako dorosła

kobieta, Helena widziała, jakie piętno na ludziach odciskała huta. Wcześniej wydawało jej się, że to efekt bardzo ciężkiej pracy fizycznej i alkoholu, który lał się strumieniami, ale co, jeśli było na odwrót? Doktorka sugerowała przecież, że huta truje od lat, tylko nikt wcześniej nie miał takiej świadomości. Co, jeśli dzisiejsi dorośli również chorowali w dzieciństwie?

Helena chciała dla swoich dzieci zdecydowanie lepszego życia niż to, które wiodła ona.

Powoli podeszła do przeszklonych drzwi świetlicy, które zostały zamknięte. Odszukała wzrokiem Staszka i dzieci, siedzących przy jednym z niskich kwadratowych stolików. Ten widok nieco ukoił jej serce, ale chwilę później przed jej oczami pojawiła się inna scena: jej mąż krzyczy na ślęczące nad lekcjami dzieci, a ona zarzuca im lenistwo. Gdyby tylko wtedy wiedziała... Żałowała każdego wybuchu złości, każdego wyrzuconego z siebie w gniewie słowa. Żałamywała ręce nad kłopotami dzieci w nauce, a odpowiedź była tak blisko. Tuż za murem.

Zatrzymała wzrok na Heniu, który siedział przy stole wyraźnie naburmuszony. Na swoim pierworodnym dziecku, którego narodzin wyczekiwała z ogromną niecierpliwością. Nigdy później nie cieszyła się już ciążą tak jak wtedy, bo po prostu była zajęta opieką nad innymi dziećmi. Wyłowiła z odmętów pamięci te chwile sprzed jedenastu lat, kiedy Staszek wychodził do pracy na hutę, a ona kładła się na wersalce, głaskała brzuch i ciepłym, spokojnym tonem do niego przemawiała. Od razu wiedziała, że będzie chłopczyk, po prostu to czuła. Boże, gdyby wtedy wiedziała, jakie niebezpieczeństwo czyha na jej dziecko tuż obok! Obawiała się, że do końca życia nie pozbędzie się wyrzutów sumienia. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie miała żadnego wpływu na to, co się wydarzyło, ale ona wiedziała jedno. Zawiodła jako matka. Nie obroniła swoich dzieci, nie zapewniła im bezpieczeństwa.

Nagle Staszek odwrócił się w stronę drzwi, jakby czuł, że ktoś mu się przypatruje. Uśmiech zamarł na jego twarzy. Poruszył się niespokojnie, powiedział coś dzieciom i wyszedł ze świetlicy.

– Co ta kobieta ci powiedziała? – zapytał z zaniepokojeniem.

– Że wyniki są już lepsze.

- To chyba dobra wiadomość?
- Chyba tak – przyznała Helena, uciekając spojrzeniem.
- To o co chodzi? – Nie rozumiał.

Wzruszyła ramionami. Nie potrafiła, a może nie chciała przekazać mu wszystkich wątpliwości, które nią targały.

- O nic.

Spiorunował ją wzrokiem.

- Przecież widzę.

Helena otuliła się ramionami. Nagle poczuła przeraźliwy chłód, choć zatrudniony w sanatorium palacz nie oszczędzał na opale.

– Dlaczego ściągaliście te cholerne filtry? – zaatakowała go, próbując znaleźć winnego.

- Myślisz, że one cokolwiek by dały?

– Nie wiem – przyznała, czując, że opada z sił. – Ta kobieta powiedziała mi, że nie da się cofnąć uszkodzeń w układzie nerwowym, które wywołała ta choroba.

– W układzie nerwowym? – powtórzył Stasiek, a jego spojrzenie było rozbiegane.

– Henio i Iwonka nie urodzili się tacy. To ta przeklęta huta zrobiła z nich debilne dzieci!

Jedna z opiekunek zaintonowała *Wśród nocnej ciszy*. Miała przepiękny, głęboki głos. Przez dłuższą chwilę śpiewała sama, bo wszyscy zamarli zasłuchani. Pierwsze dołączyły do niej dzieciaki, zaraz później rodzice. Helena oparła się o przeszkłone drzwi i zaczęła śpiewać, a po jej policzku spłynęła samotna łza.

Oddałyby wszystko za cud, ale ten, o którym marzyła, był nawet poza zasięgiem Boga, bo nikt nie potrafił cofnąć czasu.

Rozdział 22. Jolanta

Styczeń 1975

Jolanta wkraczała w kolejny rok z energią, która zadziwiała wszystkich dookoła i nawet ją samą. W teorii po ostatnich kilku miesiącach, w trakcie których sen był luksusem, powinna słać się ze zmęczenia, tymczasem wciąż miała w sobie siły i chęci do dalszego działania.

Podążyła taksówkarzowi odliczoną kwotę i wysiadła z auta prosto w gęstą śnieżycę. Naciągnęła na czoło czapkę, aby ochronić się przed mocnymi podmuchami wiatru, i ruszyła w stronę wysokich, ciężkich drzwi. W wejściu minęła ją roześmiana grupka młodych dziewcząt, którym miny zrzedły, kiedy wyjrzały na zewnątrz. Jolanta przypuszczała, że to studentki medycyny, które w tym miejscu zdobywały wiedzę i doświadczenie, niezbędne do wykonywania zawodu lekarza. Wadowska-Król weszła schodami na pierwsze piętro, gdzie mieścił się gabinet Hager-Małeckiej.

Kiedy profesor zaproponowała jej, żeby napisała doktorat, nie była przekonana do tego pomysłu. Trudno jej było uwierzyć w to, że praca, która nawiązywałaby do katastrofy ekologicznej spowodowanej działalnością państwowej huty, mogłaby zostać przez nią obroniona. Im dłużej jednak się nad tym zastanawiała, tym bardziej wierzyła w ten doktorat. Nie zależało jej na tytułach, nie one były tutaj najważniejsze, choć oczywiście, miło byłoby postawić słowo „doktor” przed nazwiskiem. Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nigdy wcześniej nie myślała o karierze naukowej, jednak skupiła się na codziennej misji, jaką była praca z małymi pacjentami. Nie miała za sobą nikogo, kto popchnąłby ją w stronę sukcesu, a to były czasy, w których szansę dostawali przede wszystkim ci, za których plecami stali bliscy czy znajomi z partii. Ale kiedy Hager-Małecka wspomniała o doktoracie, ziarenko zostało zasiane.

Ostatecznie Jolantę przekonał mąż, uświadamiając ją, że dokonała przełomowego odkrycia i zapisała się na kartach historii współczesnej pediatrii. Wcześniej ani przez moment tak o sobie nie pomyślała. Po prostu wypełniała swoje obowiązki. I prawdę mówiąc, nadal uważała, że nie zrobiła nic wielkiego, ale może rzeczywiście świat nauki powinien dowiedzieć się o ołowicy w Szopienicach?

Zabrzańska klinika pediatrii była jednym z najlepszych tego typu ośrodków w kraju, doskonale znanym w środowisku lekarzy tej specjalizacji na Śląsku, bo ogromna ich część właśnie tutaj stawiała pierwsze kroki w zawodzie. Jolanta weszła schodami przez przestronną klatkę schodową na pierwsze piętro. Tam odszukała właściwy gabinet i bez chwili wahania zapukała. Ze środka odpowiedział jej znajomy głos. Nacisnęła na klamkę i mocno pchnęła ciężkie drzwi.

– O, jest już pani! – Na ustach pani profesor Hager-Małeckiej pojawił się szeroki uśmiech.

Wstała zza lakierowanego biurka i przywitała się z gościem.

– Dzień dobry. – Wadowska-Król podeszła do wieszaka i szybko pozbyła się wierzchnich warstw odzieży. – Złapałam taksówkę, bo autobus nie przyjechał.

– Nic dziwnego w taką pogodę. – Hager-Małecka wyjrzała przez okno, za którym wiatr właśnie szarpał gałęziami drzewa. Budynek po drugiej stronie ulicy nie było w ogóle widać zza tej śnieżnej zadymki. – Jak tam po świętach? Odpoczęła pani trochę?

– Trochę – przyznała Jolanta, niepewnie rozglądając się po gabinecie, w którym była po raz pierwszy w życiu. Musiała przyznać, że robił wrażenie. – Przychodnia była zamknięta, ale ja i tak miałam sporo pracy.

Gęste brwi o kształcie strzelistych łuków uniosły się o kilkadziesiąt milimetrów.

– W święta? – Profesor gestem zachęciła Wadowską-Król, aby usiadła.

– Musiałam dla przedstawicieli huty przygotować listy najbardziej potrzebujących rodzin – wyjaśniła Jolanta, zajmując wskazane miejsce. Rozluźniła się i założyła nogę na nogę. – W ostatnią sobotę

przed Bożym Narodzeniem zostaliśmy z kierownikiem mojej przychodni zaproszeni przez nich na rozmowę. Na spotkaniu byli dyrektor do spraw socjalnych i dyrektor działu nieruchomości. Zadziwiły mnie ich chęć i gotowość do współpracy.

Hager-Małecka oparła się wygodnie o zagłówek fotela i zmarszczyła czoło.

– Może dostali jakieś wytyczne z góry?

– Może. – Jolanta wzruszyła ramionami. – Prawdę mówiąc, nie interesuje mnie to. Liczy się tylko to, że zgodzili się przyznać na początek czterdzieści sześć mieszkań.

– Ziętek też nam pomoże – powiedziała profesor.

– Nie uważa pani, że to jest podejrzane? – Jolanta po raz pierwszy zwerbalizowała swoje obawy.

– Ale co?

– Za łatwo poszło. Jeszcze przed chwilą bałyśmy się, że zostaniemy aresztowane, a teraz nagle władze idą nam na rękę – podsumowała lekarka.

Bożena Hager-Małecka pokiwała ze zrozumieniem głową.

– Wydaje mi się, że o ołowicy w Szopienicach zrobiło się za głośno, aby po prostu wyciszyć tę sprawę, a nas zamknąć. Jeszcze kilkanaście lat temu nie mieliby żadnych oporów, ale w ciągu ostatniej dekady sporo się zmieniło, mam wrażenie, że na lepsze. Podobno obradowali do rana. Kiedy stawiałam się w Komitecie wojewódzkim, pogratulowano mi obywatelskiej postawy. Trudno mi było w to uwierzyć! Oczywiście, nadal musimy być ostrożne – zaznaczyła profesor – bo tylko szalenie ufałby w pełni władzy, która już nieraz pokazała, że potrafi rzucić swoich najlepszych ludzi tłumom na pożarcie, ale chwilowo sygnał jest jasny: komitet partii zgadza się z nami w kwestii konieczności wyprowadzenia ludzi z mieszkań znajdujących się w sąsiedztwie huty.

– Zdają sobie sprawę, że potrzebnych jest kilkaset mieszkań? – upewniła się Wadowska-Król.

– Tak, skala epidemii ołowicy jest im znana – przyznała Hager-Małecka – ale chyba rozumie pani, że nie przesiedlę tych ludzi z dnia na dzień. Na razie magistrat przyznał całych osiem mieszkań, ale byłam już w Komitecie ponownie w tej sprawie. Działają.

– Rodzice się niecierpliwią. Przychodzą do mnie i do dyrektora Lucki na hutę, pytają, czy już coś wiadomo, a ja wcale im się nie dziwię. Tęsknią za dziećmi, a to i tak nic w porównaniu z tym, co te dzieciaki przeżywają w tych sanatoriach! One chcą do domu – podkreśliła lekarka.

– I tak już zrobiła pani bardzo dużo – stwierdziła profesor. – Kiedy przyszedłam do pani we wrześniu po raz pierwszy, miałam nadzieję, że zgodzi się pani przebadać kilkoro dzieci i wtedy zastanowię się, co dalej, a tymczasem pani wywołała lawinę! Ja wszystko rozumiem, naprawdę, jednak nie przeskoczmy pewnych procedur.

– Tym ludziom to nie wystarcza. Oni po prostu chcą być znowu ze swoimi dziećmi – zauważyła ze smutkiem Wadowska-Król.

– Sama jestem matką i potrafię sobie wyobrazić, jak czułabym się w takiej sytuacji, ale... – Hager-Małecka bezradnie rozłożyła ręce i spojrzała na swojego gościa. – Już podczas naszego pierwszego spotkania zrozumiałam, że mam do czynienia z lekarzem z powołania. Uważam, że jest pani świetnym specjalistą i ma pani coś, co jest niezbędne w tym zawodzie, jeśli człowiek nie chce się wypalić: pasję. Robi pani to, do czego została stworzona, dlatego robi to pani dobrze. – Zawiesiła głos, a Wadowska-Król cierpliwie czekała na „ale”, bo była więcej niż pewna, że zaraz to słowo padnie. – Ale nie zbawi pani świata i im szybciej to pani zrozumie, tym lepiej dla pani. Nie może pani brać na siebie absolutnie wszystkich problemów swoich pacjentów i ich rodzin.

– Całego świata może nie zbawię, wystarczy, że pomogę szopienickim dzieciom.

– I pani to robi – zauważyła profesor. – Robi to pani każdego dnia. Chcę tylko powiedzieć, że nie powinna pani dać się wypaleniu. Tylko tyle i aż tyle. Jestem trochę od pani starsza – uśmiechnęła się wymownie, bo to „trochę” wynosiło prawie dwadzieścia lat – i nieco dłużej pracuję w zawodzie. Może to, co powiem, zabrzmie brutalnie, ale wiem jedno: nie pomożemy naszym pacjentom, jeśli będziemy się nad nimi zbyt rozczulać. Nasza specjalizacja jest wyjątkowa, bo przecież pracujemy z dziećmi, które wymagają szczególnej opieki. To normalne, że do najmłodszych człowiek przywiązuje się

szybciej i bardziej niż do dorosłego pacjenta, ale musi pani robić swoje. Nie mówię, żeby pani wyłączyła uczucia, ale żeby czasem potrafiła je pani odłożyć na bok. I tak już zrobiła pani dla tych dzieci więcej niż ktokolwiek inny. Teraz musi pani pozwolić sprawom toczyć się własnym rytmem.

Jolanta wysłuchiwała tej nieco przydługiej przemowy, ale wcale nie była przekonana, że Hager-Małecka ma rację. Działała, bo wierzyła, że los może sprzyjać tylko w sytuacji, kiedy odpowiednio mu się w tym pomoże. Nie była zwolenniczką ogólnikowych stwierdzeń w stylu „czas pokaże”. Wręcz przeciwnie. Uważała, że trzeba wojować i głośno się upominać o swoje, bo w życiu wielokrotnie przekonała się, że swoje szczęście trzeba mocno wyszarpać.

Hager-Małecka głośno westchnęła. Chyba doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie przekonała tej młodej, niepokornej lekarki, dlatego wróciła do przerwane go tematu.

– Do pierwszych mieszkań rodziny z Szopienic będą mogły się wprowadzić jeszcze w tym miesiącu – powiedziała. – Wszystko odbędzie się po cichu, prasa nie będzie nagłaśniać tej sprawy, dostała wręcz zadanie, aby uspokoić ludzi.

– Stąd ten artykuł w „Trybunie”? – domyśliła się Wadowska-Król.

– Jaki?

– W którym sugeruje się, że badania przesiewowe na poziom ołowiu wykonuje się dzieciom z Katowic, Kielc i Cieszyna.

– Co oczywiście jest nieprawdą, o czym obydwie doskonale wiemy. Nie czytałam tego artykułu, ale najwyraźniej w taki sposób postanowili trochę wyciszyć tę aferę i chyba powinniśmy się z tego cieszyć – stwierdziła Hager-Małecka. – Uważam, że to się mogło skończyć dla nas o wiele, wiele gorzej. Nie cieszy się pani? Zdiagnozowała pani setki swoich pacjentów i wdrożyła pani u nich leczenie, zna pani odpowiedzi na dręczące panią miesiącami pytania, a przy okazji poprawia pani byt tych rodzin!

– Oczywiście, że się cieszę! Najbardziej z tego, że udało się wywieźć dzieci ze środowiska, które je truje, że dostaną nowe mieszkania i że huta nie będzie niszczyła już ich organizmów. To było dla mnie najważniejsze – podkreśliła Wadowska-Król.

– Ale?

– No właśnie. Wydaje mi się, że te dzieci zasługują na prawdę.

– Co ma pani na myśli?

– One dobrze funkcjonują w swoim towarzystwie, na swoim terenie. Dogadują się z innymi dziećmi, nie czują się gorsze, bo wszystkie jadą na tym samym wózku. Ale proszę sobie wyobrazić, co się stanie, kiedy rozpiezchną się po Śląsku czy nawet po Polsce. Będą odstawać od swoich rówieśników, a dzieciaki potrafią być bezwzględne. – Wadowska-Król szybko wyrzucała z siebie kolejne słowa. – Nie wiemy, co będzie dalej. Czy te najciężej chore dzieci będą w przyszłości w miarę normalnie funkcjonować, ukończą szkołę, podejmą pracę, założą rodzinę? Ołów odcisnął na nich ogromne piętno, które będzie im ciążyć długimi latami, dlatego uważam, że zasługują na prawdę.

Hager-Małecka głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Lubię idealistów, wie pani? Najlepiej mi się z nimi pracuje, choć często muszę ich sprowadzać na ziemię. I to jest właśnie ta chwila.

Jolanta uśmiechnęła się smutno.

– Przepraszam, nie powinnam była zarzucać pani swoimi wątpliwościami.

– Spokojnie, nic się nie dzieje. – Bożena odchrząknęła. – Chciałam tylko powiedzieć, że jest pani najlepszą osobą do głoszenia prawdy o tym, co wydarzyło się w Szopienicach. Oczywiście nie ma pani co liczyć na to, że w prasie ukażą się rzetelne informacje o stanie zdrowia dzieci z ołowicą, ale ja naprawdę mocno wierzę w pani doktorat. Zastanowiła się pani nad moją propozycją? – Zmrużyła oczy.

Wadowska-Król potarła spocone dłonie o materiał spódnicy i powoli skinęła głową.

– Zastanowiłam – przyznała – i choć nadal mam mnóstwo wątpliwości i obaw, postanowiłam go napisać.

Usta profesor Hager-Małeckiej ułożyły się w szeroki uśmiech.

– Fantastycznie! Uważam, że to będzie naprawdę ciekawa praca, tylko musi być pani wyjątkowo delikatna. Jonek¹⁹ jest pupilkiem Grudnia, dlatego powinna pani zważać na każde słowo. – Profesor

wyglądała na naprawdę podekscytowaną. – A ja z przyjemnością zostanę promotorką pani dysertacji!

– Byłabym zaszczycona – powiedziała Wadowska-Król. – To co, może od razu zaczniemy? Mam pewną wizję i chciałabym ją z panią omówić.

– Oczywiście – zgodziła się Hager-Małecka. – Zamieniam się w słuch!

Mocno wierzyła w to, że młodej lekarce z małej przychodni w zapomnianej dzielnicy Katowic uda się napisać i obronić pracę doktorską. To będzie coś!

Rozdział 23. Helena

Styczeń 1975

Kiedy rozległo się energiczne pukanie do drzwi, Helena była już gotowa do wyjścia. Poinstruowała Staszka, który właśnie obudził się po nocce, o której trzeba odebrać córkę ze szkoły, i wyszła z mieszkania. Marysia czekała na nią w sieni, a jej policzki były wyraźnie zaróżowione. Kościelniakowa przypuszczała, że to z emocji, bo nie podejrzewała sąsiadki o to, że nagle zaczęła dbać o swój wygląd, skoro do tej pory tylko w święta i ważne wydarzenia stosowała kosmetyki, na które udało jej się odłożyć parę groszy. Wprawdzie w centrum działały zakłady kosmetyczne i drogerie, ale kobiety z Szopienic raczej omijały je szerokim łukiem. Brakowało pieniędzy na życie, kto więc mógłby pozwolić sobie na taką ekstrawagancję jak używanie na co dzień drogiego różu?

– Przyszedł list z sanatorium, od Wandzi! – oznajmiła na widok sąsiadki Tkaczowa, w ten sposób tłumacząc swój niecodzienny wygląd.

– Szczęściara! – skomentowała Helena, która owszem, pisywała do dzieci z nadzieją, że ktoś im jej listy przeczyta.

Henio wprawdzie opanował podstawy czytania, ale wciąż miał spore problemy ze składaniem literek. „P” myliło mu się z „b”, nie odróżniał „k” od „g”, a widząc na papierze „s”, upierał się, że to cyfra 6. Szybciej jednak by przeczytał list, niż sam coś wykaligrafował. Wandzia była starsza od niego o dwa lata i jak widać, była bieglejsza w sztuce pisania i czytania, dzięki czemu matka wiedziała, co słyszać u dzieci. Kościelniakowa marzyła o choćby takim kontakcie, bo od czasu pamiętnej wizyty w Istebnej tuż przed świętami nie miała od swoich pociech żadnych wieści.

– W tym liście była też wiadomość dla ciebie – powiedziała Marysia, podążając za Heleną, która wyszła już na zewnątrz budynku.

– Dla mnie? – Helena gwałtownie się zatrzymała i obejrzała przez ramię na sąsiadkę.

– Iwona poprosiła Wandę, żeby ci przekazać, że u nich wszystko w porządku, uczą się pilnie i nie mogą się doczekać powrotu do domu.

Helena poczuła, jak uśmiech samoistnie pojawia się na jej twarzy.

– Już ja widzę tę pilną naukę! – roześmiała się. – Dziękuję, że mi dałaś znać.

– Nie ma za co, zrobiłabyś to samo. Jedziemy na tym samym wózku. Ale! – Tkaczowa teatralnie zawiesiła głos, myśląc o celu ich dzisiejszej wędrówki. – Niedługo ten koszmar się skończy.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć! Czasem muszę się uszczyplnąć, żeby się upewnić, że to nie sen! – powiedziała Helena i wraz ze swoją towarzyszką ruszyła w stronę huty.

– To wszystko dzięki doktorce! Ja sobie tak myślę, że gdyby trafiło na inną, wolałaby zamieść sprawę pod dywan, a ona cały czas walczy o nasze dzieci!

– Masz rację – potwierdziła Kościelniakowa. – W tych parszywych czasach pełnych karierowiczów i cwaniaczków tacy ludzie to prawdziwy skarb.

– No i ja myślę, że bali się buntu – ciągnęła Marysia. – Nie mogą pozwolić sobie na żadne przestoje, huta musi działać i wyrabiać plan. Słyszałaś już, gdzie mają nas przesiedlać?

– Nie, a ty coś wiesz? – zdziwiła się Helena.

Pokonywały tę samą trasę, co ledwie kilka tygodni wcześniej, ale tym razem szło im się łatwiej, nie tylko dlatego, że od kilku dni nie padał śnieg, a ten, co spadł wcześniej, został już odpowiednio udeptany i częściowo odśnieżony. Łżej było im przede wszystkim na duszy. Kiedy poprzednim razem szły tą drogą, nie widziały końca rozłąki z dziećmi. Teraz w ich sercach była wiara, że wkrótce ich rodziny znów będą razem, nawet jeśli nie miały pojęcia, co to „wkrótce” oznacza.

– Huta przesunęła kolejkę oczekujących na nowo wybudowane mieszkania na Rybki²⁰.

– A skąd o tym wiesz? – spytała z powątpiewaniem Kościelniakowa.

– Ludzie na hucie tak mówią. – Marysia wzruszyła ramionami.

– Mój chłop jak zwykle nic nie wie i nic nie słyszał – westchnęła Helena.

– To tak jak mój – podsumowała Tkaczowa. – Gdyby nie to, że ludzie przychodzą do sklepu i przekazują plotki, też nic bym nie wiedziała.

– Na Rybki chyba budują wieżowce.

– Tak, dziesięciopiętrowe bloki z wielkiej płyty! – Źrenice Marysi się rozszerzyły. – To byłoby coś! Wyobrażasz sobie? Z tej nory do nowoczesnego wieżowca z windą i łazienką w każdym mieszkaniu!

– Nie wyobrażam sobie – przyznała zgodnie z prawdą Helena.

– Zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, nie? – W oku Tkaczowej pojawił się dziwny błysk. – Nieważne. Będę się cieszyć z każdego mieszkania, byle dzieci mogły być na powrót z nami! Myślisz, że mogłybyśmy poprosić o to, żeby przyznali nam lokale po sąsiedzku? Tyle lat mieszkamy obok siebie, teraz razem przechodzimy przez ten koszmar, szkoda by było, gdyby nas rozdzielili...

Helena doskonale ją rozumiała. Ona sama coraz częściej myślała o sąsiadce jako o przyjaciółce. Helena z natury była skryta, rzadko opowiadała ludziom o sobie, zdecydowanie lepiej sprawdzała się w roli słuchaczki. Nie chciała, aby inni wiedzieli o niej zbyt wiele, bo wychodziła z założenia, że osobiste sprawy takimi powinny pozostać. Ale przed Marysią rzeczywiście się otworzyła. Tkaczowa była jedną z nielicznych osób, które znały Helenę taką, jaka była naprawdę, z jej wszystkimi słabościami i lękami. Mocno odczuwały jej brak.

– Nie wiem, zawsze można o to zapytać, choć wątpię, że nasza prośba zostanie wysłuchana. I bez tego mają tam niezły młyn. Ale jeśli rzeczywiście przesiedlą nas wszystkich do tych nowych bloków na Rybki, i tak będziemy miały do siebie blisko – stwierdziła.

– Oby! Bylebyśmy tylko nie mieszkali obok Durczaków!

– Dlaczego?

– Bo on jest strasznym pijakiem i ma zły wpływ na mojego Artura.

Helena zachichotała.

– Nie za duże masz wymagania?

– Śmieć się, śmieć! Twój chłop się doprowadził do porządku, a mój coraz częściej zagląda do butelki – przyznała niechętnie Tkaczowa. – Jak tego dokonałaś?

– Chyba po prostu zrozumiał, że tą drogą daleko nie zajdzie – odpowiedziała wymijająco Helena, bo o tamtej trudnej rozmowie, którą przeprowadziła ze Staszkiem, nie chciała opowiadać nawet Tkaczowej. Była zbyt intymna.

Czuła, że tamtego wieczoru coś zmieniło się w ich małżeństwie. Na wspomnienie policzka, który wymierzyła mężowi, czuła wstyd, bo przecież nigdy nie była porywcza i nie uciekała się do przemocy, ale musiała przyznać, że mocne potrząśnięcie Staszkiem i wykrzyczana w twarz gorzka prawda przyniosły zamierzony efekt. Odkąd Stasiek przestał tyle pić i oglądać się za innymi kobietami, a po pracy potulnie wracał do domu, i w Helenie coś drgnęło. Otworzyła się na mężowskie czułości. Wprawdzie uważała, że zaawansowana ciąża to nie jest dobry czas na miłosne igraszki, ale nie uciekała już przed każdym jego dotykiem, a nawet czasem sama wychodziła z inicjatywą sprawienia mu przyjemności.

Helena i Marysia zatrzymały się przed budynkiem, w którym mieściła się dyrekcja huty. Sytuacja, jaką zastały na miejscu, była bliźniaczo podobna do tej sprzed kilku tygodni, z tą różnicą, że tłum cisnął się na zewnątrz, a nie na korytarzu na piętrze. Helena zmrużyła oczy, aby lepiej widzieć, i wypatrzyła wśród robotników i ich żon znajomą twarz dyrektora, który obiecał jej, że podstawia autokary, aby rodzice mogli odwiedzić swoje dzieci w sanatoriach, i słowa dotrzymał. Ryszard Lucka stał w samym garniturze na mrozie i coś cierpliwie tłumaczył zebranym. Helena gestem nakazała sąsiadce, aby ta się pospieszyła, i sama szybkim krokiem dołączyła do tłumu.

– ...listę przygotowała sama doktor Wadowska-Król, ona najlepiej wie, kto w pierwszej kolejności powinien być przesiedlony – mówił dyrektor. – Brała pod uwagę nie dochód na rodzinę, ale stan zdrowia dzieci, liczbę chorych w rodzinie i tak dalej. Jeśli znajdą państwo swoje nazwisko na liście, proszę się zgłosić po klucze do

działu nieruchomości huty. Mieszkania są gotowe do zasiedlenia, jeśli potrzebują państwo pomocy w zorganizowaniu transportu do przewiezienia swoich rzeczy, proszę do mnie przyjść, coś wymyślimy.

Jakże odmienne były nastroje wśród przysłuchujących się mu osób w porównaniu z tym, co działo się w kierownictwie huty w grudniu! Helena rozejrzała się wokół. Gdyby miała opisać, jak wygląda nadzieja, opowiedziałaby właśnie o tym, co zobaczyła tego dnia na hucie.

– Kolejne mieszkania są przygotowywane, a następna lista pojawi się pod koniec przyszłego tygodnia. Czy są jakieś pytania? – Lucka schował swoje skostniałe z zimna dłonie do kieszeni marynarki.

Odpowiedziała mu wymowna cisza. Helena musiała sama przed sobą przyznać, że jest pod wrażeniem tego, jak sprawnie huta reagowała w obliczu kryzysu. Nagle zobaczyła przed sobą człowieka, nie stanowisko.

– Doskonale – podjął dyrektor Lucka. – W razie wątpliwości pozostaję do państwa dyspozycji. Chciałbym jeszcze raz podkreślić: nie jestem wrogiem. Ja i moi koledzy zrobimy wszystko, aby jak najszybciej rozwiązać ten problem, żeby państwa dzieci mogły bezpiecznie wrócić do domów.

Przez tłum przetoczył się pomruk zadowolenia. Lucka pożegnał się i zniknął za drzwiami, na których wywieszona była lista nazwisk osób, które w pierwszej kolejności otrzymały przydział mieszkania. Można byłoby się spodziewać awantur i pretensji ze strony tych, którym się nie poszczęściło, tymczasem nikt nie zgłaszał roszczeń. Wystarczyła informacja, że listę przygotowywała doktorka, i to zamykało usta pominiętym. Ona przecież wie, co robi, wie, kto jest najbardziej potrzebujący!

Minęło kilka minut, zanim Helena i Marysia dopchały się do drzwi. Zdążyły solidnie zmarznąć przez lodowate podmuchy wiatru, które porywały czapki i szaliki. Helena wręcz słyszała bicie swojego serca. Niecierpliwie przeleciała wzrokiem listę, ale po krótkiej chwili zdała sobie sprawę, że musi wrócić do początku, bo ze zdenerwowania nie wiedziała, co czyta. Skupiła się na pierwszym nazwisku, drugim i kolejnym. W ten sposób przestudiowała listę

składającą się z czterdziestu sześciu pozycji, choć w zasadzie nie musiałyby tego robić. Wystarczyłoby spojrzeć na Marysię, która poczucie winy miała wypisane na twarzy, chociaż Helena uważała, że sąsiadka nie ma podstaw, aby tak się czuć.

– Ja nie rozumiem... – bąknęła Tkaczowa, kiedy już odeszły na odległość kilku metrów, a ich miejsce przy drzwiach zajęli kolejni. – Przecież mieszkamy w jednym familoku!

– Słyszałaś, co powiedział dyrektor. W przyszłym tygodniu będzie kolejna lista – uspokoiła ją Helena.

Skłamałyby, gdyby powiedziała, że nie odczuła smutku, kiedy zorientowała się, że jej rodzina nie została wyznaczona do wyprowadzki na samym początku. To oznaczało, że powrót dzieci znowu się odwlecze. Rozumiała jednak tę decyzję i nie zamierzała z nią dyskutować. Skoro doktórka uznała, że Tkaczowie i inne rodziny są bardziej potrzebujące, musiała to uszanować.

– Nie rozumiem – powtórzyła Marysia, nie patrząc sąsiadce w oczy. – Przecież twoje dzieci też chorują, czwórka jest w sanatorium.

– Ale może stan innych jest poważniejszy, nie wiem – podsumowała Helena. – Was jest więcej, pewnie to dlatego.

– Też mieszkacie bezpośrednio przy murze huty – ciągnęła Tkaczowa, jakby próbowała przekonać przyjaciółkę, że nie zgadza się z tą decyzją.

– Jak setki innych rodzin. Spokojnie, przyjdzie czas i na nas – zapewniła ją Helena.

– Może jednak powinnaś zapytać...

– Nie – zaprotestowała Kościelniakowa. – Poczekamy na swoją kolej. Nic się nie dzieje, naprawdę.

W drodze powrotnej milczały. Helena w głębi serca zazdrościła Marysi, że ta już na dniach spotka się z dziećmi, ale nie okazywała tego, bo zazdrość nie była czymś, co jej zdaniem powinno się okazywać. Żyła swoim życiem i nie zazdrościła nikomu, nawet Jadźce, która robiła wszystko, aby wzbudzić to uczucie w starszej siostrze. To dlatego Helena praktycznie zerwała z nią kontakt. Ale teraz, kiedy Tkaczowie dostali przydział mieszkania, a ich dzieci

mogły wkrótce wrócić z sanatorium, w sercu Heleny zakiełkowała zawiść.

Kobiety wróciły na Rzemieślniczą. Helena zdążyła z całych sił znienawidzić to miejsce, które kiedyś nazywała domem i w którym jeszcze pół roku temu czuła się bezpiecznie. Teraz patrzyła na czerwone cegły, puste klepiska, zimne wychodki, zagrzybione klatki i widziała rzeczywistość taką, jaka była naprawdę. Owszem, z familokami na Rzemieślniczej wiązały się piękne wspomnienia – tutaj zamieszkała ze Staszkiem krótko po ślubie, tu przyszły na świat jej dzieci i w tych murach stawiały pierwsze kroki – ale wszystkie je przykrywał gęsty, kolorowy dym z kominów trucicielki.

– Idę do domu, muszę zrobić obiad – powiedziała Helena, choć przygotowała zupę przed wyjściem z domu.

Tkaczowa jednak nie musiała o tym wiedzieć.

– Poczekaj. – Marysia drgnęła. Wyciągnęła dłoń w stronę sąsiadki, ale natychmiast ją wycofała. Ona także czuła, że wyrósł między nimi mur, może nieco niższy od tego, który oddzielał zabudowania huty od familoków przy Rzemieślniczej, ale jednak. – Tak sobie pomyślałam, że może powinnaś pójść do doktorki i powiedzieć, że spodziewasz się dziecka.

– Nie ja jedna jestem tutaj w ciąży – stwierdziła, całkiem zresztą słusznie, Helena.

– Może jednak warto spróbować?

– Doktorka wie, że będziemy mieli dziecko.

– Nie powinno tutaj przychodzić na świat – upierała się Tkaczowa. – Artur uważa, że skoro dzieci mają podwyższony poziom ołowiu, my pewnie też, tylko starych nikt nie bada. Pewnie będziesz chciała karmić piersią. Nie wiem, czy tak można...

– Wykarmiłam piątkę, mieszkając tutaj – odpowiedziała wymijająco Kościelniakowa, choć miała nadzieję, że kiedy najmłodsze dziecko przyjdzie na świat, ich już tutaj nie będzie.

Do kwietnia zostało jeszcze trochę czasu, a przecież dyrektor powiedział, że następne listy pojawią się w przyszłym tygodniu. Nagle Helenę obleciał strach. A co, jeśli ich nazwiska nie będzie również na tej kolejnej liście? Jeśli doktorka ich przeoczyła? Miała przecież pod opieką mnóstwo dzieci!

– No, jak uważasz. – Tkaczowa wbiła wzrok w szary śnieg. – Chciałam pomóc.

– Wiem, ale spokojnie, poradzimy sobie. A ty zacznij się pakować!
– Helena zmusiła się do uśmiechu.

– Zanim się wyprowadzimy, zostawię ci swój nowy adres, w porządku? Przyjdź, jak tylko coś się zmieni! – Marysia delikatnie położyła spracowaną dłoń na opuchniętej dłoni Kościelniakowej. – Mam nadzieję, że jednak będziemy sąsiadkami. A jeśli nie, to przyjdź do mnie z nowym adresem, będziemy się odwiedzać.

Helena skinęła głową, zastanawiając się, czy ta znajomość rzeczywiście przetrwa próbę czasu. Z jednej strony nic ich nie łączyło poza miejscem zamieszkania i chorobą dzieci, z drugiej jednak właśnie takie tragedie jednoczą ludzi najbardziej.

– Dam ci znać, gdzie wylądujemy – powiedziała Helena, obróciła się na pięcie i weszła do budynku.

Rozdział 24. Jolanta

Luty 1975

Budzik zadzwonił o czwartej dwadzieścia. Jolanta poderwała się na równe nogi, aby jak najszybciej go wyłączyć, zanim obudzi wszystkich domowników. Spojrzała na śpiącego męża, który wymamrotał coś przez sen, przewrócił się na drugi bok i wydał z siebie głośne sapnięcie, oznaczające, że z powrotem pogrążył się w sennej krainie. Jolanta wsunęła stopy w wysłużone kapcie i po cichu wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

W kuchni naląła wody do czajnika, postawiła go na kuchence gazowej, którą odpaliła za pomocą zapałki, po czym rozsiadła się wygodnie przy stole. Na parapecie leżały jej notatki i sporządzone przez nią listy z dokładnymi wynikami poziomu ołowiu. Bardzo poważnie zabrała się do pracy doktorskiej kosztem dwóch godzin snu dziennie, bo tylko przed świtem mogła wygospodarować czas na usystematyzowanie badań i wyciągnięcie wniosków. Hager-Małecka miała rację – lwią część pracy już wykonała, choć wówczas jeszcze nawet nie myślała o doktoracie.

Czajnik wydał z siebie gwizd, którego natężenie narastało z każdą sekundą, dlatego poderwała się szybko i wyłączyła palnik. Nasypała do szklanki w metalowym koszyczku dwie płaskie łyżeczki kawy i zalała wrzątkiem. Zapach ciemnego napoju pobudził jej receptory. Powoli budziła się do życia. Ostrożnie, aby się nie poparzyć, upiła łyk i postawiła szklankę na stole. Wróciła do pracy.

Tydzień temu pojechała pociągiem do Warszawy, bo to właśnie w stolicy, przy akademii medycznej znajdowała się najlepiej wyposażona biblioteka specjalistyczna w kraju. W żadnym innym miejscu w Polsce nie zgromadzono takiej liczby zachodnich prac i publikacji naukowych. Jolanta ślęczała długimi godzinami nad artykułami, korzystając ze słownika, bo choć jej angielski był na poziomie komunikatywnym, zdecydowanie lepiej mówiła, pisała

i czytała w języku rosyjskim, jak całe pokolenia, które zdobywały wykształcenie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Wróciła z Warszawy zmęczona i z potężną migreną, ale szczęśliwa – zdobyła ogrom wiedzy, którą będzie mogła wykorzystać nie tylko w swoim doktoracie, ale też w codziennej pracy zawodowej.

Wyznaczyła sobie grupę kontrolną pod Siemianowicami Śląskimi i właśnie przeglądała wyniki. Jak można się było spodziewać, poziom ołowiu we krwi dzieci mieszkających przy hucie był o wiele – nawet pięćdziesięciokrotnie – wyższy niż u rówieśników spoza robotniczego środowiska. Jolanta naniósłła dane na wykres, który opracowała poprzedniego dnia, wierząc, że działa w słusznej sprawie. Nie miała złudzeń – opinia publiczna nie pozna prawdy o ołowicy w Szopienicach, ale wierzyła, że jej praca może podnieść świadomość w środowisku medycznym, a to już bardzo dużo. Lekarze będą mogli pójść jej śladem, edukować rodziców i zlecać badania przesiewowe, aby w porę reagować na zatrucie ołowiem wśród dzieci. I chyba właśnie ten argument ostatecznie przekonał ją do tego, aby napisać doktorat – bo zawsze na pierwszym miejscu stawiała pacjentów.

Starannym pismem nanosiła na wykres statystyczny kolejne liczby, będące dowodem na to, jak wielkie piętno odcisnęło na szopienickich dzieciach dorastanie w cieniu wielkiego zakładu przemysłowego. Nawet się nie spostrzegła, kiedy wybiła szósta – godzina, o której zaczynał się dzień w mieszkaniu Królów. Od pracy nie oderwały jej nawet odgłosy porannej krzątany. Dopiero niewielkie rączki zawieszające się na jej szyi sprowadziły Jolantę na ziemię.

– Cześć, synku. – Cmoknęła malucha w czoło. – Co zjesz na śniadanie?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Jajecznice – podjął w końcu decyzję.

Jolanta pozbierała rozsypane na stole kartki, ułożyła je w równy stos i odłożyła na parapet.

– Tata jeszcze śpi? – zapytała.

– Chyba tak.

– Obudź go, bo spóźni się do pracy.

Chłopiec skinął głową i wybiegł z kuchni. Uwielbiała ten tupot małych stópek, odbijający się echem w czterech ścianach mieszkania. Uśmiechnęła się do siebie, wyjmując z lodówki jajka. Rozgrzewała właśnie patelnię, kiedy do kuchni weszła jej mama.

– Ja zrobię śniadanie – powiedziała – a ty idź się ubierać, niedługo musisz wyjść.

– Dziś aż tak bardzo się nie spieszę. Rano mam tylko spotkanie z dyrektorem Lucką z huty, a pacjentów przyjmuję od dwunastej – wyjaśniła Jolanta, rozbijając jajo o kant patelni.

– Po co znów się z nim spotykasz? Myślałam, że wszystko zostało już wyjaśnione.

– Mam dla niego kolejne listy. – Wadowska-Król energicznie rozmieszała jajka. – Następne lokale są już gotowe do zamieszkania. Muszę przyznać, że jestem zaskoczona tym, jak szybko działają, bo cały czas wyobrażnia podsuwa mi najczarniejsze scenariusze.

– Jakie?

– Różne. – Jolanta wzruszyła ramionami. – Trzeba działać, zanim się wycofają.

Matka, nie spuszczać wzroku z córki, usiadła na krześle, na którym wcześniej siedziała Jolanta.

– Ciekawe, co będziesz robić, jak to wszystko się skończy.

– A niby co mam robić? To, co zawsze: leczyć – obruszyła się Wadowska-Król.

– Jesteś typem wojowniczką – zauważyła matka. – Trudno ci będzie wrócić do normalnej, codziennej pracy, jak już poczułaś smak adrenaliny.

– Spokojnie, znajdę sobie zajęcie – mruknęła Jolanta, uznawszy dyskusję za skończoną.

A jednak przez cały poranek, podczas śniadania, codziennej toalety, pożegnania z dziećmi i mężem i w drodze do pracy, myślała o tej rozmowie. Matka z pewnością miała rację co do jednego – Jolanta przyszła na świat z genem wojowniczką, nie bała się podejmować ryzyka, myślała trzeźwo w sytuacjach kryzysowych i była odporna na stres. Powtarzalność stanowiła dla niej pułapkę, a przy tym od środka dręczyło ją poczucie misji. To chyba właśnie dlatego wybrała zawód lekarza.

Wchodząc do przychodni, nadal analizowała słowa wypowiedziane tego ranka przez matkę, w których było więcej racji, niż Jolanta była w stanie przyznać. Inna na jej miejscu odetchnęłaby z ulgą, ucieszyła się, że sanepid wziął na siebie sporą część pracy, przeprowadzając badania na poziom ołowiu we krwi dzieci z Szopienic, ale nie Wadowska-Król. Ona najlepiej się czuła, działając i trzymając rękę na pulsie.

– O, jesteś. – Wiesia Wilczek wpadła na Jolantę w korytarzu. – Dyrektor Lucka na ciebie czeka.

– Już? – jęknęła Jolanta. – Miał być o dziesiątej. No nic, idę do niego. Gdzie jest?

– U doktora Urbana.

– Dziękuję. – Wadowska-Król pognała w stronę gabinetu kierownika przychodni, na chwilę tylko wstępując do pokoju socjalnego, w którym zostawiła płaszcz.

Zapukała do drzwi i odczekawszy kilka sekund, nacisnęła klamkę.

– Dzień dobry. – Wślizgnęła się do środka. – Przepraszam, byłam przekonana, że umówiliśmy się na dziesiątą.

– Dzień dobry. Prosiłem o przełożenie spotkania na dziewiątą, ale najwyraźniej nie dotarła do pani ta informacja. – Lucka poderwał się z krzesła i wyciągnął otwartą dłoń do Wadowskiej-Król.

– Nie dotarła – potwierdziła lekarka i uściśnęła dłoń dyrektora.

– Może przyjmiesz pana tutaj, w moim gabinecie? – zasugerował Urban. – Ja akurat muszę na chwilę wyjść, a wszystkie inne pomieszczenia są zajęte.

– Jasne, dziękuję. – Jolanta zmusiła się do uśmiechu.

Kierownik przychodni z uczuciem ulgi wypisanym na twarzy pożegnał się z Ryszardem Lucką i szybko opuścił swój gabinet.

Wadowska-Król rozejrzała się niepewnie, szukając dla siebie innego miejsca niż fotel za biurkiem Urbana, ale nic takiego nie znalazła. Nadrabiając miną, zapytała Luckę, czy czegoś się napije, bo Urban najwyraźniej niczego mu nie zaproponował albo dyrektor – jak się okazało – po prostu nie miał na nic ochoty. Poprosiła, żeby usiedli, i zajęła fotel kierownika. Dziwnie się czuła na tym miejscu, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że sprawowanie takiej funkcji to nie jej domena.

Lucka wpatrywał się w nią wyczekująco, jakby czekał, aż to ona rozpocznie spotkanie, więc odchrząknęła i zaczęła:

– Chciał się pan ze mną spotkać – przypomniała mu.

– Tak, mamy kolejnych pięćdziesiąt mieszkań. Przygotowała pani dla mnie listę? – zapytał.

– No tak, lista. Proszę chwilę poczekać, jest w moim biurku.

Wadowska-Król zawahała się, bo nie wiedziała, czy Urbanowi spodobałoby się, że zostawiła Ryszarda Luckę samego w jego gabinecie. Uznała jednak, że nie ma innego wyjścia, przeprosiła dyrektora i pognęła do jedyńki, gdzie jej koleżanka właśnie przyjmowała pacjenta. Zapukała, odczekała chwilę i weszła, szybko znalazła w szufladzie właściwy dokument i wróciła do Lucki. Wyglądało na to, że nie przemieścił się ani o milimetr.

– Proszę. – Wręczyła mu zapisaną estetycznym pismem kartkę.

Dyrektor przeleciał wzrokiem listę.

– Dziękuję. Jeszcze dzisiaj ją wywieszę.

– Gdzie rozlokujecie tych ludzi? – Wadowska-Król ponownie zajęła fotel Urbana.

– Większość na osiedlu Rybki, mamy tam sporo mieszkań o zdecydowanie wyższym standardzie niż lokale w familokach na Rzemieślniczej czy Makarenki. Te rodziny powinny być zadowolone.

– Im nie zależy na wysokim standardzie – Jolanta zwróciła dyrektorowi uwagę – tylko na tym, żeby ich dzieci mogły się wychowywać w bezpiecznym środowisku. No, i na tym, żeby rodziny znów były razem.

– Tak, tak, oczywiście, ale z drugiej strony niech sama pani przyzna, że warunki, w których dotychczas mieszkali, były fatalne – powiedział Lucka.

– Przecież to właśnie od huty dostali te mieszkania.

– I teraz huta przyznaje im lokale o wyższym standardzie – obstawał przy swoim dyrektor, a Wadowska-Król machnęła ręką, uznawszy, że nie ma się o co spierać.

– W porządku. Większość rodzin zamieszka na osiedlu Rybki, a reszta?

– W centrum Katowic, na Osiedlu Tysiąclecia, w Michałkowicach²¹ – wyliczył Lucka. – Lokale są sukcesywnie przyznawane nie tylko przez nas, ale także przez urząd miasta.

– Mam tego świadomość. Osiedle Rybki znajduje się w odległości... ilu, dwóch, trzech kilometrów od huty? – zmieniła nagle temat Jolanta.

– Yyy. – Na twarzy Ryszarda Lucki odmalowało się zaskoczenie. – Chyba nawet mniej niż dwóch.

Wadowska-Król westchnęła głośno.

– Wie pan, że według specjalistycznego zachodniego piśmiennictwa strefa ochronna przy takich zakładach jak huta ołowiu powinna wynosić od pięciu do nawet dziesięciu kilometrów?

Lucka zbladł.

– Pani żartuje? Trzeba by zrównać z ziemią całe Szopienice, Dąbrówkę, Bogucice, Janów, Nikiszowiec, a nawet centrum, część Mysłowic, Sosnowca... – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Przecież to jest nierealne!

– Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego nic takiego nie sugeruję. Po prostu pana informuję. Im dalej ci ludzie się wyprowadzą, tym lepiej dla nich i ich dzieci.

Na czole mężczyzny pojawiła się kropla potu.

– Huta naprawdę dokłada wszelkich starań...

– Nie twierdzę, że huta celowo truje ludzi – weszła mu w słowo lekarka. – Nasza wiedza na temat szkodliwości ołowiu wciąż jest niewielka, choć w ciągu ostatnich miesięcy poszliśmy mocno do przodu. Faktem pozostaje jednak, że takie zakłady powinny się znajdować z dala od osiedli mieszkalnych.

– Nie powinienem o tym mówić, ale trwają rozmowy o wyłączeniu pieca szybowego i likwidacji produkcji miniołowiu – powiedział Lucka, odruchowo zniżając głos. – Jeśli to zrobimy, uda nam się znacznie ograniczyć skażenie środowiska.

– Przepraszam za bezczelność, ale czy zanim objął pan stanowisko, pracował pan w hutnictwie? – wypaliła zniecierpliwiona Wadowska-Król.

– Nie, w hutnictwie akurat nie. Jestem dyrektorem do spraw socjalnych, nie potrzebuję wiedzy typowo...

– Problem z metalami polega na tym, że one się nie rozkładają – kontynuowała lekarka. – Mogą się rozprószyć i wówczas stężenie danego metalu będzie bardzo niskie, ale nigdy nie znikną. Oczywiście rozprószanie zajmuje wiele, wiele lat. Ewentualnie metale mogą zostać zdeponowane gdzieś w głębokich warstwach gleby. Powietrze nie jest jedynym źródłem skażenia. Powiedziałabym nawet, że nie najważniejszym. Największym zagrożeniem są źródła wtórne, czyli gleby. Wie pani, ile osób w Szopienicach i w ościennych dzielnicach ma ogródki, w których uprawia marchew, pietruszkę, seler i inne warzywa?

Lucka uciekł wzrokiem.

– Wiem, ale dalej nie rozumiem, do czego pani zmierza.

– Do niczego. – Wadowska-Król zrobiła minę niewiniątka. – Ja tylko liczę na to, że będzie pan pamiętał o naszej rozmowie, kiedy spotyka się pan ze swoimi przełożonymi, a oni z przełożonymi pana przełożonych i tak dalej.

– Dobrze. – Dyrektor podrapał się z zakłopotaniem po głowie. – Oczywiście, przekażę pani sugestie. Wkrótce będę też w urzędzie miasta, bo wie pani, ja sobie mogę odhaczać kolejne nazwiska na przygotowanej przez panią liście, ale faktycznie nie mam żadnego papieru, żadnej podkładki. Owszem, komitet partii podjął taką decyzję, o czym zostałem poinformowany, ale przecież w każdej chwili coś się może tam na górze zmienić i... No sama pani rozumie. – Lucka wyglądał jak człowiek, który właśnie uświadomił sobie, że powiedział za dużo, więc pożegnał się z lekarką, jeszcze raz podziękował za listę, po czym szybkim krokiem ruszył w stronę huty, zastanawiając się, co takiego jest w tej kobiecie, że wszyscy jej zaufali: pracownicy służby zdrowia, huty, władze zakładu i partii.

A przede wszystkim zaufali jej rodzice, powierzając w jej ręce los swoich dzieci.

Kiedy przechodził przez bramę huty, doszedł do wniosku, że Wadowska-Król musi być po prostu dobrym człowiekiem. Innego wytłumaczenia nie widział.

Rozdział 25. Helena

Luty 1975

Helena chodziła od okna do okna, wypatrując Staszka. Najchętniej sama pobiegłaby na hutę pod budynek dyrekcji, ale Karolinka była chora i musiała zostać w domu, a nie chciała jej zostawiać samej, bez opieki. Doktórka orzekła, że to zwykłe przeziębienie, które trzeba wyleżeć pod kołdrą, ale dziewczynka leżała tak już piąty dzień i o ile w ciągu dnia czuła się lepiej, wieczorami gorączka nie odpuszczała. Może trzeba znów przejść się do przychodni?

Karolinka rozkaszała się w drugiej izbie. Brzydki był ten kaszel, suchy i jakby od oskrzeli. Helena obawiała się, że choroba rozwinęła się od dnia, kiedy była z córką u doktorki. Dawała jej syrop z cebuli, zrobiony według receptury jej matki, ale niewiele pomógł.

Helena przeszła do mniejszego pokoju, w którym córka wygrzewała się pod kołdrą. Kobieta od rana dokładała do pieca, bo tego jeszcze brakowało, żeby dziecko zmarzło, jednak w rezultacie w mieszkaniu panował zaduch i nie było czym oddychać. Nie otwierała okien, żeby Karolinki nie przewiało. Wystarczyło, że musiała wychodzić na to zimno za potrzebą, ale matka zawsze dbała o to, aby córka porządnie się ubrała przed wizytą w wychodku.

– Jak się czujesz, skarbie? – Helena usiadła na brzegu wersalki i czule dotknęła policzka córki.

– Dobrze, tylko tu mnie boli, jak kaszlę. – Dziewczynka położyła dłoń na mostku.

– Jak ci się nie poprawi do jutra, trzeba będzie znów odwiedzić doktorkę – zawyrokowała matka. – Napij się herbaty?

– Nie, ale jestem głodna – powiedziało dziecko, na co Helena szeroko się uśmiechnęła.

Skoro wraca apetyt, idzie ku dobremu!

– Zaraz będzie obiad – stwierdziła, powoli podnosząc się z wersalki.

Od kilku ostatnich tygodni bolało ją absolutnie wszystko – brzuch, kręgosłup, spojenie łonowe, kolana, nawet stopy. Czuła permanentne zmęczenie, gorzej jej się oddychało – podejrzewała, że dziecko jest duże, bo w żadnej ciąży jej samopoczucie nie było aż tak kiepskie. Ta świadomość spędzała jej sen z powiek. Karolinka po porodzie ważyła nieco ponad trzy kilogramy, a ona omal się nie przekreśliła, wydając ją na ten świat! Im bliżej było do rozwiązania, tym bardziej Helena się bała. Ponownie odezwał się w niej lęk, nieco przyćmiony w ostatnim czasie przez całą tę aferę z ołowiem i przymusową rozłąkę z dziećmi.

– A co dzisiaj na obiad?

– Jajko sadzone, ziemniaki i kefir – odpowiedziała Helena, na co Karolinka się skrzywiła.

– A mogę same ziemniaki z kefirem? – zapytała dziewczynka.

– Kto to widział tak wybrzydzać? – zdenerwowała się matka. – Zjesz też jajko – postanowiła. – Prosto od kurek, dostałam od sąsiadki, która ma rodzinę na wsi.

Dziecko się skrzywiło, ale potulnie skinęło głową. Helena wróciła do izby, w której na piecu stał garnek z gotującymi się ziemniakami. Sięgnęła po widelec, żeby sprawdzić, czy już są gotowe. Były jeszcze trochę twarde, ale w ciągu kilku minut będzie można je jeść.

– No gdzie ten Stasiek? – prychnęła Helena, bo nieobecność męża budziła w niej dawne demony.

Bała się, że Staszek wrócił do starych nawyków. Nie miała nic przeciwko, żeby wypił kieliszek czy dwa. Każdy chłop od czasu do czasu musi się napić, inaczej chodzi jakiś struty – Helenie tę mądrość przekazała matka, która z kolei otrzymała ją od babki, i tak dalej. Problem polegał na tym, że Stasiek po wódce dostawał małego rozumu i nie znał umiaru. Jak już posmakował alkoholu, pił do upadłego, a później do głowy przychodziły mu głupie pomysły.

– Zaraz wrócę! – krzyknęła do córki, zarzuciła na siebie płaszcz i szybko wyszła z mieszkania.

Już po drugim porodzie zauważyła, że musi częściej wychodzić za potrzebą, a odkąd była w tej ciąży, miała wrażenie, że w toalecie

spędza połowę życia. Dziecko najwyraźniej ułożyło się tuż nad jej pęcherzem.

Wyszła na puste podwórko. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej robotnicze osiedle tętniło życiem, i tym młodym, i tym nieco starszym. Dzień był bezchmurny, słońce aż raziło w oczy, przebijając się przez różnokolorowy dym, zawieszony nad Szopienicami. Dzieciaki na pewno szalałyby na śniegu, wymyślając coraz to nowe zabawy... Helena głośno westchnęła. W ich familoku zostali tylko oni, w domu naprzeciwno – dwie rodziny. Kolejni ludzie pakowali dobytek i przenosili się do przyznanych przez hutę mieszkań. Żał było patrzeć, jak z miejsca, które niegdyś było pełne gwaru, uchodzi życie. Helena łapała się na tym, że boi się spać w domu w te noce, które Staszek spędza w pracy. W całym familoku były tylko ona i Karolinka, stając się łatwym celem dla jakiegoś szaleńca. Gdy w Bytomiu w listopadzie została zaatakowana kolejna kobieta, Śląsk ponownie wstrzymał oddech.

Na całe szczęście ofiara przeżyła, ale znów wróciły wątpliwości, czy Zdzisław Marchwicki rzeczywiście był wampirem. Siedział przecież w areszcie, kiedy ta kobieta została uderzona w tył głowy²²!

Helena błyskawicznie załatwiła potrzebę naturalną. Wracała do domu, kiedy z daleka dostrzegła znajomą postać. Zatrzymała się i zmrużyła oczy, aby lepiej widzieć Staszka. Z jego twarzy jednak trudno było cokolwiek wyczytać – Stasiak w zasadzie wyglądał zawsze tak samo, czy był szczęśliwy, czy smutny, radosny czy posepny. Nigdy nie był zbyt wylewny, co Helenę irytowało, bo przecież mógłby od czasu do czasu wysilić się na jakąś ekspresję!

Czekała w napięciu, czując, jak lodowate podmuchy wiatru przeszywają ją do szpiku kości. Dopiero kiedy Staszek się przy niej zatrzymał, pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech, który uwydatnił jego braki w uzębieniu. Górną czwórkę stracił po pijackiej awanturze, a dolną trójkę wyrwał mu dentysta, na życzenie samego Staśka, który unikał stomatologa jak diabeł święconej wody. Mimo to nadal był przystojnym mężczyzną, który swoje niedostatki nadrabiał urokiem osobistym.

– I co? – ponagliła męża Helena, bo nie mogła się doczekać, żeby usłyszeć nowiny.

– Jesteśmy na liście – oznajmił rzeczowym tonem Stasiek. – Możemy się przygotowywać do przeprowadzki.

– I ty to mówisz tak spokojnie? – Kościelniakowa nie rozumiała męża, bo sama miała ochotę skakać ze szczęścia. – Przecież to świetna wiadomość!

Staszek wzruszył ramionami.

– Dostaliśmy mieszkanie na Osiedlu Tysiąclecia. Jak ja stamtąd będę do roboty dojeżdżał?

Helena spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Czy ty się słyszysz? Dzieci w końcu będą z nami, z dala od huty, która ich truła, a ty się zastanawiasz, jak będziesz do roboty dojeżdżał?! Przecież są autobusy, tramwaje.

Stasiek wyciągnął zza pazuchy paczkę zapalek i papierosy. Sprawnym ruchem zapalił jednego i łąpczywie wciągnął dym do płuc.

– Ja się tutaj wychowałem, tak jak mój ojciec i dziadek – powiedział łamiącym się głosem. – Innych przesiedlają parę ulic dalej, a nas wyganiają na drugą stronę Katowic.

Helena zamruwała nerwowo. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknęła. Nie rozumiała Staszka. Przywiązać można się do ojcowizny gdzieś na wsi, w urokliwym zakątku kraju, do ziemi uprawianej przez rodzinę od pokoleń, ale do brzydkich, szarych, zapomnianych przez świat Szopienic? Co tu było do kochania? Już miała podzielić się z mężem swoimi przemyśleniami, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, bo co ona mogła wiedzieć. Nie pochodziła stąd, patrzyła na to miejsce chłodnym okiem obserwatora z zewnątrz. Dwanaście spędzonych w Szopienicach lat nie wystarczyło, aby dzielnica stała się bliska jej sercu. Dla niej dom był tam, gdzie byli Staszek i dzieci. Nie miało dla niej większego znaczenia, w jakiej części Katowic i czy w ogóle w tym mieście będą mieszkali.

– Przyzwyczaisz się – mruknęła tylko, nie patrząc mężowi w oczy.

– Tylko tutaj jestem wśród swoich. Niby od szesnastu lat Szopienice są częścią Katowic, ale tylko na papierze. Wszędzie będę

obcy, tak jak tutaj obcy są ludzie mieszkający parę kilometrów dalej.

– Ale co ty opowiadasz? Ty szybko nawiązujesz kontakty, na pewno poznamy kogoś na nowym miejscu – próbowała przekonać małżonka Helena, choć i ona lepiej by się czuła, gdyby za ścianą nadal mieszkała Marysia Tkacz i inne kobiety, z którymi zdążyła się przez te wszystkie lata dobrze poznać, ale nie to przecież było najważniejsze!

– Wiesz, co myślą o nas w innych dzielnicach? Jak o nas mówią? – Staszek dopiero się rozkręcał. – Biedota z Szopienic, za to nas mają. Tylko nikt z nich nie pomyśli, że to na naszej ciężkiej pracy oni wszyscy... – Głos mu się załamał.

Helena delikatnie położyła dłoń na ramieniu męża. Drgnął, ale nie stracił jej ręki. Podeszła więc bliżej i mocno go przytuliła, mimo że nigdy nie była zwolenniczką publicznego okazywania uczuć.

– Będziemy tam razem, a to najważniejsze – wyszeptała do jego ucha. – Poradzimy sobie, jestem tego pewna.

Czekała, licząc na to, że on coś jeszcze powie, ale po chwili wyswobodził się z jej objęć i ruszył w kierunku wejścia do familoka. Helena mogłaby przysiąc, że w kąciku jego oka dostrzegła łzę.

Rozdział 26. Jolanta

Luty 1975

Jolanta już drugą godzinę siedziała z Hager-Małecką nad swoją pracą doktorską i z każdą chwilą była coraz bardziej przerażona. To było trzecie spotkanie z profesorem jako jej promotorką. Już na poprzednich konsultacjach profesor sugerowała, że trzeba będzie wprowadzić poprawki, aby praca otrzymała pozytywne wstępne recenzje i w ogóle otwarto przewód doktorski.

– Proszę pamiętać, wystarczy jedno nieostrożne słowo, a nie będzie pani mogła nawet przedstawić pracy komisji – powtarzała.

Dobrych czterdzieści minut poświęciły na rozmowę o tytule. Hager-Małecka nakazała jej wykreślić takie słowa jak „ołów”, „huta” czy „skażenie”. Wadowska-Król nie upierała się, bo wiedziała, że jeśli chce zrobić ten doktorat, musi napisać pracę tak, aby nikt z władz nie poczuł się urażony, ale jak pisać o ołowicy u dzieci mieszkających w sąsiedztwie huty, nie używając pojęć „ołowica” i „huta”?!

Jolanta nie zwykła rezygnować, ale kiedy Hager-Małecka odrzuciła szóstą z zaproponowanych przez nią wersji, miała ochotę wyrzucić pracę do kosza, wrócić do Katowic i zapomnieć o tym nieszczęsnym doktoracie. Wypiły morze kawy i w końcu osiągnęły kompromis w sprawie tytułu, z którego obydwie były zadowolone, profesor bardziej, Wadowska-Król nieco mniej, ale była w stanie go zaakceptować: *Wpływ mikrośrodowiska wielkoprzemysłowego na stan zdrowia dzieci zamieszkałych w sąsiedztwie źródła emisji pyłów metalicznych.*

Lekarka w milczeniu obserwowała promotorkę swojej pracy. Na czole Hager-Małeckiej z każdym przeczytanym zdaniem pojawiały się coraz głębsze zmarszczki. Pewność siebie Jolanty gdzieś uleciała. A taka była dumna z tego, co stworzyła w tak krótkim czasie! Uważała, że jej praca rzuca nowe światło na kwestię zatrucia

ołowiem, dotychczas rozpatrywaną wyłącznie w kategoriach chorób zawodowych. W polskiej literaturze specjalistycznej nie było żadnej wzmianki o ołowicy wśród osób niepracujących w hucie, a mieszkających w jej bezpośrednim sąsiedztwie. Dzięki jej pracy kolejne pokolenia mogły uniknąć losu który dotknął szopieniczan. Ale teraz, kiedy tak zerkała na Hager-Małecką, przez jej głowę przetoczyły się najczarniejsze myśli.

– Trzeba trochę pozmienić – zawyrokowała profesor, przenosząc wzrok z pracy na jej autorkę.

– To znaczy? – zapytała drżącym głosem Jolanta.

– Mówiłam pani, że tutaj nic nie może być powiedziane wprost. – Bożena Hager-Małecka ułożyła przed sobą kartki w równy stosik.

Zamiłowanie do porządku było tym, co z pewnością łączyło obydwie lekarki.

– Przecież nie napisałam, że... – zaczęła Wadowska-Król, ale Hager-Małecka nie dała jej skończyć.

– To trzeba będzie wykreślić. – Profesor wzięła długopis i zaznaczyła dość długi fragment. – W takiej formie to nie przejdzie.

– Wykreślić poziom ołowiu? – Żrenice Jolanty się rozszerzyły. – Ale wtedy ta praca nie będzie miała najmniejszego sensu...

– Zostaną rysunki – postanowiła Hager-Małecka. – Mało kto zwraca na nie uwagę.

Wadowska-Król nie była przekonana. Dla niej w tej sytuacji doktorat po prostu tracił rację bytu. Ustaliły już ten cholerny tytuł, a skoro praca miała dotyczyć wpływu mikrośrodowiska wielkoprzemysłowego na stan zdrowia dzieci zamieszkałych w sąsiedztwie źródła emisji pyłów metalicznych, bez podania wyników badań nie uda się tego wpływu udowodnić!

Jej wątpliwości musiały się odmalować na twarzy, bo profesor spojrzała na nią i wyjaśniła:

– Kto będzie chciał dociekać, ten z pani doktoratu wszystkiego się dowie.

– Ale...

Hager-Małecka ponownie weszła Jolancie w słowo.

– Rozmawiałam na temat pani doktoratu z rektorem Jonkiem. Ta praca ma być ściśle tajna – wyjaśniła.

– Nie rozumiem. Skoro ma być ściśle tajna, możemy podać wszystkie informacje, łącznie z poziomem ołowiu – powiedziała zdezorientowana Wadowska-Król.

– No właśnie nie możemy. Jonek postawił taki warunek. – Profesor złączyła przed sobą dłonie w piramidę i pochyliła się nad Jolantą. – Jeśli chce pani obronić tę pracę, musimy wykreślić też poziom ołowiu.

Wadowska-Król pokręciła z niedowierzaniem głową. Przecież to kuriozum! Gdyby nie to, że włożyła już w ten doktorat mnóstwo pracy i energii, podziękowałaby i wyszła. Ale dotarła już tak daleko... Nie zwykła rezygnować, bo uważała, że nie ma takich kłód rzucanych pod nogi, których nie można by przeskoczyć.

– Ale czy jeżeli wykreślimy poziom ołowiu, ta praca będzie w ogóle miała jakikolwiek sens? Mocno w to wątpię – wyraziła na głos swój sceptycyzm.

– Będzie miała. Powiedziałam przecież, że zostawimy rysunki. – Hager-Małecka wyglądała jak osoba, która naprawdę wierzy w słuszność przedstawianej przez siebie idei.

Jolanta głośno westchnęła. Cóż miała robić? Niech usuwa te liczby. Uczepiła się myśli, że zostaną chociaż wykresy, a tam przecież wszystko jest podane na tacy.

– W porządku, zrobimy tak – zgodziła się.

– Świetnie! – Na twarzy profesor odmalowała się ulga, świadcząca o tym, jak bardzo naciskał na nią rektor Jonek, którego w niektórych kręgach nazywano pupilkiem towarzysza Grudnia. A jednak działania Wadowskiej-Król były solą w oku władz, mimo oficjalnie wyrażanej przez jej przedstawicieli woli, by problem wspólnie rozwiązać. – Myślę, że może pani wystąpić z wnioskiem do Śląskiego Uniwersytetu Medycznego o wszczęcie przewodu doktorskiego. Jestem taka podekscytowana! Zobacz pani, ta praca zmieni świadomość w kwestii zatruc ołowiem!

Entuzjazm profesor Hager-Małeckiej na chwilę udzielił się młodej lekarce z Szopienic, jednak kiedy już wracała autobusem do Katowic, znów dopadły ją czarne myśli. Czy w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej można się doktoryzować z katastrofy ekologicznej i społecznej wywołanej działalnością państwowej huty?

Jeszcze do niedawna jednoznacznie odpowiadałaby, że nie, ale wydarzenia ostatnich tygodni tchnęły w jej serce nadzieję. Była zadowolona ze swojej pracy, naprawdę uważała, że dobrze wykonała to zadanie, ale po poprawkach wymuszonych przez Jonka na Hager-Małeckiej niczego już nie mogła być pewna.

Wracała z przystanku do domu, powłócząc nogami. Słońce schowało się już za horyzontem, a pobliskie budynki zniknęły za gęstą mgłą. Widoczność sięgała co najwyżej kilkudziesięciu metrów. Podczas wizyty w warszawskiej bibliotece Jolanta zapoznała się z informacjami dotyczącymi wielkiego smogu londyńskiego. Temat ten nie dotyczył bezpośrednio jej pracy doktorskiej, jednak zwróciła na niego uwagę ze względu na działania, jakie podjęto po tym zdarzeniu. Uchwalono ustawę o czystym powietrzu i rozpoczęto proces przenoszenia zakładów przemysłowych poza administracyjne granice miast. Tego właśnie potrzebowały Katowice i wiele innych śląskich metropolii, ale Jolanta była realistką – prędzej obroni doktorat, niż ktoś u góry wysłucha jej rozpaczliwego głosu. Zdrowie i życie mieszkańców to cena, którą władze były gotowe zapłacić za rozwój socjalistycznej gospodarki.

Wsunęła klucz do zamka i spróbowała go przekręcić, ale poczuła opór. Zapukała więc energicznie do drzwi. Wewnątrz mieszkania rozległ się odgłos pospiesznie stawianych kroków, a po chwili ze szczeliny powstałej między futryną a drzwiami z zaciekawieniem zerkał na nią jej mąż.

– Nie masz kluczy? – zdziwił się i otworzył szerzej drzwi przed żoną.

– Mam. Cześć, tak w ogóle. – Jolanta weszła do mieszkania, stanęła na palcach i cmoknęła męża w policzek. – Nie mogłam otworzyć, bo włożyłeś swoje do zamka od wewnątrz.

– Faktycznie. Cześć. Jak poszło?

Wadowska-Król wzruszyła ramionami. Sama właściwie nie wiedziała, jak poszło. Z jednej strony miała od profesor zielone światło i mogła składać wniosek o otwarciu przewodu doktorskiego. Z drugiej: nakazano jej wykreślić z pracy najważniejsze wyniki.

– Aż tak źle?

– Jaki sens ma pisanie pracy na temat ołowicy u dzieci z Szopienic bez podawania poziomu ołowiu we krwi? – wybuchła.

– Rozumiem, że nawet to kazała ci wykreślić?

– Po co w ogóle namawiała mnie, żebym pisała doktorat? Podobno Jonek powiedział jej, że moja praca ma być ściśle tajna. – Cisnęła ze złością kozaki do szafki z butami.

– Najpierw cię namawiała, później porozmawiała z Jonkiem, a on sprowadził ją na ziemię – podsumował Zbigniew, odbierając od żony płaszcz, po czym powiesił go na wieszaku.

– Mogła najpierw pójść z tym do niego. Tyle mojej pracy na marne! – prychnęła Wadowska-Król.

– Nie będziesz składała wniosku o rozpoczęcie przewodu? – zdziwił się jej mąż.

– Będę, w końcu już mam tę pracę gotową, ale obawiam się, że tylko się wygłupię. Wprawdzie Hager-Małecka pozwoliła mi zostawić wykresy statystyczne, ale... – Jolanta bezradnie rozłożyła ręce.

– Będzie dobrze. – Zbigniew podszedł do niej i otoczył ją ramieniem. – Wprawdzie twoja praca jest trochę nietypowa, ale i sprawa, którą się zajęłaś, taka jest. Zobaczysz, zaszokujesz świat!

Wadowska-Król przez chwilę po prostu wtulała się w ramiona męża, nie odzywając się ani słowem. Tu był jej azyl, w którym mogła na chwilę zwątpić i opaść z sił, zanim następnego dnia wstanie skoro świt z łóżka i znów zacznie wojować.

– Może byś się dzisiaj wcześniej położyła? – zasugerował jej mąż. – Wypadałoby w końcu odpocząć.

– Nie jestem zmęczona – zaprotestowała, wyswabdzając się z objęć Zbigniewa. – Dostałam dziś pismo z sanepidu, na które muszę odpowiedzieć w ciągu siedmiu dni.

– Jakie pismo? Czego znów od ciebie chcą?

– Tego co zawsze: statystyki. Mam przygotować sprawozdanie z liczbą przebadanych przez siebie dzieci i dokładnymi wynikami każdego z nich – powiedziała Jolanta.

– Nie dają ci normalnie pracować – prychnął Zbigniew. – Po co im kolejne sprawozdanie? Przecież już kilkakrotnie przekazywałaś

do sanepidu te informacje! Czasem odnoszę wrażenie, że po prostu robią ci na złość.

– Jestem co do tego przekonana. – Wadowska-Król wzruszyła ramionami. – Widzisz, oficjalnie władze zgodziły się ze mną, a jednak chyba ktoś na górze postanowił, że będzie mi robił trudności. To są niby drobne złośliwości, a jednak mocno uprzykrzają mi życie.

– Ale przecież ten cały... – Zbigniew pstryknął palcami. – Jak nazywa się dyrektor sanepidu?

– Grzybowski – podsunęła mu żona.

– O, właśnie! On chyba cię popiera, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zorganizował w końcu to całe laboratorium – zdziwił się Zbigniew.

– Wiesz, jak jest. Pewnie nie ma za dużo do powiedzenia. Ktoś wyżej postawiony wymaga od niego takich sprawozdań, a on prośbami o nie zasypuje mnie. Zresztą podobno jego czas już się kończy. Słyszałam plotki, że jego stanowisko ma zająć ktoś inny. Nieważne! – Machnęła ręką. – Idę się przywitać z mamą i z dziećmi.

Zbigniew odprowadził wzrokiem swoją żonę. Znał ją doskonale i wiedział, że Jolanta robi dobrą minę do złej gry, ale w rzeczywistości przejmuje się bardziej, niż chce okazać.

Rozdział 27. Helena

Marzec 1975

Helena zagryzła zęby, ignorując ból w dole brzucha. Jej organizm buntował się przeciwko fizycznej pracy w ostatnich tygodniach ciąży, ale przecież nikt za nią nie posegreguje i nie popakuje wszystkich szpargałów przed przeprowadzką. Staszek brał nadgodziny, bo potrzebowali dodatkowych pieniędzy na urządzenie się w nowym miejscu, więc przygotowania do przenosin spadły głównie na Helenę. Sił dodawała jej myśl, że lada chwila cała rodzina znów będzie razem.

Tęsknota za dziećmi rozrywała jej serce. Żal był tak silny, że czasem wręcz czuła, jak zatyka ją w piersiach i uniemożliwia zaczerpnięcie oddechu. Tęskniła za nimi każdą komórką ciała. W chwilach, kiedy od załamania dzielił ją tylko krok, powtarzała sobie, że wyczekiwany moment nadejdzie już niedługo. Nie mogła się poddać na ostatniej prostej, dlatego porządkowała, pakowała i układała pudła w jednej izbie, skąd mieli je wynieść Stasiak z kolegą. Staszek załatwił na hucie żuka na czas przeprowadzki, a że jego kompan z pracy posiadał prawo jazdy, przenosiny miały się odbyć tanim kosztem, bo z kolegą umówili się na wynagrodzenie w postaci paru groszy i flaszki wódki. Wszyscy będą zadowoleni.

Karolinka na szczęście wyszła w końcu z choroby, choć nie obyło się bez antybiotyku. Rzeczywiście infekcja zaatakowała oskrzela i lekarka orzekła, że bez silnych leków dziewczynka nie pozbędzie się stanu zapalnego. Kilka dni temu wróciła do szkoły, dzięki czemu Helena mogła szybciej uwinąć się z pakowaniem, bo z chorym dzieckiem na głowie praca idzie dwa razy wolniej. Przy okazji Kościelniakowa zrobiła porządki w szafie, jednak rzeczy do wyrzucenia było mało, bo rodzina i tak niewiele posiadała.

Helena przeniosła ostatnie pudło, w którym znajdowały się sztuce i zastawa, którą dostali od jej rodziców w prezencie

ślubnym, a którą kobieta wyjmowała tylko na szczególne okazje, takie jak święta, chrzciny czy komunia kogoś z bajtli. Odetchnęła z ulgą, zadowolona z efektów swojej pracy. Nie myślała na razie o tym, że to wszystko trzeba będzie wypakować na nowym miejscu, zresztą z wizytą w tamtym mieszkaniu zapowiedzieli się matka z ojcem, więc może Genowefa jej pomoże?

Helena rozejrzała się krytycznie po mieszkaniu, upewniając się, czy niczego nie pominęła. Przeszła po niewielkich izbach, myśląc o tych ważnych wspomnieniach, które już zawsze będą łączyły ją z familokiem na Rzemieślniczej. Czy zażęskni? Jak będzie jej na nowym miejscu? Przejechała dłonią po zniszczonej futrynie. O, ta dziura powstała po tym, jak Staszek wnosił do mieszkania stół i za szybko wszedł w zakręt. A tutaj Adaś uderzył młotkiem, który ojciec nieopatrznie zostawił na wierzchu, w czym energiczny chłopiec od razu dostrzegł szansę na świetną zabawę. Uśmiechnęła się do tych wspomnień, postanowiwszy, że nie będzie się oglądać za siebie. Zaczną od początku, zbudują nowe życie w miejscu, w którym ich pociechy będą bezpieczne. Kiedy tylko o tym pomyślała, od razu poczuła ukłucie w sercu, bo przecież nowe będzie naznaczone konsekwencjami tego starego, a podtruwane latami dzieci wraz z mieszkaniem nie dostaną nowych, zdrowych organizmów, ołów już odcisnął na nich piętno i wiele wskazywało na to, że to brzemię zostanie na stałe.

Helena przed przeprowadzką miała jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Zerknęła kontrolnie na zegar, aby upewnić się, że zdąży zajść do byłej sąsiadki, zanim Karolinka skończy lekcje. Zarzuciła na siebie płaszcz, włożyła buty i wyszła w pośpiechu z domu.

Jeszcze zanim doszła do Zjednoczenia Partii, odpinała kolejne guziki w wierzchnim odzieniu. Przedwiośnie tego roku wybuchło nagle, jakby z dnia na dzień, przynosząc szybką odwilż i spory wzrost temperatur. Drzewa, które rosły dopiero kilka ulic dalej, w dużej odległości od huty, jeszcze się nie zazieleniły, jednak Helena była przekonana, że stanie się to z dnia na dzień, chyba że pogoda nagle się pogsuje.

Szła powoli w stronę osiedla Rybki, co jakiś czas zatrzymując się, aby zaczerpnąć oddechu. Nie była nawet pewna, czy zastanie

Marysię w domu, w końcu mogła mieć akurat zmianę w sklepie na terenie huty, ale uznała, że wówczas przekaże jej matce karteczkę ze swoim nowym adresem. Szczęście jej jednak dopisało, bo kiedy w końcu dotarła na miejsce, przywitała ją Tkaczowa, wyraźnie zadowolona z jej wizyty.

– No, nareszcie do mnie dotarłaś! – Marysia otworzyła szeroko drzwi, zapraszając koleżankę do środka. – Wczoraj nawet myślałam o tobie – trajkotała – i chciałam zająć po pracy na Rzemieślniczą, ale nie wiedziałam, czy jeszcze tam jesteście. Kazałam nawet Arturowi rozejrzeć się na hucie za Staśkiem i zapytać go o ciebie. Ściągnęłam cię myślami!

Helena niepewnie rozejrzała się po mieszkaniu. Jakże różniło się od nory, którą Tkaczowie zajmowali w familoku na Rzemieślniczej. Wprawdzie w środku nie było żadnych luksusów: mebli na wysoki połysk czy boazerii na ścianach, która z roku na rok stawała się coraz popularniejsza, jednak mieszkanie było przestronne, czyste, znajdowała się w nim łazienka, a z dużego pokoju wychodziło się na balkon!

– Wchodź do środka, zobaczysz, jak się urządziliśmy. – Tkaczowa wciągnęła milczącą Helenę w głąb mieszkania. – Mamo, zobacz, kto nas odwiedził!

Z kuchni wyłoniła się Grabarzowa, wycierając dłonie o podomkę. Kościelniakowa spojrzała na starą sąsiadkę, czując, że coś tutaj nie gra. Jakby wycięto fragmenty z zupełnie różnych światów i naklejono je na jeden obrazek. Matka Marysi była pierwszą osobą, z którą Helena zamieniła słowo po tym, jak wprowadzili się na Rzemieślniczą. Starsza kobieta zwykła znosić sobie na dół krzesło i tak siedziała przy wejściu na klatkę schodową. Co chwilę ktoś jej się kłaniał, zatrzymywał, aby porozmawiać, bo Grabarzowa знаła absolutnie wszystkich w okolicy. I właśnie taką Helenę miała ją zapamiętać. Jej korzenie wrosły głęboko w zatrutą ziemię. Nie pasowała do tego miejsca, wyglądała, jakby usychała.

– Pani Helena! – Twarz Grabarzowej na chwilę się roz pogodziła. – Co za niespodzianka! Zaraz przygotuję herbatę!

– Dziękuję, nie będę długo siedziała, zaraz muszę iść po Karolinę – zastrzegła Helena.

– No ale na herbatę chyba znajdziesz czas, skoro już się do nas pofatygowałaś? – zachnęła się Tkaczowa.

– Dobrze – zgodziła się Kościelniakowa.

– Idźcie poklachać, zaraz przyniosę herbatę – zakomenderowała Grabarzowa.

Helena weszła za Marysią do dużego pokoju, w którym na wersalce siedziały najmłodsze dzieci Tkaczów, Andzia i Pawełek. Pomiędzy nimi leżała sfatygowana czarno-biała plansza do warcabów. Dziewczynka i chłopiec jako jedyni spośród liczego rodzeństwa nie byli jeszcze objęci obowiązkiem szkolnym, więc kiedy ich matka pracowała, zajmowała się nimi babcia.

– Co się mówi? – zwróciła dzieciakom uwagę Tkaczowa.

– Dzień dobry – odpowiedzieli chórem Andzia i Pawełek.

– No, zmykajcie do drugiego pokoju – zakomenderowała Marysia.

– Zaraz, tylko skończymy – odburknął chłopiec.

– Tata chyba rozmawiał z tobą o tym, jak powinieś się do mnie odnosić, prawda? Możecie dokończyć u siebie.

– Dobra – mruknął wyraźnie niezadowolony Pawełek.

Współ z Andzią zaczęli przenosić planszę tak, aby pionki się nie przemieściły, ale po drodze pogubili połowę z nich. Tkaczowa odprowadziła wzrokiem dzieci, po czym zwróciła się do Heleny:

– I jak, dostaliście przydział na mieszkanie?

– Tak, właśnie przygotowujemy się do przeprowadzki – wyjaśniła Kościelniakowa.

– Świetnie! Gdzie będziecie mieszkać? – Marysia podskoczyła z podekscytowania.

– Na Tysiącleciu.

– O. – Usta Tkaczowej ułożyły się w kształt głoski, którą właśnie wypowiedziała. – To daleko, szkoda.

– Nie ma co wybrzydzać, trzeba brać, co dają. – Helena wzruszyła ramionami. – Dla mnie w zasadzie nieważne, gdzie będę mieszkać, byle dzieci już wróciły, ale Staszek...

– Niezadowolony? – domyśliła się Marysia.

– Nawet nie o to chodzi. Cieszy się z przydziału mieszkania, ale chyba trochę się boi, jak to będzie. Całe życie mieszkał w Szopienicach, jest przyzwyczajony do tego miejsca. Nieważne. –

Ucięła dyskusję, żałując, że sama zaczęła ten temat. Stasiek na pewno nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że opowiada koleżance o jego wątpliwościach. – Powiedz lepiej, co u was. Jak dzieci po powrocie z sanatorium?

– Dobrze. Januszek ma tak dobrą morfologię, jak nigdy w życiu! – Tkaczowa szeroko się uśmiechnęła. – A Czarkowi minęły te zaparcia. Mam wrażenie, że po pobycie w górach wstąpiły w nich nowe siły. Tylko w szkole mają sporo zaległości, bo na tych zajęciach, które były organizowane w sanatorium, najwyraźniej nie musieli się szczególnie przykładać. Najtrudniej jest Januszkowi, bo on przecież w ubiegłym roku stracił już sporo przez te wszystkie pobyty w szpitalach. Nauczycielka mówi, że jeśli tak dalej pójdzie, trzeba będzie go zostawić na kolejny rok w tej samej klasie, a przecież jeden rok już powtarzał.

– To nie jest teraz najważniejsze – zauważyła Kościelniakowa.

– No tak, nic się nie stanie, jeżeli przezimuje w tej samej klasie – stwierdziła Marysia, jednak jej mina świadczyła o tym, że sama nie wierzy w to, co mówi. – Może w przyszłym roku nadrobi zaległości.

– Dzieci pewnie się cieszą, że wróciły do domu? – Helena zręcznie odwróciła uwagę znajomej od tematu, który najwyraźniej nie był dla niej łatwy.

Tkaczowa potwierdziła skinieniem głowy.

– Tak, choć brakuje im towarzystwa z Rzemieślniczej. Niby do klatki obok wprowadzili się Durczakowie, ale moje bajtle jakoś nigdy specjalnie nie przepadały za ich dziećmiakami, rzadko się razem bawiły. Tutaj jest inaczej. – Zawahała się. – Dzieci nie chodzą tak często na podwórko.

– Może musi minąć trochę czasu, zanim się przyzwyczają? – podsunęła jej Kościelniakowa.

– Pewnie tak. A wiesz, ostatnio sporo myślałam o tych zatruciach ołowiem. Pamiętasz, jak twoja Iwonka się kiedyś przewróciła na podwórku i w kolano wdało się zakażenie? Dziwiłyśmy się wtedy, bo przecież rana nie była głęboka, a mimo to nie goiła się, trzeba było dawać małej zastrzyki. To pewnie przez tę zatrutą ziemię... No pamiętasz? – zniecierpliwiała się Tkaczowa, na co Helena skinęła

tylko głową. Po co do tego wracać, po co rozpamiętywać, zastanawiać się, jak i dlaczego? Trzeba pójść dalej.

Marysia odchrząknęła.

– Januszek pytał wczoraj o Henia – stwierdziła. – Zawsze go bardzo lubił, a w sanatorium podobno jeszcze bardziej się zakolegowali.

Wzmianka o najstarszym synu sprawiła, że Helena poczuła ukłucie na wysokości mostka. Oddałaby wszystko, aby już tulić swoje dzieci w ramionach, tymczasem te ostatnie dni ciągnęły się w nieskończoność. Im bliżej było do powrotu dzieciaków, tym bardziej matka tęskniła i nie mogła sobie z tym uczuciem poradzić.

– Umówimy się kiedyś, to się razem pobawią – stwierdziła wymijająco Helena.

Wiedziała, że teraz, kiedy los rzucił ją pod Chorzów, a Tkaczową na drugą stronę miasta, przy granicy z Sosnowcem, spotkania będą coraz rzadsze, aż w końcu w ogóle ustaną, ale była gotowa zapłacić cenę tej znajomości za bezpieczeństwo dzieci. Bajtło szybko odnajdą nowe towarzystwo, a i matki pójdą w swoją stronę.

Jej rozważania przerwała wchodząca do pokoju Grabarzowa. Kobieta niosła na czerwonej plastikowej tacce trzy szklanki w metalowych koszykach, wszystkie po brzegi wypełnione ciemnym naparem. Helena mimo bólu podbrzusza poderwała się, aby jej pomóc, ale Grabarzowa poradziła sobie sama, nie rozlewając ani kropli.

– Kiedy rozwiązanie? – zapytała starsza kobieta, zerkając wymownie na brzuch Kościelniakowej.

– Niby w kwietniu, ale mam wrażenie, że urodzę wcześniej – przyznała Helena.

– To bardzo możliwe, brzuch jest już nisko – zauważyła Grabarzowa.

– Oby nie za szybko, najpierw przeprowadzka. No i słyszałam, że poród w ósmym miesiącu jest groźny dla dziecka, podobno nawet lepiej w siódmym niż w ósmym. – Kościelniakowa postłodziła herbatę i powoli, aby nie rozlać napoju, zamieszała w szklance łyżeczką.

– Tak, ja też tak słyszałam – podchwyciła Marysia. – Żona kolegi Artura urodziła w ósmym miesiącu i dziecko zmarło kilka godzin po narodzinach.

– Maryśka, no wiesz co! – Stara Grabarzowa wyglądała na autentycznie oburzoną. – Nie wiesz, że kobiety w ciąży nie powinno się straszyć takimi opowieściami?

Tkaczowa wzruszyła ramionami, ale jej mina świadczyła o tym, że żałuje tego, co powiedziała. Czasem plotła, co jej ślina na język przyniosła. Weszła w trzydziesty piąty rok życia, a jeszcze nie nauczyła się, żeby najpierw myśleć, potem mówić, nigdy odwrotnie.

– Spokojnie, ja już tyle w tej ciąży przeżyłam... – Helena machnęła ręką, bo rzeczywiście po wydarzeniach ostatnich miesięcy głęboko wierzyła w to, że nic jej już nie złamie.

– Zawsze trzeba dmuchać na zimne – upierała się Grabarzowa.

Zapadła cisza, przerywana odgłosami siorbania gorącej herbaty. Jeszcze do niedawna Helena potrafiła przy Marysi milczeć, nie odczuwając przy tym dyskomfortu, ale teraz, w tych nowych, czystych ścianach cisza zaczynała jej doskwierać.

– No to kiedy się przeprowadzacie? – zapytała Tkaczowa.

– Staszek chciałby wszystko przewieźć w sobotę. Powinien zdążyć, bo wprawdzie idzie rano do pracy, ale kończy o dwunastej. Chciał jeszcze wziąć jakieś nadgodziny, ale wybiłam mu to z głowy. Przecież sama nie będę wszystkiego przewozić!

– Zostawisz mi wasz nowy adres? – wypaliła znienacka Marysia.

– Tak, oczywiście.

– Na Tysiącleciu będzie wam dobrze – trajkotała Tkaczowa. – Jak przyjedziemy do was z wizytą, koniecznie musimy się wybrać do Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku²³! Będziecie mieć tak blisko do zoo, do planetarium i na stadion!

– Niby tak, ale kogo by było na to stać? – odparła Helena sceptycznie. – Jak pójdziemy raz w roku do zoo, będzie dobrze.

– Ale spacerować nic nie kosztują – upierała się Marysia.

– Jasne. Zaprosimy was od razu, jak się tylko urządzimy, i pójdziemy do parku, obiecuję! A teraz – Kościelniakowa spojrzała wymownie na zegarek – muszę się już zbierać, bo Karolinka za pół

godziny kończy lekcje i na pewno będzie się denerwować, kiedy wyjdzie ze szkoły i mnie nie zobaczy.

– Nie może sama wrócić? – zdziwiła się Marysia. – Przecież to już duża dziołszka. Nasze bajtle same chodzą do szkoły i z niej wracają.

– Pod opieką Henia czy nawet Iwonki też bym jej pozwoliła na samodzielny powrót, ale samej trochę się jej boję puszczać, bo czasem ma głupie pomysły. – Helena zerwała się na równe nogi.

Tkaczowa podeszła do meblościanki, wysunęła szufladę i wyjęła z niej zeszyt i długopis.

– Zapiszesz mi nowy adres?

Kościelniakowa bez słowa wzięła od niej notes i wykaligrafowała wyraźnie nazwę ulicy, numer bloku i mieszkania.

– To co, niedługo się widzimy? – upewniła się Tkaczowa.

Helena skinęła głową. Chciała w to wierzyć, ale nie mogła pozbyć się wrażenia, że to spotkanie jest jednocześnie pożegnaniem. I może tak właśnie miało być, może warto zostawić przeszłość za sobą, żeby móc pójść dalej? Helena wyściskała byłą sąsiadkę i życzyła jej powodzenia. Czas miał pokazać, czy ta przyjaźń przetrwa, czy może jednak ulegnie rozluźnieniu, jak wiele innych relacji. Kiedy osiemnastoletnia Helena wyprowadzała się z Imielina, przyrzekały sobie ze szkolną koleżanką, że będą się odwiedzać, a potem każdą z nich dopadła proza życia.

Ludzie pojawiają się w naszym życiu i odchodzą, jedyną stałą była dla Heleny rodzina, najpierw ta, w której przysła na świat, a później ta, którą stworzyła ze Staszkiem. I jeśli ołowica ją czegoś nauczyła, to właśnie tego, że rodzina jest w życiu najważniejsza i tylko trzymając się razem, można przetrwać największą burzę.

Kościelniakowa po raz ostatni poszła odebrać córkę ze szkoły rejonowej w Szopienicach. Od poniedziałku Karolinka zaczynała naukę w podstawówce na Tysiącleciu.

Rozdział 28. Jolanta

Marzec 1975

Odkąd Jolanta złożyła w dziekanacie Śląskiej Akademii Medycznej wnioski o otwarcie przewodu doktorskiego, instynktownie cały czas czekała, choć to oczekiwanie zepchnęła daleko poza granicę świadomości. Skupiła się na codziennej pracy i przyjmowaniu kolejnych pacjentów. Sanepid kontynuował jej dzieło, laborantki odwiedzały szkoły i przedszkola, a najciężej chore dzieci kierowano do dalszego leczenia.

Maluchy mieszkające w większej odległości od huty miały lepsze wyniki niż ich rówieśnicy przebywający na co dzień w jej bezpośrednim sąsiedztwie, ale również wśród nich zdarzały się ciężkie zatrucia łożem. Z prowadzonych przez Jolantę statystyk wynikało jasno, że jedno na siedmioro dzieci w Szopienicach zapadało na ostrą łożewicę, jednak w żyłach absolutnie każdego malucha płynął łożew, w większym lub mniejszym stężeniu. Te z nieznacznie podwyższonym poziomem kierowano jedynie na dalszą obserwację, pozostałe trafiały do szpitali lub sanatoriów. Sanepid na bieżąco informował Wadowską-Król – jako lekarza prowadzącego – o kolejnych badaniach, ich wynikach i o tym, jakie decyzje podjęto w sprawie poszczególnych dzieci. Od kilku dni jednak był przestój, lekarka nie dostała nowego raportu, więc spodziewała się go lada chwila. Zresztą nawet gdyby sanepid nie przekazywałby jej informacji, doktorkę zawiadamialiby rodzice. Ostatnio jedna z matek oświadczyła jej, że jest jedyną osobą, do której ma zaufanie – przecież to ona upomniała się o szopienickie dzieci, kiedy inni woleli odwrócić wzrok, bo najważniejsza była huta.

Jolanta zerknęła na kartę pacjenta leżącą na stosie dokumentów pacjentów zapisanych na ten dzień. Karol Durczak był jednym z jej „łożewianych” dzieci, które pojechały pierwszym transportem do

sanatorium w Istebnej. Z chłopcem przez cały czas była jego siostra Zosia, która również znalazła się na liście najciężej chorych maluchów. Drugim autokarem podróżowało ich starsze rodzeństwo: Marta, Sławek i Piotrek, podczas gdy na obserwację do szpitala trafiła najmłodsza z dzieci, Agatka.

Durczakowie byli jedną z tych rodzin, które ucierpiały najbardziej. U dwunastoletniego Karola już wcześniej zdiagnozowano imbecylizm – chłopiec dwukrotnie powtarzał pierwszą klasę, zanim trafił do szkoły specjalnej, w której radził sobie kiepsko. Jolanta o tym wszystkim wiedziała, bo Durczakowa, choć wyglądała na szorstką i opryskliwą, w rzeczywistości była przesympatyczną kobietą, która po prostu potrzebowała się wygadać, a że z mężem alkoholikiem wymieniała tylko komunikaty dotyczące organizacji życia codziennego, czasem zwierzała się doktorce. Choć wysłuchiwanie żalów pacjentów nie należało do obowiązków lekarki, w swoim gabinecie pozwalała matkom na otwarcie serc. Wychodziła z założenia, że poświęcenie tym kobietom dziesięciu minut nic jej nie kosztuje, a może przyczynić się do tego, aby zrobiło im się lżej na duszy.

– Proszę! – Wadowska-Król zaprosiła do gabinetu Karola z matką.

Durczakowa musiała schudnąć kilka kilogramów od ich ostatniego spotkania, bo sweter smętnie na niej zwisał. Nadal była dużą kobietą, a doktorka przypuszczała, że ten przymiotnik definiowałby ją, nawet gdyby nie miała nadwagi, bo wyróżniały ją wzrost i grube kości, jednak zmiana rzucała się w oczy. Jolanta przypuszczała, że to stres; większość szopienickich matek zmieniała się w ciągu ostatnich miesięcy. Jedne chudły na potęgę, inne zajadały nerwy, jeszcze inne nagle same zapadały na zdrowiu, a na twarzach absolutnie wszystkich pojawiły się głębokie zmarszczki i ciemne cienie pod oczami.

Na Śląsku dla ludzi najważniejszymi wartościami były rodzina, praca i Bóg. Wielu szopieniczian stało przed dylematem: wierność rodzinie czy oddanie pracy, bo więcej niż połowa rodzin dotkniętych ołowicą dzięki hucie miała co włożyć do garnka. Kryzys uderzył w najczulszy punkt, zabierając ludziom poczucie bezpieczeństwa. Serca tysięcy matek i ojców pozostawały rozdarte.

Nie na darmo mówi się, że najgorszym, czego może doświadczyć rodzic, jest ciężka choroba dziecka, która łamie nawet najtwardszych, a do takich z pewnością należeli mieszkańcy tej dzielnicy.

– Dzień dobry, doktorko. – Durczakowa pociągnęła syna za rękę w głąb gabinetu.

– Dzień dobry, dzień dobry. – Wadowska-Król przywitała swojego małego pacjenta i jego matkę szerokim uśmiechem. – Jak się czujesz, Karol?

– A ciebie to mówić nie nauczyli? – burknęła Durczakowa na syna.

Chłopiec posłał jej nierozumne spojrzenie.

– Wypadałoby się przywitać – wyjaśniła kobieta.

– Dzień dobry – powiedział Karol, kiedy w końcu zrozumiał, czego się od niego wymaga.

– Siadajcie, siadajcie. W czym mogę wam pomóc?

Durczakowa dopilnowała, aby jej syn zajął miejsce, po czym sama usiadła na krześle obok niego. Wytarła spocone dłonie w materiał długiej różnokolorowej spódnicy.

– Doktorko, Karol bardzo często uskarża się na bóle głowy. Ja już nie wiem, co robić, bo wieczorami to on czasem aż płacze z bólu. Daję mu tabletki z krzyżykiem, niby pomaga, ale tylko na jakiś czas, a potem ból wraca – powiedziała Durczakowa, zerkając z niepokojem na chłopca, który z przygryzioną dolną wargą omiatał gabinet spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

– To jeden z objawów zatrucia ołowiem, ale powinno być lepiej. – Wadowska-Król odszukała w dokumentach najnowsze wyniki chłopca. – Niebo a ziemia w porównaniu z tym, co mieliśmy na początku, ale jeszcze nie jest idealnie. Uprzedzałam panią, że trzeba czasu, aby ołów wypłukał się z krwi i moczu. Na pewno osadza się w tkankach, zwłaszcza kostnych, i nie potrafię odpowiedzieć pani na pytanie, czy ten ołów kiedyś stamtąd zniknie, wypłucze się do zera, można za jakiś czas powtórzyć badania, ale teraz... – Bezradnie rozłożyła ręce.

To był jeden z tych momentów, które były dla niej szczególnie trudne. Czasem musiała po prostu przyznać, że medycyna nie zna

odpowiedzi na wszystkie pytania i zapewne nauka nigdy nie zgłębi wszystkich tajemnic ludzkich organizmów. Nie lubiła tego uczucia bezradności, bo przecież po to wybrała ten zawód, by nieść pomoc, i kiepsko radziła sobie ze świadomością, że zdarzają się takie przypadki, w których jest bezsilna.

– Czyli musi boleć? – Żrenice Durczakowej się rozszerzyły.

– Tego nie powiedziałam. Przepiszę Karolowi środki przeciwbólowe, które są dostępne tylko na receptę, ale proszę zachować ostrożność przy ich stosowaniu, bo to bardzo silne leki. Podajemy je tylko w przypadku, kiedy pojawią się uciążliwe bóle, nie wolno ich zażywać na wszelki wypadek. Zrobimy też RTG głowy, tak profilaktycznie, choć nie spodziewam się, że coś tam może wyjść – wyjaśniła lekarka, sięgając po bloczek z receptami. – I dajemy sobie czas, w porządku?

– W porządku – mruknęła Durczakowa.

Wadowska-Król zatrzymała wzrok na chłopcu.

– Jak często masz te bóle głowy? – zapytała go.

Karol wzruszył ramionami.

– Nawet kilka razy w tygodniu – odpowiedziała za niego matka.

– A czy coś się poprawiło w kwestii koncentracji, pamięci, zdolności uczenia się?

– Ciężko stwierdzić, dzieciaki muszą złapać rytm po kilku miesiącach w sanatorium – stwierdziła wymijająco Durczakowa, co dało Wadowskiej-Król sygnał, że problemy z nauką się nie skończyły.

Zresztą nie spodziewała się niczego innego. Nawet tak młody organizm ma ograniczone zdolności regeneracyjne. Lekarka przypuszczała, że odbudowa części uszkodzonych nerwów jest możliwa, jednak nie wierzyła w cuda – nie wszystkie zmiany w układzie nerwowym są odwracalne. Dzieci były podtruwane od urodzenia, ich organizmy ulegały systematycznej destrukcji. Straconych lat tym dzieciakom już nikt nie odda.

– A jak się mieszka w nowym miejscu? – Jolanta nad biurkiem podała Durczakowej receptę.

– Luksusowo! – Kobieta pozwoliła sobie na chichot. – Doktórko, widziała pani, w jakich warunkach żyliśmy w familokach... A tu

nawet łazienkę mamy w mieszkaniu! Mój chłop to do tej pory nie może uwierzyć, że nie musi za potrzebą iść na zewnątrz, czy to upał, czy mróz, deszcz czy śnieżyca! Piękne to mieszkanie, naprawdę, czyściutkie, duże, i wszystko takie nowe! A to dzięki doktorce, bo gdyby nie doktorka... – Urwała i wymownie spojrzała na lekarkę.

– Pani Durczak, każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo – stwierdziła z zażenowaniem Wadowska-Król.

– Nie każdy, bo zanim doktorka się tym zajęła, nikt się nami nie przejmował, nikt! – Durczakowa podniosła głos. Jej mina świadczyła o tym, że zawstydził ją ten jej własny wybuch, więc dodała ciszej: – Ludzie na Księżyc latają, rozmawiają przez telefon z osobami na drugim końcu świata, w mieszkaniach mają pralki, telewizory i co tylko, a my byśmy nadal żyli z grzybem na ścianie, bez wody, bez toalety, huta dalej trułaby nasze dzieci, gdyby nie doktorka. Taka to sprawiedliwość na świecie!

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – zastrzegła lekarka – ale dziękuję za te słowa. Nie wiem, czy na nie zasłużyłam. Uważam, że po prostu trzeba być przyzwoitym.

– Mało jest takich ludzi jak doktorka – zauważyła kobieta. – My do końca życia będziemy pani wdzięczni: wszyscy rodzice z Szopienic, bo z kimkolwiek rozmawiam, każdy tak samo mówi o doktorce.

– Cieszę się, że mogłam pomóc – bąknęła z poczuciem skrupowania Wadowska-Król. – Niech pani przyjdzie do mnie z Zosią, trzeba będzie znów zrobić kontrolną morfologię. – Myślami była już przy kolejnym przypadku. – A jak z tą nóżką? Lepiej coś? – Przypomniała sobie, że u małej Durczakowej zaobserwowała bociani chód.

– Nie, nic lepiej.

– Może trzeba będzie poprosić o pomoc ortopedę? Niech pani z nią przyjdzie, pomyślimy nad tym.

Durczakowa odpowiedziała jej uśmiechem. Zacisnęła dłoń na recepcie i wstała, pociągając za sobą syna.

– Chodź, Karol, doktorka pewnie ma mnóstwo pracy, a my musimy jeszcze zajść do sklepu.

– Nie chcę do sklepu – skrzywił się chłopiec.

– Ale jeść byś chciał, co? No, chodź! – ponagliła syna kobieta. – Dziękujemy, pani doktor.

– Nie ma za co. I proszę pamiętać, żeby nie przesadzać z tymi lekami! – przypomniała jej Wadowska-Król.

– Dobrze, dziękuję, do widzenia.

Kiedy za Durczakową i jej synem zamknęły się drzwi, lekarka spojrzała na zegarek. Miała teraz piętnaście minut przerwy przed kolejnym pacjentem. Ssanie w żołądku przypomniało jej o tym, że oprócz pospiesznie zjedzonego śniadania nic dzisiaj nie jadła. Zamknęła więc gabinet na klucz i poszła do pokoju socjalnego, gdzie zostawiła torebkę, a w niej kanapki, które przygotowała sobie tego ranka.

Przy niewielkim prostokątnym stoliku siedziała Wiesia Wilczek, przeżuwając sznitkę z żółtym serem. Jolanta mogłaby przysiąc, że kiedy weszła do pomieszczenia, przez twarz pielęgniarki przemknął cień niepewności. Wyglądała, jakby miała ochotę natychmiast wyjść z pokoju socjalnego i wrócić do swoich obowiązków. Nerwowo przełknęła kęs chleba i zmusiła się do uśmiechu, ale nie był on szczery. O co też mogło chodzić? Wiesia się nigdy tak nie zachowywała. Jolanta postanowiła od razu ją o to zagadnąć.

– A tobie co się stało? Wszystko w porządku?

– Tak, a dlaczego pytasz? – Wiesia uciekła wzrokiem, czym utwierdziła Wadowską-Król w przekonaniu, że coś jest na rzeczy.

– Wiesiu, muszę cię rozczarować: nie potrafisz kłamać. – Lekarka wyjęła z torebki zawinięte w papier kanapki, nie spuszczać wzroku z pielęgniarki.

– A, przed tobą nic się nie ukryje! – Wilczek westchnęła ze zrezygnowaniem. – Miałam ci nic nie mówić, a ty od razu wyczułaś pismo nosem.

– Co się dzieje? – zapytała Jolanta, siadając po drugiej stronie stołu.

– Widzisz, byłam dziś w laboratorium zawieźć próbki krwi i moczu do badania... – zaczęła powoli Wiesia.

– Co jak co, ale napięcie to ty potrafisz budować – stwierdziła Wadowska-Król z pełnymi ustami, ale akurat Wiesia była jedną z nielicznych osób, przy których nie musiała dbać o konwenanse.

– Słyszałaś już, że w wojewódzkim sanepidzie jest nowa dyrektorka?

– Oczywiście, od jakiegoś czasu mówiło się o tym, że Grzybowski ma odejść ze stanowiska i że mają już na jego miejsce kogoś innego. To o to chodzi? – zdziwiła się lekarka.

– Podobno ta nowa dyrektorka nie jest ci przychylna – stwierdziła wymijająco Wiesia.

– Nie jest mi przychylna? – powtórzyła niczym echo Wadowska-Król. – Co to właściwie znaczy?

– Że zabroniła pracownikom przekazywać ci jakiegokolwiek wiadomości.

Jolanta w panice przełknęła kęs chleba, który właśnie stanął jej w gardle. Patrzyła na Wilczek szeroko otwartymi oczami, oddychając płytko.

– Ach, to dlatego nie dostałam ostatnio żadnych wyników. – Spuściła wzrok.

– No powiedz sama, jak tak można? – nakręciła się Wiesia. – Przecież to tylko dzięki tobie...

– I tobie – weszła jej w słowo Wadowska-Król.

– ...ta sprawa wyszła na jaw! – ciągnęła niezrażona Wilczek. – Nie mogą cię odciąć od informacji!

– Jak widać, mogą i właśnie to robią. – Jolanta nie dała po sobie poznać, jak bardzo zabolęła ją ta wiadomość.

– Ta żmija podobno powiedziała, cytuję, że „znalazła się jakaś Królowa i mąci ludziom w głowach, jakaś Matka Boska Szopienicka”. „Matka Boska Szopienicka”, czy ona na głowę upadła?! Co za wredna baba! – Wiesia uderzyła pięścią w stół.

Jedyne, co Wadowska-Król mogła zrobić w tej sytuacji, to się roześmiać. Pielęgniarka patrzyła na nią z konsternacją, podczas gdy ona śmiała się tak bardzo, że z jej oczu popłynęły łzy. Sama nie wiedziała, czy płacze ze śmiechu, czy jednak z żalu. Oddała „ołowikom” całe swe serce, całą pasję, energię, wiarę i czas wyrwany codzienności oraz własnej rodzinie. Ale Matka Boska Szopienicka? Tak, musiała przyznać, że ten pseudonim był szalenie zabawny, mimo całego swojego pejoratywnego wydźwięku. A może właśnie dzięki niemu?

– Matka Boska Szopienicka – prychnęła, kiedy już udało jej się choć trochę uspokoić. – Ma kobieta wyobraźnię. Jak można wymyślić coś tak idiotycznego? Matka Boska Szopienicka, też coś...

Schowała niedojedzoną kanapkę do torebki i wyszła z pokoju socjalnego, odprowadzona czujnym spojrzeniem zaniepokojonej Wiesi. Wilczek wiedziała, że informacja o zakazie przekazywania jej wiadomości o losach dzieci z ołowicą musiała ją zabołec, a mimo to po prostu poszła do swojego gabinetu, mamrocząc coś pod nosem.

Matka Boska Szopienicka wracała do pacjentów.

Rozdział 29. Helena

Kwiecień 1975

Jeszcze raz rozejrzała się po szpitalnej sali, aby się upewnić, że niczego nie zapomniała. Mimo że poród przebiegł bez komplikacji, a Helena i jej córeczka czuły się dobrze, spędziły na oddziale położniczym i noworodkowym cały tydzień.

– Dziękuję za miłe towarzystwo. – Kościelniakowa przytrzymała dłonią główkę malutkiej. Pielęgniarki dosłownie chwilę wcześniej przywiozły jej dziecko. – Życzę paniom i waszym dzieciom dużo zdrowia.

– Dziękuję, pani Heleno! – Z łóżka poderwała się kobieta, która urodziła dzień po Helenie i nazajutrz miała wychodzić do domu.

– Wszystkiego dobrego – mruknęła druga, która wydała swoje pierwsze dziecko na świat zaledwie dzień wcześniej, po trwającym ponad trzydzieści godzin porodzie.

Helena wyszła z sali, nie oglądając się za siebie, z torbą zawieszoną na ramieniu i córeczką na drugiej ręce. Miała nadzieję, że to był ostatni jej pobyt na oddziale położniczym. Dość już rodzenia, tym razem zamierzała się Staszкови postawić, a jeśli on się nie dostosuje, ona nie pozwoli mu się więcej dotknąć. Mimo że poród przebiegł gładko, Helena nie mogła się po nim pozbierać. Jej wycieńczony latami cięż i zajmowania się małymi dziećmi organizm błagał o wytchnienie, a ona zamierzała go posłuchać, mimo głęboko wpojonego jej w domu rodzinnym poczucia obowiązku. Porządna kobieta winna dbać o dom i dzieci, zaspokajać potrzeby męża, łagodzić rodzinne spory i podtrzymywać ciepło domowego ogniska, ale nie kosztem własnego zdrowia i samej siebie.

Córeczka zakwiliła, na co Helena wsunęła jej kciuk do ust, bo nie miała teraz możliwości, aby podać jej pierś. Malutka była taka podobna do Iwonki i do samej Heleny! Wyglądała identycznie jak jej starsza siostra, kiedy przyszła na świat. Wypisz wymaluj. Tym razem

geny Heleny okazały się silniejsze od Staszkowych. I dobrze, niech to będzie wynagrodzenie dla matki za jej trud włożony w noszenie pod sercem dzieciątka, dbanie o nie w tym trudnym czasie i za sam poród. Wbrew obawom Helena nie urodziła w ósmym miesiącu. Dziewczynka przyszła na świat o czasie, tylko kilka dni przed terminem.

Helena naciągnęła szczelniej na główkę dziecka bawełnianą czapkę, którą dostała po dzieciach koleżanki, gdy urodziła się Iwonka. Na zewnątrz wprawdzie panowała przyjemna temperatura piętnastu stopni Celsjusza, a na niebie nie było ani jednej chmury, ale jednak wiał wiatr, a uszka dziecka trzeba chronić. Kobieta wyszła ze szpitala z dzieckiem w ramionach, rozglądając się za Staśkiem, który miał ją odebrać. Szybko go namierzyła – stał przy pomarańczowym fiacie 125p z napisem „Taxi” na dachu i łapczywie palił papierosa. Machnął na Helenę ręką, wyrzucił niedopałek na ziemię, zdeptał go, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę żony.

– Pomóc ci? – Na jego twarzy malowało się przejęcie, mimo że mała była przecież jego szóstym dzieckiem i można by przypuszczać, że emocje związane z pojawieniem się na świecie kolejnego maleństwa nie powinny być już tak silne.

– Stać nas na taksówkę? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Helena.

– A chcesz się tłuc do domu tramwajem albo autobusem? To znajomy mojego kolegi, nie zedrze z nas skóry. – Zatrzymał wzrok na malutkiej. – Ależ ona podobna do Iwonki!

– To samo pomyślałam, jak ją zobaczyłam – przyznała z uśmiechem Kościelniakowa.

– W sumie przez to całe zamieszanie nawet nie zastanowiliśmy się nad imieniem... – Staszek podrapał się z zakłopotaniem po głowie.

– W szpitalu miałam dużo czasu na myślenie i doszłam do wniosku, że bardzo podoba mi się Bogusia. Co ty na to? – Spojrzała z nadzieją na męża, bo zdążyła już przyzwyczać się do tego imienia.

– Bogusia. – Stasiek sprawdził, jak to imię układa się w jego ustach. – Podoba mi się.

– Na sali leżała ze mną pani, która zna się na pochodzeniu imion. Powiedziała mi, że Bogumiła oznacza „miłą Bogu”, a to imię noszą

dziewczynki i kobiety, którym los sprzyja. Pomyślałam, że skoro malutka dostała szansę, której nie miało jej rodzeństwo... – Głos Heleny się załamał.

Znała już doskonale tę huśtawkę emocjonalną typową dla pierwszych dni i tygodni po porodzie, bo przecież przechodziła już przez połóg po raz szósty, a mimo to nadal denerwowała ją ta słabość, bo Helena Kościelniak nie zwykła jej okazywać.

– Wybrałaś idealne imię – stwierdził Stasiek – a teraz chodź, bo taksometr bije.

Pomógł żonie wsiąść do samochodu i ruszyli. Bogusia zasnęła zmęczona w ramionach matki, która z kolei nie pamiętała, kiedy po raz ostatni wyspała się tak, jak w ciągu tego tygodnia spędzonego na oddziale położniczym. Dzieci były przywożone matkom tylko na karmienie, równo co trzy godziny. Dzięki temu położnice mogły odpocząć, a że na większość z nich w domu czekały starsze dzieciaki, kobiety o choczko korzystały z tej możliwości. Tylko jedna z nich negowała rzeczywistość i co rusz zagadywała położną, kiedy w końcu będzie mogła wrócić do domu.

– Gdzie ci tak śpieszno, dziewczyno? – dziwiła się położna. – Jeszcze się zdążysz narobić, a teraz leż i odpoczywaj.

Taksówka mknęła przez Katowice z prędkością, która Helenie wydawała się niebezpieczna, ale Staszek wzrokiem dał jej do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Po drodze Kościelniakowa rozpytywała o dzieci, bo była ciekawa, jak radziły sobie podczas jej nieobecności. Miecio nie płakał w nocy? Henio nie marudził przy odrabianiu lekcji? A Iwonka, czy przeszedł jej już katar?

– W domu wszystko w porządku, poradziliśmy sobie. – Staszek z dumą wypiął pierś.

Czuła od niego woń alkoholu, przypuszczała, że hucznie świętował narodziny córki, i zastanawiała się, kto wówczas zajmował się dziećmi, ale uznała, że dla spokoju w małżeństwie czasem lepiej jest nie wiedzieć. I tak mocno ograniczył się z alkoholem, a że czasem pozwoli sobie na więcej? To tylko męczyzna, oni tak mają. Byle się nie awanturował, bo tego Helena już nie zniesie. Zaczynali od nowa, w innym miejscu, w innym

składzie, i tego zamierzała się trzymać. Wszystko się jakoś ułoży, powtarzała to sobie jak mantrę. Kiedy dopadały ją chwile zwątpienia związanego z ograniczeniami intelektualnymi jej dzieci, będącymi konsekwencjami dorastania w sąsiedztwie huty ołowiu, tłumaczyła sobie, że przecież nie każdy musi być od razu orłem i ukończyć studia. Byleby dzieciaki wiodły w przyszłości szczęśliwe życie. Proste, tak jak ich rodzice, ale szczęśliwe. To było najważniejsze. I że w końcu wszyscy znów byli razem.

Taksówka znajdowała się właśnie na wysokości wejścia do ogrodu zoologicznego, kiedy Staszek zniemacka wypalił:

– Na hucie aż wrze od plotek o tym, że urząd miasta podjął uchwałę o wyburzeniu familoków na Rzemieślniczej, Makarenki i części budynków na Obrońców Westerplatte. Ludzie mówią, że dyrektor Lucka o to zabiegał w magistracie.

Helena głośno wypuściła powietrze z płuc.

– Kiedy mają je wyburzyć? – zapytała drżącym głosem.

– Tego nie wiem.

W odpowiedzi skinęła tylko głową. W kącie jej oka znów pojawiła się łza. Cholerne nastroje! Za czym tu płakać? Za utraconymi szansami, odebranych zdrowiem? Niech wyburzą te przekłete familoki i zaorają ziemię! Tylko na to to miejsce zasługiwało.

– A ty co o tym myślisz? – zwróciła się do męża.

Staszek wzruszył ramionami i spojrzał wymownie na taksówkarza. Najwyraźniej nie zamierzał przy nim rozmawiać, ale Helena doskonale wiedziała, że tęskni. Nie do końca to rozumiała, jednak musiała przyznać, że po wyprowadzce z Szopienic w jego sercu pozostało puste miejsce. O wiele częściej nalegał na to, aby odwiedzali jego rodziców, którzy zostali w tej dzielnicy, i zamiast wsiadać do tramwaju od razu przy hucie, chodził dwa przystanki dalej, jakby tymi przechadzkami przez znane tylko mieszkańcom przejścia i skrótory chciał udowodnić sam sobie, że wciąż jest stamtąd.

– Tak trzeba zrobić – odpowiedział wymijająco.

Taksówkarz zatrzymał się przy wejściu do klatki schodowej trzynastopiętrowego wieżowca. Stasiak podał mu odliczoną kwotę, po czym wysiadł z samochodu, aby pomóc żonie. Weszli szybko do

bloku, żeby małej nie przewiało. Takie dzieciątko nie powinno przebywać na dworze przez pierwszy miesiąc. Dopiero później, kiedy trochę podrośnie i nabierze odporności, Helena zacznie z nią wychodzić na spacer.

Wjechali windą na szóste piętro. Helena wciąż nie mogła się do tego przyzwyczaić, bała się, że winda utknie pomiędzy piętrami, a ona zostanie uwięziona na małej powierzchni. Ale poza tą drobną niedogodnością musiała przyznać, że mieszkanie przerosło jej najśmielsze oczekiwania. A kuchnia! Dobry Boże, jaka była wielka! Już samo to, że stanowiła osobne pomieszczenie, było ogromnym udogodnieniem. No i nie trzeba było palić w piecu. Kaloryfery grzały, a gotowało się na kuchence gazowej. Kościelniakowa nawet nie śniła o takich luksusach.

– Zostawiłeś ich samych? – zaniepokoiła się Helena, bo dopiero teraz dotarło do niej, że nie wie, kto został w domu z dziećmi.

– Nie, z sąsiadką.

– Jaką sąsiadką?!

– No, tą z naprzeciwka. Taka starsza pani – wyjaśnił Stasiek.

– Zostawiłeś dzieci z obcą kobietą? – Helena nie dowierzała.

– Z jaką obcą? Mówię przecież, że z sąsiadką. Na Rzemieślniczej też przecież czasem tak zostawali. – Jej mąż wzruszył ramionami.

– To nie to samo. Tam wszystkich znaliśmy, a tu...

– I tu poznamy sąsiadów – wszedł żonie w słowo Staszek.

– Nie. W tym bloku mieszkają setki ludzi, na każdym piętrze jest kilkanaście mieszkań – zaprotestowała Helena.

– No, to tych najbliższych sąsiadów – podsumował mężczyzna.

Nie dyskutowała z nim już, bo oto zatrzymali się przed drzwiami, zza których dobiegał dziecięcy śmiech i odgłosy świetnej zabawy. Helena miała wrażenie, że wraca z dalekiej i długiej podróży, a przecież nie było jej w domu tylko przez tydzień. Staszek wsunął klucz do zamka, przekręcił i pchnął drzwi.

– Mama! – ryknęła cała piątka i wszyscy jak jeden mąż, nawet Henio, który nie lubił okazywać uczuć, rzucili się, aby wyściskać matkę.

Helena przekazała Bogusię w ręce męża, po czym ze wzruszeniem zabrała się do wymieniania uścisków z każdym ze swoich dzieci.

Tak bardzo za nimi tęskniła. I teraz, i wcześniej, i później. Zawsze. W tamtej chwili potrafiła myśleć tylko o jednym – że jest bardzo, bardzo szczęśliwa, mając ich wszystkich u boku.

Rozdział 30. Jolanta

Kwiecień 1975

Przez dłuższą chwilę szeroko otwartymi oczami po prostu patrzyła w punkt gdzieś nad głową pracownicy dziekanatu, a znaczenie słów wypowiedzianych przez tę atrakcyjną młodą brunetkę z mocno pomalowanymi powiekami docierało do niej stopniowo.

Jolanta pofatygowała się do rektoratu, bo przedłużająca się cisza ze strony uczelni budziła w niej coraz większy dyskomfort. Chciała poznać decyzję. Nieważne, jaka ona będzie, Wadowska-Król po prostu musiała wiedzieć.

– Przykro mi, ale nie mogę pokazać pani recenzji. – Młode dziewczę sprawiało wrażenie, jakby nie mijało się z prawdą.

Wyraz jej twarzy świadczył o tym, że rzeczywiście jest jej przykro. Albo po prostu była urodzoną aktorką.

– Nie może mi pani pokazać recenzji *mojej* pracy? – prychnęła ze złością Wadowska-Król.

– Niestety, ale tak jak mówiłam, wszystkie trzy są negatywne. Przewód doktorski nie zostanie otwarty – powtórzyła kobieta.

– Mogę przynajmniej wiedzieć, kto jest autorem tych recenzji?

– Nie wiadomo. Żadna z nich nie została podpisana.

– To czyste kuriozum! – zdenerwowała się Jolanta. – Otrzymałam trzy negatywne recenzje, ale nikt się pod nimi nie podpisał?

– Dokładnie tak. – Dziewczyna uciekła wzrokiem.

– Proszę mi je pokazać – zażądała stanowczym tonem Wadowska-Król.

– Ja naprawdę nie mogę! – Pracownica rektoratu wyglądała na przerażoną.

– Proszę pani, ja stąd nie wyjdę, dopóki mi ich pani nie pokaże. – Jolanta robiła dobrą minę do złej gry, ale w rzeczywistości była zdruzgotana.

Mogła się tego spodziewać, a jednak informacja o otrzymaniu negatywnych recenzji ścięła ją z nóg. W świetle ostatnich wydarzeń tak bardzo potrzebowała choć promyczka nadziei... Ani przez chwilę nie żałowała, że tak bardzo zaangażowała się w sprawę ołowicy wśród szopienickich dzieci. Uważała, że postąpiła słusznie. Gdyby mogła cofnąć czas, nie podjęłaby innej decyzji, nawet z tą wiedzą, którą miała teraz. Zrobiła to, co do niej należało, a z wykluczeniem i swoimi emocjami będzie musiała poradzić sobie jakoś sama.

– Bardzo panią proszę – spróbowała raz jeszcze. – To dla mnie ważne.

– Ale nikomu pani o tym nie powie? – upewniła się brunetka. – Mogłabym mieć problemy w pracy.

– Zdaję sobie z tego sprawę, dlatego nikt się o tym nie dowie – obiecała Wadowska-Król. – Po prostu chcę zobaczyć te recenzje.

– Chyba mogę pani pokazać jedną z nich – skapitulowała dziewczyna. – Proszę zaczekać na korytarzu.

Jolanta podziękowała i wyszła na zewnątrz. Chciało jej się płakać, ale przekonała samą siebie, że z tym będzie musiała poczekać. Poszłocha sobie później, w zaciszu własnego mieszkania. To nie był czas i miejsce na okazywanie słabości. Brak możliwości przedstawienia i obrony pracy doktorskiej to nie koniec świata, przekonywała samą siebie. Ludzie mają gorsze problemy, a to tylko chwilowa trudność. Bez tego tytułu przed nazwiskiem jakoś sobie poradzi, tak jak radziła sobie do tej pory. Musi tylko wyciszyć emocje, uspokoić się, musi tylko...

Drzwi gwałtownie się otworzyły i stanęła w nich brunetka.

– Rektor Jonek zamknął pani pracę w rektorskim sejfie – odezwała się szeptem – więc nie ma możliwości, aby ją pani odzyskała. Tutaj jest jedna z recenzji – podała lekarce kilka kartek – ale bardzo proszę szybko się z nią zapoznać i mi ją zwrócić. Nie chcę mieć przez to problemów.

– Oczywiście, zaraz ją pani oddam.

Jolanta rozbieranym wzrokiem przeleciała po tekście. Z każdą sekundą jej wściekłość narastała, bo właściwie na wszystkie zarzuty mogłaby odpowiedzieć, podając wyniki badań, które przecież

nakazano jej usunąć! Dlaczego się na to zgodziła? Czuli, że przez to jej praca straci sens, ale wówczas nie mogłaby przecież nawet wystąpić z wnioskiem o otwarciu przewodu doktorskiego. Miała ochotę wykrzyknąć całemu światu swój żal, ale wiedziała, że to nic by nie zmieniło. Nikt by jej nie wysłuchał. Była niewygodna, więc ją uciszono.

Cieszyła się zbyt dużą sympatią i poparciem wśród zwykłych ludzi, więc jej nie aresztowano, ale zamknięto jej drogę do kariery naukowej.

Z każdym kolejnym przeczytanym słowem tej recenzji rosła w niej niezgoda. Potrafiła odnieść się do zarzutów, mogła to zrobić, ale wiedziała, że wówczas naraziłaby siebie i bliskich na niebezpieczeństwo. Nie zawahała się, kiedy chodziło o zdrowie jej pacjentów. Ale teraz, kiedy w grę wchodził jedynie jej doktorat? Gra była niewarta świeczki. Mogła zrobić tylko jedno – zwrócić sekretarce tę recenzję, wyjść z rektoratu i na zawsze zapomnieć o doktoracie. Doktoracie, który po drodze stał się marzeniem – nawet nie dla niej, ale dla nauki, dla pacjentów, dla nowych możliwości, które pojawiły się wraz z wykryciem epidemii ołowicy wśród szopienickich dzieci.

Jolanta po raz kolejny stanęła na rozdrożu. Znów wybrała słusznie, ponownie postąpiła tak, jak należało, choć tym razem przyszło jej to z o wiele większym trudem. Zajęła swoje miejsce w szeregu. W końcu była *tylko* pediatrą z małej przychodni w dzielnicy, od której świat wolał odwracać wzrok, bo tak było łatwiej.

Komu by się chciało dociekać, zastanawiać się, dlaczego i czy można coś zmienić? Oportunizm miał się świetnie i boleśnie przypominał Wadowskiej-Król, jak niewiele może w tym zepsutym świecie.

Zanim podjęła decyzję, przez jej głowę przemknęła myśl, aby złapać taksówkę, pojechać nią do Zabrza i porozmawiać z Hager-Małecką. W końcu była jej promotorką, to ona namówiła ją na doktorat, niech teraz znajdzie rozwiązanie! Kusiła ją ta perspektywa, nawet ruszyła w stronę wyjścia z rektoratu, ale nagle się zatrzymała. Nie, to nie miało najmniejszego sensu. Przecież profesor kazała jej

usunąć wyniki badań już po rozmowie z Jonkiem. Czyżby podczas tej rozmowy dowiedziała się, że Wadowska-Król tego doktoratu i tak nie obroni? Tylko po co nadal dopingowała ją do pracy? Może chciała przedłużyć ten czas, kiedy jej podopieczna żyła nadzieją? Może czuła niechęć na myśl o tym, że miałyby jej jednym ciosem odebrać marzenia? A może po prostu bała się to powiedzieć, patrząc jej w oczy?

Od tygodni już nie było żadnego kontaktu z zabrzańską kliniką. Najwyraźniej Hager-Małecka zastosowała się do wytycznych nowej dyrektora wojewódzkiego sanepidu. I w zasadzie nie można było mieć o to do niej żalu, bo priorytetem było zdrowie i bezpieczeństwo pacjentów. Uczucia „Matki Boskiej Szopienickiej” miały tutaj marginalne znaczenie. Tak, najważniejsze, że kontynuowano badania, a dzieci otrzymywały należytą pomoc. Tylko to się liczyło.

Wadowska-Król otarła samotną łzę, która nieposłusznie potoczyła się po jej policzku, po czym nałożyła na twarz maskę i wróciła do rektoratu.

Epilog

Katowice, 24 czerwca 2021

Wszystko zaczęło się od szuflady, pomyślała Wadowska-Król, czekając na rozpoczęcie ceremonii.

Gdyby jej wnuczka Gosia nie przyszła wtedy do niej i nie zapytała o wydarzenia sprzed czterdziestu lat, ta historia nigdy nie ujrzałaby światła dziennego, a ona nie otrzymywałaby teraz tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. Gosia zgłosiła się wówczas do konkursu *Szukamy bohaterów* i postanowiła, że nakręci krótki film o swojej babci²⁴. Jolanta, która dla swoich wnuków zrobiłaby wszystko, poszła więc na strych, przyniosła tę nieszczęsną szufladę, którą zabrała z przychodni przy Franciszoka podczas przeprowadzki, i opowiedziała jej po kolei o problemach zdrowotnych swoich pacjentów, o wizycie profesor Bożeny Hager-Małeckiej, o przeprowadzanych w tajemnicy i na wielką skalę badaniach, o dostarczanych osobiście przez nią i Wiesię Wilczek wezwaniach, o przepelnionych szpitalach, o... Opowiedziała jej wszystko. Gosia słuchała z wypiekami na twarzy, a potem zaangażowała w projekt swoją koleżankę, Karolinę, i we dwie przybiegły do niej z kamerą.

To, co się wydarzyło później, nie mieściło się Jolancie w głowie. Uważała, że nie zasłużyła na te wszystkie nagrody i wyróżnienia. Honorowe obywatelstwo miasta Katowice, Nagroda imienia Wojciecha Korfantego, odznaka Rzecznika Praw Obywatelskich, medal Śląskiego Uniwersytetu Medycznego, nawet mural z jej podobizną na budynku przy ulicy Gliwickiej pięćdziesiąt osiem w Katowicach... Czy oni wszyscy powariowali? Przecież ona tylko pracowała! Takie zainteresowanie ją krępowało. Nic wielkiego nie zrobiła, po prostu wykonywała swoje obowiązki. A teraz to. Doktorat honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, najwyższe wyróżnienie w świecie akademickim!

Uroczystość nadania tytułu miała rozpocząć się lada chwila, a przez głowę Jolanty przetaczał się huragan myśli. Przez chwilę znów była tamtą młodą lekarką, do której gabinetu zapukała profesor Hager-Małecka...

Doktorat, którego nawet nie mogła zaprezentować, zniechęcił ją. Aby nie zwariować, zaczęła haftować, choć nigdy wcześniej tego nie robiła i nie miała o tym zielonego pojęcia. Nauczyła się metodą prób i błędów, bo zawsze była zawzięta i ta cecha jej charakteru pozostała niezmienna przez te wszystkie lata. Cztery ściany w salonie w jej domu na Ligocie były ozdobione własnoręcznie wykonanymi przez nią pracami. I pewnie dalej by tak siedziała w domu i haftowała, bo przed dziesięcioma laty przeszła na emeryturę, gdyby Gosia nie wpadła wtedy jak po ogień i nie zażądała, żeby pokazać jej tamte dokumenty.

Pandemia wymusiła zmianę charakteru ceremonii. Ograniczono do minimum liczbę gości, pieśń chóru miała zostać odtworzona na wyświetlaczu, zajmowano co drugie miejsce na sali, a twarze zgromadzonych były schowane za maseczkami, znad których widać było tylko oczy. Jolanta stała w czarnej toczce i granatowym nakryciu głowy tuż za rektorem, który miał rozpocząć tę uroczystość, z całą pewnością będącą najdonioślejszym wydarzeniem znanym środowiskom akademickim. Czekwała na sygnał od rektora. Kiedy rozległa się pieśń chóru, mężczyzna ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Zaczęło się²⁵.

Posłowie

W wyniku działań doktor Jolanty Wadowskiej-Król w sumie zostało przesiedlonych sześćset dwadzieścia jeden rodzin.

Uchwałą Rady Miejskiej w Katowicach z dnia siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku zburzono familoki znajdujące się w sąsiedztwie huty. Ulice Rzemieślnicza i Makarenki zniknęły na stałe z mapy Katowic. Rozebrano też część budynków przy Obrońców Westerplatte. Po zburzeniu familoków glebę przekopano na głębokość metra. Na miejsce przywieziono ziemię ze Złotego Potoku.

Po wykryciu epidemii ołowicy wśród szopienickich dzieci w hucie ołowiu wyłączono piec szybowy i zlikwidowano produkcję miniołowiu. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku wyłączono dziewięć dużych kominów i sto siedemdziesiąt osiem małych. Rok później przestała dymić piekarnia.

Doktor Jolanta Wadowska-Król nigdy nie ujawniła wyników badań, które musiała wykreślić z doktoratu. Pokazała mi częściową dokumentację, którą zgromadziła, ale nie chciała odpowiedzieć na pytanie, jaki był najwyższy stwierdzony przez nią poziom ołowiu we krwi dziecka.

Huta Metali Nieżelaznych Szopienice działała do dwa tysiące ósmego roku, kiedy spółka została rozwiązana i rozpoczęto proces jej likwidacji. Obecnie na terenach byłej huty działa wiele przedsiębiorstw, w tym Baterpol S.A. Na stronie internetowej Baterpolu można się dowiedzieć, że to „firma zajmująca się recyklingiem złomu akumulatorów kwasowo-ołowiowych i ołowiu oraz znaczący producent stopów ołowiu i ołowiu rafinowanego”.

Stwierdzenie ołowicy u szopienickich dzieci zapoczątkowało masowe badania na obecność ołowiu we krwi dzieci mieszkających na szczególnie narażonych terenach na Śląsku. Zdrowie dzieci mieszkających na obszarach uprzemysłowionych nadal jest obarczone wysokim ryzykiem.

Wiele rodzin starało się o odszkodowanie od huty. W Sądzie Rejonowym w Katowicach odbyło się dużo tego typu rozpraw, na część z nich w charakterze świadka wzywano doktor Jolanę Wadowską-Król. Sąd pytał matek, czy mogą przedstawić dowód na to, że dziecko przeszło ołowicę, a przecież w żadnych dokumentach taka diagnoza nie miała prawa się pojawić. Doktor tłumaczyła przed sądem, że dziecko wydalało znaczną część ołowiu z moczem, ale spowodowanych ołowiem zniszczeń w mózgu i kościach już się nie cofnie. To wszystko jednak na nic, sądy najczęściej odrzucały wnioski rodziców. Doktor Wadowskiej-Król znanych jest tylko kilkanaście przypadków, w których rodziny uzyskały odszkodowanie od huty.

Dzisiaj na terenie wyburzonych familoków znajdują się basen miejski Burowiec oraz skwer Hilarego Krzysztofiaka, a na nim plac zabaw, skatepark, ścieżki dla pieszych oraz ławki. Zaraz za murem, który pamięta jeszcze czasy huty, znajduje się siedziba Baterpolu S.A.

* * *

Gdy zbierałam materiały do tej książki, z moich rozmów z uczestnikami i świadkami tamtych wydarzeń wyłoniły się dwa sprzeczne obrazy szopienickiej huty – huta żywicielka i huta trucicielka. Początkowo zastanawiałam się, który z nich jest prawdziwy, szybko jednak zrozumiałam, że w tym przypadku jedna uniwersalna prawda nie istnieje. Bo huta żywiła i truła. Dla hutników i ich rodzin była żywicielką, dla doktor Wadowskiej-Król i służb medycznych – trucicielką. Kim więc była dla pracujących w hucie rodziców chorych dzieci? Ten dylemat jest niemożliwy do rozstrzygnięcia. Nie wszyscy mieszkańcy Szopienic pracowali w hucie, ale ci, którym zapewniała ona środki do życia, znaleźli się w podwójnie trudnym położeniu. Dlatego też na kartach tej powieści powołałam do życia rodziny Kościelniaków, Tkaczów, Bieńków i Durczoków. Ci bohaterowie są fikcyjni, ale nie ich losy. Ta historia wydarzyła się w rzeczywistości. Oczywiście, powieść

rządzi się swoimi prawami. *Doktórka od familoków* to fabularyzowana historia ołowicy w Szopienicach. Należy mieć więc świadomość, że na potrzeby fabuły czasem musiałam dodać coś od siebie (przemyślenia bohaterów, dialogi itd.) czy po prostu przyspieszyć niektóre wydarzenia, aby oddać w Państwa ręce kompletną powieść.

Napisałam tę powieść, ponieważ chcę, aby jak najwięcej osób dowiedziało się o doktor Jolancie Wadowskiej-Król i o tym, co zrobiła dla szopienickich dzieci. Ale nie tylko. Chciałam oddać pamięć tysiącom dzieci, które zapłaciły najwyższą cenę za to, że przyszły na świat w Szopienicach. Doktor Jolanta Wadowska-Król interesowała się losami swoich podopiecznych przez długie lata. Nie ze wszystkimi oczywiście ma kontakt, jednak spośród tych najciężiej chorych dzieci, u których zdiagnozowano ostre zatrucie ołowiem, zatrwazająca większość jest nieporadna życiowo. Trudno byłoby znaleźć w tej grupie osoby z wyższym wykształceniem. Doktor habilitowany Grzegorz Dziubanek z Wydziału Nauk o Zdrowiu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego powiedział mi, że ołów w pierwszej kolejności obniża IQ. Ponadto może powodować problemy z płodnością, spora część dojrzałych już dziś „ołowików” nie ma dzieci. Ołów ma ogromny wpływ na gospodarkę hormonalną, na wytwarzanie plemników w jądrach i na sam przebieg ciąży, przyczyniając się do częstszych poronień i niskiej masy urodzeniowej dzieci. Książkowa Helena urodziła zdrową córeczkę, jednak warto tutaj wspomnieć, że w rodzinach mieszkających w sąsiedztwie huty często przychodziły na świat kalekie dzieci, ponieważ ołów przenika przez łożysko.

Kiedy zapytałam panią doktor o to, czy jej zdaniem współczesne Szopienice są takie, jakie są, przez hutę, doktor nie wahała się ani sekundy. „Oczywiście, że tak”, odpowiedziała. A jakie są Szopienice? Właściwie w tej kwestii od lat siedemdziesiątych niewiele się zmieniło. Owszem, zrewitalizowano tereny miejskie, wybudowano basen, obecnie trwa przebudowa stacji kolejowej, ale charakter Szopienic pozostał niezmienny. Przygotowując tę książkę, czytałam o Szopienicach i wielokrotnie odwiedzałam tę dzielnicę. Sama mieszkam w Katowicach, ale nie odważyłabym się

w samotności spacerować po Szopienicach po zmroku. Szopienice znajdują się na liście najbardziej niebezpiecznych miejsc na Śląsku. Bieda, przemoc, alkoholizm, bezrobocie, dziedziczenie zachowań patologicznych, brak perspektyw, depopulacja, wykluczenie społeczne – dzielnica ta do dziś zmagają się z tymi problemami. Co ciekawe, w dwa tysiące szesnastym roku Urząd Miasta Katowice podał informacje odnośnie bezpieczeństwa w miejskich placówkach oświaty. Okazało się, że problematyczne są zwłaszcza Szopienice i Załęże. Tymczasem na spotkaniu w Wydziale Nauk o Zdrowiu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego usłyszałam, że stężenie ołowiu w glebie do dziś jest podwyższone w niektórych miejscach na Śląsku. O Katowicach była mowa w kontekście dwóch dzielnic – Szopienic i Załęża. Trzecim krytycznym miejscem na mapie Śląska są świętochłowickie Lipiny, dzielnica legenda, choć niekoniecznie w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Wyszłam z tego spotkania z nową wiedzą dotyczącą regionu, w którym mieszkam, ale i z przerażeniem, bo kiedy zaczynałam pracować nad tą książką, byłam przekonana, że jest to problem z przeszłości. Niestety, Śląsk nadal płaci ogromną cenę za przemysł, który rozświetlił ten region w Polsce i w Europie, zapewniając byt tysiącom osób. Pomyślałam wtedy, że muszę oddać sprawiedliwość tym ludziom, którzy za chleb zapłacili najwyższą cenę, nie tylko życia i zdrowia, ale też wykluczenia społecznego, dziedziczenia przemocy i innych zjawisk patologicznych oraz nierzadko upośledzenia intelektualnego.

Dzisiaj, dzięki pracy nad tą książką, patrzę zupełnie inaczej na Katowice i Śląsk. Nie jestem Ślązaczką, nie tu się urodziłam, a Ślązakiem może się nazywać tylko ten, kto tutaj przyszedł na świat, dlatego długo zastanawiałam się, czy w ogóle mam prawo pisać o Szopienicach. Postanowiłam to zrobić, ponieważ dorastałam wśród wielu krzywdzących opinii na temat Ślązaków i samego Śląska. Jestem z Zagłębia Dąbrowskiego, a te dwa regiony od zawsze dzielą wzajemne animozje, choć teraz już wiem, że obszary te są do siebie bardziej podobne, niż ich mieszkańcy byliby skłonni przyznać. *Doktórka od familoków* powstała jako wyraz mojego ogromnego podziwu dla ludzi pracy, tych ze Śląska i nie tylko, choć

nigdzie indziej nie spotkałam się z tym, żeby praca była tak ogromną wartością samą w sobie.

Metale nie ulegają rozkładowi. Kiedy trafią do środowiska, zostają bardzo długo w glebie. Kolejne pokolenia dorastają, a na Śląsku nadal ten problem jest nierozwiązany. Niestety nadal prawo nie nakazuje przed rozpoczęciem jakiegokolwiek inwestycji budowlanej przeprowadzić badania próbek gleby. W Śląskim Uniwersytecie Medycznym usłyszałam o Księżej Górze w Radzionkowie, gdzie na zanieczyszczonym terenie powstał między innymi plac zabaw. Pracownicy ŚUM-u pobrali próbki gleby obok huštawki, piaskownicy. Wyniki były zatrważające.

Przedstawiciele ŚUM-u pobierali próbki gleby również z Szopienic. Stężenie ołowiu nadal jest bardzo wysokie.

Fundacja na rzecz Dzieci „Miasteczko Śląskie”, która powstała z inicjatywy Mirosława Dumieńskiego, autora licznych opracowań na temat narażeń środowiskowych, prowadzi monitoring zdrowotny dzieci z Górnego Śląska. Dzięki zaangażowaniu fundacji wykonywane są badania dzieci ze szkół podstawowych, oznaczany jest między innymi poziom ołowiu w moczu i we krwi. Znaczna poprawa w tym względzie w stosunku do lat siedemdziesiątych nastąpiła również dzięki wzrostowi świadomości społecznej w zakresie higieny. Jedną z głównych przyczyn zatrucia ołowiem są narażenia pozażywnościowe. Dziecko, bawiąc się, dotyka ziemi, a potem wkłada ręce i zabawki do buzi. Nawet niewielka ilość połkniętej gleby może być groźna, a przecież dzieci wiosną czy latem często bawią się na zewnątrz, dlatego tak ważne jest dokładne mycie rąk. Najbardziej zagrożone są dzieci mieszkające przy terenach byłych i obecnych hut oraz przy hałdach.

Podziękowania

Doktor Jolancie Wadowskiej-Król za to, że opowiedziała mi swoją historię i udostępniła dokumenty, z których korzystałam podczas pracy nad książką. Pani doktor jest najskromniejszą osobą, jaką poznałam. Na moje pytanie, czy cieszą ją te wszystkie tytuły i zainteresowanie, wzruszyła ramionami i stwierdziła, że sama nie wie, bo uważa, że na nie nie zasłużyła.

Panu Januszowi Stolorzowi, który, jak sam powtarza, przepracował na Hucie Metali Nieżelaznych Szopienice czterdzieści cztery lata i cztery miesiące, a dziś oprowadza wycieczki po Muzeum Hutnictwa Cynku Walcownia. To wyjątkowy człowiek, którego można słuchać godzinami. Dziękuję za przekazanie mi ogromu wiedzy na temat samej huty i pracy w niej.

Panu Adrianowi Juraszczykowi, prezesowi Stowarzyszenia na rzecz Powstania Muzeum Hutnictwa Cynku w Katowicach-Szopienicach, który ma niesamowitą wiedzę na temat historii huty i fascynująco o niej opowiada.

Panu Maciejowi Mądreemu, dyrektorowi Muzeum Hutnictwa Cynku Walcownia, który skontaktował mnie z panami Stolorzem i Juraszczykiem.

Doktorowi habilitowanemu Grzegorzowi Dziubankowi i doktor Klaudii Gut z Wydziału Nauk o Zdrowiu Śląskiego Uniwersytetu Medycznego za rozmowę na temat korelacji sytuacji zdrowotnej, ekologicznej i społecznej na Śląsku oraz za udostępnienie publikacji na temat zanieczyszczeń gleb metalami ciężkimi w regionie.

Doktorowi habilitowanemu Mirosławowi Nakoniecznemu z Wydziału Nauk Przyrodniczych Uniwersytetu Śląskiego za rozmowę o skażeniu środowiska na Górnym Śląsku i pożyczenie publikacji o zatruciach ołowiem.

Doktorowi habilitowanemu Adamowi Dziurokowi z Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach za rozmowę na temat działalności doktor Wadowskiej-Król, sytuacji politycznej i ekonomicznej na Śląsku w latach 70. oraz za udostępnienie materiałów do książki.

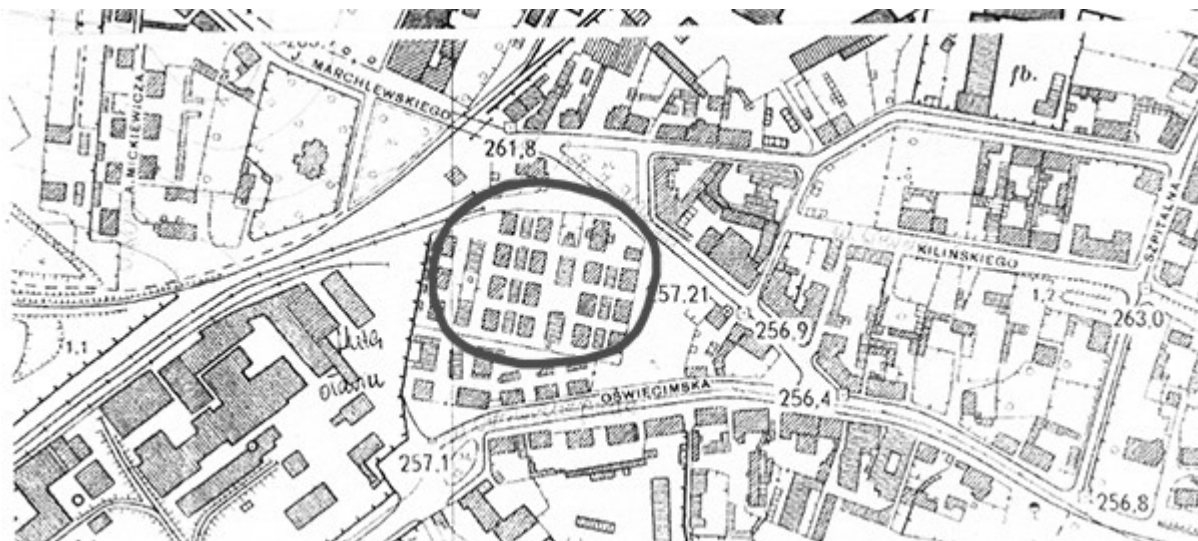
Stefanowi i Barbarze Solorzom, którzy od wielu lat mieszkają przy niedziałającej już hucie, a którzy również doświadczyli konsekwencji zdrowotnych i ekonomicznych działalności huty. Dziękuję za rozmowę, otwartość i podzielenie się ze mną swoją historią.

Mieszkańcom Szopienic, byłym i obecnym, którzy nie chcieli wystąpić w tej książce pod swoim nazwiskiem, ale którzy w znacznym stopniu wpłynęli na jej ostateczny kształt.

Zdjęcia



Huta ołowiu w Katowicach-Szopienicach (zdj. z archiwum Muzeum Hutnictwa Cynku – Walcownia).



Osiedle robotnicze wyburzone w latach 1977–1979. Obecnie skwer im. Hilarego Krzysztofiaka. Na zaznaczonym terenie stały familoki, w których toczy się akcja książki. Huta ołowiu po lewej. Mapa

z 1961/1962 roku. Źródło: Burowiec. Inicjatywa Mieszkańców i FB
Burowiec (z archiwum Jolanty Wadowskiej-Król).



Doktor Jolanta Wadowska-Król z autorką, grudzień, 2022.

Bibliografia

- Beblo W., *Polityka ochrony środowiska w województwie katowickim*, Fundacja Ekologiczna „Silesia”, Katowice 1992.
- Ciupa R., Tracz B., *Marzenia z betonu. Codziennosc w latach siedemdziesiątych na Górnym Śląsku*, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2014.
- Dziurok A., *Ołowiane dzieci*, [w:] „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska”, nr 2(6)/2014, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2014.
- Dumieński M., *Narażenie na ołów dorosłych i dzieci*, Fundacja na rzecz Dzieci „Miasteczko Śląskie”, Miasteczko Śląskie 2008.
- Hager-Małecka B., *Zagrożenie ołowicą u dzieci*, [w:] *Zdegradowane środowisko a zdrowie*, Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, Katowice 1987.
- Kowalik H., *Ołowica atakuje*, [w:] *Ekspres reporterów*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1983.
- Migula P., *Kiedy metale ciężkie są szkodliwe*, Fundacja Ekologiczna „Silesia”, Katowice 1993.
- Narracja o Zagładzie. Ołów/ołowica w kulturze i nauce*, red. Jarzyna A., Kowalczyk A., Sadzikowska L., Tomczok M., Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.
- Przybylski T., *Zagrożenie środowiska przyrodniczego w województwie katowickim*, Fundacja Ekologiczna „Silesia”, Katowice 1991.
- Rokita Z., *Ołowiany mikrokosmos*, [w:] „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska”, nr 2(18)/2020, Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2020.

¹ Obecnie ulica Józefa Grzegorzka w Katowicach. (Ten i kolejne przypisy pochodzą od autorki).

² Obecnie ulica Generała Henryka Le Ronda w Katowicach.

³ Obecnie skwer Hilarego Krzysztofiaka w Katowicach.

⁴ Helena, członkowie jej rodziny i sąsiedzi są postaciami fikcyjnymi, a ich historie utkałam z opowieści różnych osób związanych w tamtych czasach z hutą oraz mieszkańców Szopienic, dzielnicy Katowic. Żadna z „ołowianych rodzin” nie zgodziła się na ujawnienie swoich prawdziwych personaliów. W części poświęconej doktor Jolancie Wadowskiej-Król podaję nazwiska, imiona, daty i miejsca, ponieważ tego życzyła sobie sama pani doktor. Poprosiła mnie, abym na kartach tej powieści wiernie oddała tamte wydarzenia. Fikcyjni są więc jedynie rodzina, znajomi i sąsiedzi Heleny oraz sama Helena, dołożyłam jednak największych starań, aby rzetelnie opisać codzienne życie mieszkańców, problemy, z jakimi się borykali, pracę w hucie, przebieg i objawy choroby oraz konsekwencje, z którymi do dziś zmagają się byli i obecni mieszkańcy Szopienic.

⁵ Historia Janusza Tkacza oparta jest na historii tak zwanego pacjenta zero. Należy jednak mieć świadomość, że dzieci w dzielnicy chorowały o wiele wcześniej, na pewno już w 1913 roku, kiedy w Szopienicach uruchomiono szkołę specjalną. W dokumentach dzieci, które uczęszczały do tej placówki znajdowały się opisy odpowiadające typowym objawom choroby.

⁶ Ulica Generała Józefa Hallera w Katowicach.

⁷ Zatrucie ołowiem wśród pracowników huty ołowiu było powszechne. Wykonywano u nich badania poziomu koproporfiryny w moczu, który oznaczano krzyżykami. Przy czterech krzyżykach przesuwano pracownika do innego wydziału, aby nie miał kontaktu z ołowiem i aby ten metal mógł samoczynnie wypłukać się z organizmu. Pracownik wracał do pracy w hucie ołowiu, kiedy miał dwa krzyżyki.

⁸ Obecnie norma to pięć mikrogramów na decylitr, a coraz więcej specjalistów twierdzi, że żadna ilość ołowiu nie jest bezpieczna dla dziecka.

⁹ Za początek działalności Huty Metali Nieżelaznych Szopienice uważa się rok 1834, kiedy uruchomiono hutę cynku Wilhelmina. Huta ołowiu Walter Croneck zaczęła działać dokładnie trzydzieści lat później, w 1864 roku.

¹⁰ Tę opowieść usłyszałam od jednego z mieszkańców Szopienic. Nie udało mi się ustalić, czy taka sytuacja rzeczywiście miała miejsce, ale w obliczu tej wiedzy, którą mamy teraz na temat ołowicy w Szopienicach, wydaje się to bardzo prawdopodobne.

¹¹ Należy sobie uświadomić, że według dzisiaj przyjętych norm absolutnie wszystkie dzieci przebadane przez doktor Jolantę Wadowską-Król chorowały.

¹² Obecnie ulica Konna w Katowicach.

¹³ Obecnie część dzielnicy Szopienice-Burowiec.

¹⁴ Jerzy Ziętek w czasach, kiedy doktor Jolanta Wadowska-Król prowadziła badania wśród szopienickich dzieci, był wojewodą katowickim.

¹⁵ Zdzisław Grudzień – w latach 1970–1980 I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Katowicach.

¹⁶ Z materiałem pt.: *Ścisłe tajny dokument o zachorowaniach na ołowicę dzieci z terenu Katowic* można zapoznać się w wydawanym przez Oddział w Katowicach Instytutu Pamięci Narodowej półroczniku „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska”, numer 2(6)/2014. Jest częścią artykułu Adama Dziuroka *Ołowiane dzieci*, z którego korzystałam przytaczając treść raportu.

¹⁷ Śląska zupa wigilijna.

¹⁸ Na potrzeby fabuły pozwoliłam sobie nieco przyspieszyć bieg wydarzeń – w grudniu 1974 roku ta informacja raczej jeszcze nie wydostała się do opinii publicznej. W archiwach Komitetu Wojewódzkiego natomiast znajduje się tajny protokół z narady komitetu wojewódzkiego partii z tegoż roku w sprawie ołowicy wśród szopienickich dzieci, w którym pojawia się informacja o tym, że filtry zainstalowane w kominach huty to atrapa. (Za: Z. Rokita, *Ołowiany mikrokosmos*, w: „CzasyPismo. O historii Górnego Śląska”, nr 2(18)/2020, wyd. Instytut Pamięci Narodowej, Oddział w Katowicach).

¹⁹ Józef Jan Jonek – ówczesny rektor Śląskiej Akademii Medycznej.

²⁰ Dziś ulica Morawa, biegnąca przy granicy Katowic z Sosnowcem.

²¹ Michałkowice – dzielnica Siemianowic Śląskich.

²² Mowa o ataku, który miał miejsce 3 listopada 1974 r. Sprawca uderzył ponownie, w latach 1974–1982 zamordował pięć kobiet. Sam przyznał, że inspirował się zbrodniami „Wampira z Zagłębia”. O Joachimie Knychale, bo o nim mowa, powstała książka *Kryptonim „Frankenstein”* autorstwa Przemysława Semczuka (W.A.B., Warszawa 2017).

²³ Obecnie Park Śląski.

²⁴ Film *Matka Boska szopienicka* w reżyserii Małgorzaty Król, według scenariusza Małgorzaty Król i Karoliny Skibińskiej można obejrzeć na YouTube: <https://www.youtube.com/watch?v=FTc2RUNGsi0> (dostęp 16.10.2022).

²⁵ Uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Jolancie Wadowskiej-Król można obejrzeć tutaj: <https://www.youtube.com/watch?v=ZebndcEDGwk> (dostęp 16.10.2022).

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko
Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska
Redakcja: Maria Śleszyńska
Korekta: Magdalena Wołoszyn-Cępa, Lilianna Mieszczkańska

Projekt okładki: Natalia Twardy

Skład i łamanie: pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-8318-477-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo